

TUSK-SCHETYNA
Kto przegrywa,
ten odpada

POLSKA CELEM PUTINA
Spór o przeszłość:
czy Izrael stanie za Rosją

ROSIĄK O ORWELLU
Dlaczego wszyscy
chcą go zawłaszczyć

AUSTRALIA PO OGNIU
Reportaż z centrum
katastrofy

Kraków 26 stycznia 2020 nr 4 (3681)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ilu jest papieży

**Rozgrywki
w Watykanie:
życie dogania serial**

**W NUMERZE DODATEK
AUSCHWITZ:
PYTANIA O PAMIĘĆ**





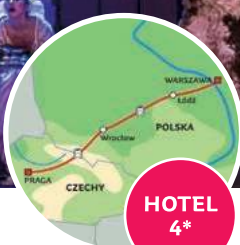
4 dni, 1 848 zł

Opera w Pradze – i koncert kameralny

Wspaniała uczta dla ducha i ciała w jednym z najpiękniejszych miast Europy, połączona ze zwiedzaniem Pragi

Program wycieczki: **Dzień 1** Przejazd autokarem do Pragi. Powitalna kolacja. **Dzień 2** Wycieczka po Zamku Praskim na Hradczanach, Złota Uliczka oraz lunch w lokalnym pubie. Wieczór z operą "Wesele Figara". **Dzień 3** Wycieczka po mieście oraz rejs statkiem po Wędrze. Koncert muzyki kameralnej - Smetany, Dvořáka i Vivaldiego. **Dzień 4** Powrót autokarem do Warszawy.

Wyjazdy z Warszawy i Katowic 20/03 2020



HOTEL 4*



15 dni, od 8 498 zł

Angkor - imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong

W XII wieku n.e. ówczesny władca Khmerów Surjawarman II rozpoczął budowę imponującego kompleksu świątynnego mającego być największym na świecie, który dzisiaj znany jest jako Angkor Wat. Imperium obejmowało swoim zasięgiem całą południową część Indochin, od Tajlandii po Wietnam, a my podczas tej wycieczki odwiedzimy jego najważniejsze miejsca, m.in. Bangkok, Phnom Penh - stolicę Kambodży, Ho Chi Minh (Sajgon), „wioskę pajaków”, pływający targ w Delcie rzeki Mekong oraz słynne tunele Cu Chi.

Wyloty z Warszawy 19/07, 20/09, 17/11 2020, 16/02 2021



HOTELE 3 i 4*



9 dni, 3 248 zł

Jezioro Garda i Włochy Północne

Wyjątkowa wycieczka nad cudowne Jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i Tyrolu Południowego

Program wycieczki: **Dzień 1** Wyjazd z Polski do Innsbrucka. **Dzień 2** Krótkie zwiedzanie Innsbrucka. Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tyrol. Przyjazd do San Zeno. **Dzień 3** Przedpołudnie wolne. Pieszna wycieczka po San Zeno i degustacja lokalnych przysmaków. **Dzień 4** Zwiedzanie Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dzień 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dzień 6** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dzień 7** Dzień wolny. **Dzień 8** Wyjazd z Wenecji. **Dzień 9** Przyjazd do Polski.

Wyjazdy z Warszawy i Katowic 22/05 i 11/09 2020



degustacja wina w cenie

2 posiłki dziennie



5 dni, od 4 398 zł

W Kraju Basków

Kraj Basków przyciąga wspaniałą architekturą, skomplikowaną historią, ale przede wszystkim wyśmienitą kuchnią i winem. Odwiedzimy również najciekawsze miasta regionu: San Sebastian oraz Bilbao.

Program wycieczki: **Dzień 1** Wylot do Bilbao. Zwiedzanie starego miasta i lunch z tradycyjnymi baskijskimi przekąskami pintxos. **Dzień 2** Wycieczka do miast: San Sebastián, Guernica i Bilbao. **Dzień 3** Wycieczka do słynnego regionu winiarskiego Rioja, wizyta w winnicy Vivanca i w średniowiecznym mieście Laguardia. **Dzień 4** Vitoria oraz wizyta w winnicy w regionie winiarskim Txacoli. **Dzień 5** Vitoria – Bilbao. Powrót do domu.

Wyloty z Warszawy 11/05 i 09/09 2020



HOTEL 4*

KS. ADAM

Boniecki: Nie na cztery ręce

BENEDYKT XVI I KARD. ROBERT SARAH CHCIE-
li, by tę książkę otwierały i zamykały dwa
teksty pisane na cztery ręce. Benedykt XVI nie
chciał sam się mierzyć z tak delikatną kwestią.
Współpraca z kardynałem Sarah wydała mu się
czymś naturalnym i ważnym. Papież emeryt zna
głęboko duchowość Kardynała, jego ducha mo-
dlitwy i mądrość. Ufa mu”.



Taka odredakcyjna nota otwiera książkę „Des
profondeurs de nos cœurs” („Z głębi naszych serc”). Po wyda-
rzeniach ostatnich dni w kolejnych wydaniach będzie musiała
ulec zmianie. Za pośrednictwem swojego sekretarza papież
emeryt zażądał wyjaśnienia, że nie jest to książka pisana razem,
usunięcia swojego nazwiska pod wstępem i zakończeniem –
tekstami, które tak zachwyciły redaktora. Benedykt wyraził
też zastrzeżenia co do okładki, na której widnieją obok siebie
portrety jego i kardynała Sarah. Poprawione wydanie ma się
ukazać jako książka kardynała z „wkładem” Benedykta XVI.
Tymczasem książka ukazała się już – w pierwotnej formie –
po francusku, planowane są wydania włoskie i amerykańskie.

Wygląda na to, że kard. Sarah – skądinąd ceniony i lubiany
przez Benedykta – przerażony, że konkluzje synodu dla Ama-
zonii doprowadzą do zakwestionowania celibatu w Kościele
katolickim, zabiegał o papieskie współautorstwo (jak się oka-
zało, pozorne) książki, w której broni celibatu.

Książka składa się ze wstępu i zakończenia oraz, podpisa-
nych osobno, tekstów Benedykta XVI i kardynała Sarah. Ten
drugi pisze: „Podczas synodu dla Amazonii miałem okazję
słuchać ekspertów i dyskutować z weteranami misji. Roz-
mowy utwierdziły mnie w przekonaniu, że możliwość wy-
święcania na księży żonatych mężczyzn byłaby duszpaster-
ską katastrofą, wprowadziłaby zamieszanie eklezjologiczne
i spowodowałaby cofnięcie się w rozumieniu kapłaństwa.
Wokół tych trzech punktów skupia się refleksja, którą teraz
chcę wam przedstawić”.

W tekście Benedykta XVI nie ma mowy ani
o synodzie, ani o wyświęcaniu żonatych męż-
czyzn. Papież emeryt wyprowadza katolickie
kapłaństwo ze Starego Testamentu, wskazując
na jego nowość. Owszem, pisze o celibacie, lecz
nie jest to główny temat. Czytamy: „Kapłaństwo
Jezusa Chrystusa wprowadza nas w życie, które
polega na stawianiu się jednością z Nim poprzez
wyrzeczenie się wszystkiego, co należy tylko do
nas. Dla kapłanów to sedno konieczności celibatu, jak i litur-
gicznej modlitwy, medytacji Słowa Bożego oraz wyrzeczenia
się dóbr materialnych”.

Książka ukazała się w czasie, w którym papież Franciszek
pracuje nad adhortacją posynodalną. Nie może w niej po-
minąć tematu udzielania święceń żonatym mężczyznom,
którym będzie powierzane wyłącznie tzw. *munus sanctifi-
cand*, czyli sprawowanie mszy św. oraz sakramentów poje-
dnania i namaszczenia (szerzej pisze o tym w Temacie Tygo-
dnika Artur Sporniak). Kard. Sarah (i nie tylko on) obawia
się decyzji, których skutki będą, w jego przekonaniu, drama-
tyczne dla Kościoła. Egzegetyczno-teologiczny wywód Bene-
dykta XVI wskazuje sens związku celibatu z kapłaństwem.
Ratzinger-teolog przedstawia argumenty, nie jest polemiczny
– inaczej niż we wspólnym wstępie i zakończeniu, nie mó-
wić o tekście kardynała. Sarah jednak nie ukrywa, że pu-
blikacja ma związek z konkluzjami synodu. W ten sposób
– przynajmniej w pierwszej chwili – papieża emeryta, jako
współautora książki, umieszczono w gronie hierarchów prze-
ciwstawiających się Franciszkowi.

Jeden z francuskich komentatorów napisał, że dwóch pa-
pieży w małym Watykanie to za dużo, inny, że potrzebne są
normy prawne określające status i funkcjonowanie papieży
emerytów. Obaj autorzy nie mają racji. Benedykt nie pisał
przeciwko Franciszkowi. A uniwersalnego regulaminu dla
papieży emerytów ułożyć się po prostu nie da. ©P

BOOK'S NOT DEAD – TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi

Dyskutuj o ulubionych autorach

Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca

Dziel się emocjami

Dołącz do grupy
Czytelniczek i Czytelników
na powszech.net/bnd

TYGODNIK
POWSZECHNY



Book's
not dead



ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TEMAT TYGODNIKA

14 Ilu jest papieży**EDWARD AUGUSTYN**

Z jednej strony zgorszenie podziałem, intrygą i kłamstwem. Z drugiej – ożywiona dyskusja o celibacie i statusie papieża emeryta. To bilans „wojny domowej” w Watykanie.

18 Batalia o celibat**ARTUR SPORNIAK**

Wprowadzenie większej różnorodności w Kościele mogłoby pomóc walczyć z klerykalizmem.

**86 Cudowne rozmnożenie papieży****MARCIN NAPIÓRKOWSKI**

Benedykt XVI i Franciszek, Pius XIII, Franciszek II i Jan Paweł III – żeby zobaczyć, co naprawdę reprezentują, potrzebujemy ich coraz więcej i więcej. Spór o wartości toczy się dziś na Netflixie i HBO.

**24 Kto przegrywa, ten odpada****ANDRZEJ STANKIEWICZ**

Skoro Tusk wraca do polskiej polityki, to Schetyna rezygnuje z szefowania PO. Od zawsze w takich sytuacjach przechodził do defensywy, licząc, że jeszcze powróci.

**44 Rocznicą w rękach oligarchy****OFER ADERET Z TEL AWIWU**

Decyzja, aby w Yad Vashem udzielić głosu prezydentowi Rosji, ale odmówić tego prezydentowi Polski, to błąd. Może zostać odebrana tak, jakby władze Izraela stanęły po stronie Putina.

**54 Popiół w kawie****SZYMON DROBNIAK Z SYDNEY**

Nie jestem świadkiem przypadku, losowego wahnięcia w gwałtowności australijskich pożarów. Zamieszkałem w epicentrum mozolnie konstruowanej katastrofy klimatycznej.

**80 Strona czynna****DARIUSZ ROSIAK**

Każdy podpiera się George'em Orwelliem. Jego pasją w dążeniu do prawdy przesłaniamy własną hipokryzję, moralny relatywizm i skarlenie perspektyw.

6 Rosyjskie wrzutki i polskie reakcje
WOJCIECH PIĘCIAK

7-13 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

24 Kto przegrywa, ten odpada
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Obywatel lokator
RAFAŁ WOŚ: *Dzisiejszy model polityki mieszkaniowej jest dużo droższy, niż nam się wydaje*

30 Niepokonani MARIUSZ
SEPIOŁO: *Ciągle nie wiemy, jak reagować na zespół Tourette'a. Zamiast zrozumieć, wolimy drwić*

■ ■ **WIARA**

34 Źródła z zachodu i wschodu
PIOTR SIKORA: *W katolicyzmie ogromna część tego, co żywe, istnieje dzięki ekumenizmowi*

38 Na Bożym zapiecku DOROTA
BIDZIŃSKA *o pierwszej w Polsce chrześcijańskiej ekowiosce*

41 Szlachetny Pan ROZMOWA
Z NEDALEM ABU TABAQ,
MUFTIM I IMAMEM: *Powinniśmy pokazywać, jak Bóg zmienia nasze życie, a nie – jak możemy siłą zmienić życie innym*

■ ■ **ŚWIAT**

44 Rocznicą w rękach oligarchy
OFER ADERET

47 Korupcyjna ośmiornica
PATRYCJA BUKALSKA: *Na Słowacji trwa proces o zlecenie i zabójstwo dziennikarza Jána Kuciaka*

DODATEK SPECJALNY



WOJCIECH STROŻYK / REPORTER

61 AUSCHWITZ: PYTANIA O PAMIĘĆ

27 stycznia 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej zajęli teren niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau, uwalniając ostatnich więźniów. W 75. rocznicę publikujemy dodatek poświęcony pytaniom o kształt pamięci o Holokauście. W nim m.in.:

Jak pamiętać, gdy coraz mniej jest świadków? O czym śnią ci, którzy przeżyli? Jak wygląda bilans rozliczeń z ludźmi, którzy tworzyli załogi obozów? Jak zrekonstruowano historię „grupy berneńskiej”? Na czym polega fenomen fotograficznego świadectwa Holokaustu? Jak poruszać się po cyfrowych zbiorach miejsc pamięci?

■ **FELIETONY** ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER
59 ANDRZEJ STASIUK **100** JAN KLATA
101 PAWEŁ BRAVO **106** STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOHN MALKOVICH JAKO JAN PAWEŁ III
ZDJĘCIE GIANNI FIORITO / HBO
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

48 Latynoskie piekło kobiet
MAGDALENA BARTCZAK: *Średnio co dwie godziny ginie tu kobieta*

51 Emeryt z Walmarta
MARTA ZDZIEBORSKA:
Amerykańscy seniorzy i milenialsi

■ ■ **NAUKA**

54 Popiół w kawie
SZYMON DROBNIAK

60 Tygodnik Czytelników

■ ■ **HISTORIA**

80 Strona czynna DARIUSZ
ROSIĄK

■ ■ **KULTURA**

86 Cudowne rozmnożenie papieży MARCIN
NAPIÓRKOWSKI

90 Zamknijcie się! WOJCIECH
ENGELKING *o Édouardzie Louisie, autorze książki „Koniec z Eddym”*

93 Portret w odbiciu KALINA
BŁĄŻEJOWSKA *o listach Wisławy Szymborskiej i Joanny Kulmowej*

96 Na nowo wymyślona
PIOTR KOSIEWSKI: *W Łódzkim Muzeum Sztuki zobaczymy prace najważniejszych rzeźbiarzy ubiegłego stulecia*

98 Heil Hitler ANITA
PIOTROWSKA *o filmie „Jojo Rabbit” Taika Waititiego*

100 Portret legendy LEKTOR
o książce Anny Matei „Poznanie Kępińskiego. Biografia psychiatry”

■ ■ **ZMYSŁY**

102 Faronau ADAM ROBIŃSKI:
Latarnie morskie trwają w swej pięknej, niepotrzebnej misji

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**

Polscy pracodawcy wciąż często nie potrafią pojąć, że nadmierne obciążenie pracą czy nieudzielanie urlopów to także łamanie praw pracowniczych – w autorskim cyklu pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **Co z tą Betelgezą [Podkast Powszechny]**

Jedna z najjaśniejszych gwiazd naszego nieba znów przyciągnęła z początkiem roku uwagę świata. Czy ujrzymy niedługo na niebie zjawisko równie jasne, co Księżyc? Czy zobaczymy supernową? – komentuje **DR ŁUKASZ LAMŻA** z działu naukowego „TP” powszech.net/gwiazda

➔ **Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA**

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



ROSYJSKIE WRZUTKI I POLSKIE REAKCJE

Nie mamy wpływu na to, co robi Władimir Putin.
Ale mamy wpływ na to, jak będziemy reagować na jego wojnę informacyjną.

WOJCIECH PIĘCIAK

TO WSZYSTKO JUŻ BYŁO – TYLKO KIEDYŚ, w dobie przedinternetowej, innymi metodami i na mniejszą skalę. Mowa o używaniu historii jako narzędzia przez Związek Sowiecki i potem Rosję, w postaci starannie selekcjonowanych i adresowanych „wrzutek”.

Kiedyś, 30 lat temu, u progu niepodległości Polski i Ukrainy, sowieckie jeszcze KGB – usiłujące wywołać konflikt polsko-ukraiński – „dokarmiło” polskie środowiska narodowo-komunistyczne dokumentami z archiwum NKWD na temat antypolskich działań Ukraińców. Kserokopie wędrowały z rąk do rąk, a efektami były np. książki pewnego pisarza historycznego (trafił on potem do toruńskiej szkoły medialnej) i lokalne akcje. Tamta historia, kontrowana po cichu przez ówczesny UOP, wciąż czeka na opisanie.

Dziś możliwości techniczne są większe. Prezydent Rosji cytuje w telewizji przechwycone depesze dyplomatyczne z lat 30. mające dowodzić antysemityzmu elit II RP, a rosyjskie Ministerstwo Obrony udostępnia światu – w minionym tygodniu – stronę internetową poświęconą niby „wyzwoleniu” Warszawy 75 lat temu, na której – co za zbieg okoliczności – znaleźć można materiały o antyukraińskich i antyżydowskich akcjach polskiego podziemia.

Nie mamy wpływu na to, co robi Władimir Putin. Ale mamy wpływ na to, jak będziemy – jako państwo i społeczeństwo – reagować na rozkręcającą się rosyjską ofensywę polityczną, której narzędziem jest rewizjonizm historyczny. Jako państwo zatem – nie samotnie, lecz możliwie najszerszym frontem z sojusznikami i partnerami (na szczęście tak się dzieje).

„Mam wrażenie, że oni nie umieją czytać i pisać” – tak o europosłach, którzy w 2019 r. przyjęli rezolucję o odpowiedzialności Niemiec i Sowieców za wybuch II wojny światowej, mówił Putin na obchodach 76. rocznicy zakończenia blokady Leningradu. Petersburg, 18 stycznia 2020 r.

Byłoby też z pożytkiem dla interesu Polski, także w sensie utrudniania działań Rosji, gdyby – z jednej strony – prezydent Duda i premier Morawiecki powściągnęli się w ekspozycji głównie „białej” interpretacji dziejów Polski. Co zresztą świadczyłoby nie o słabości, lecz przeciwnie: gotowość do zrozumienia cudzych nieszczęść i stanięcia twarzą w twarz także z tym, co było złe, świadczy o sile narodu, który jest na tyle spokojny o swój byt i świadomy swych zalet i słabości, że może bez lęku dyskutować o przeszłości. Wątpię, czy w tę tezę polecam przeanalizowanie, z jaką łatwością Rosja rozgrywa Ukrainę na polu historyczno-moralnym – w sytuacji, gdy ukraińskie elity wciąż mają trudność z akceptacją całościowej historii OUN i UPA, z jej zbrodniczymi i totalitarnymi aspektami.

Byłoby również z pożytkiem, gdyby – z drugiej strony – Jan Grabowski czy Dominika Wielowieyska (traktowani tu *pars pro toto*) powściągnęli się w emocjach (nie dawny tekst Grabowskiego w „Krytyce Politycznej”, gdzie mowa o „typowo słowiańskiej hucpie”, stawia – nie po raz pierwszy w przypadku tego autora – sens dyskusji z nim pod znakiem zapytania) albo w wykorzystywaniu stworzonej przez Rosję okazji, by uderzyć w PiS (patrz komentarz Wielowieyskiej w „Gazecie Wyborczej” z tezą, że prezydent powinien tańczyć, jak zagra pewien rosyjsko-żydowski oligarcha; więc o tym piszemy w dziale Świat).

W globalnym dziś – za sprawą sieci – sporze polityczno-historyczno-moralnym podkładamy się Rosji i wtedy, gdy usiłujemy wybielać naszą historię, i wówczas, gdy zapominamy, iż również w realiach makrospołecznych działa psychologiczna zasada, że jeśli chcesz krytykować efektywnie (czyli tak, by przyjęto krytykę), pamiętaj też o chwale. Inaczej tylko zaognisz problem – co w obecnym kontekście może skutkować wskrzeszeniem konstrukcji „żydokomuny”, w której miejsce komunizmu zajęłaby Rosja. Być może zresztą także o to chodzi Putinowi.

Rosyjska ofensywa trwa i można sobie wyobrazić, z jaką energią w moskiewskich archiwach dobierane są materiały na kolejne „wrzutki”. Przed nami rok wielu ważnych rocznic – dawniejszych (zwycięstwa w 1920 r., zbrodni katyńskiej, końca II wojny w Europie) i bliższych (10. rocznica Smoleńska). Wiele okazji dla rosyjskich specjalistów od wojny informacyjnej. Nie ułatwiamy im tej roboty. ©©

O obchodach 75. rocznicy wyzwolenia więźniów Auschwitz piszemy w dziale Świat, a kwestii pamięci poświęcony jest dodatek w tym numerze.

PiS na wojnie ze złym Zachodem

ANDRZEJ STANKIEWICZ



OBÓZ WŁADZY NIE WYCOFA SIĘ Z KONTROWERSYJNEJ ustawy, którą opozycja zwie „kagańcową”. Gdyby to zrobił, runęłaby cała konstrukcja tzw. reformy sądownictwa. W swym pilnym raporcie Komisja Wenecka bardzo krytycznie oceniła ustawę, którą PiS chce dyscyplinować sędziów. Minister sprawiedliwości uznał raport za parodię i komedię w jednym. Nie ma się co dziwić. Forsując kontrowersyjną ustawę, Ziobro ucieka przed gilotyną. W ramach tzw. reformy wymiaru sprawiedliwości PiS wybrał własną Krajową Radę Sądownictwa. Trafili do niej kojarzeni z PiS sędziowie, którzy przedstawili listę co najmniej 25 podpisów swych kolegów po fachu. Choć zgodnie z prawem podpisy te powinny być jawne, obóz władzy staje na głowie, by je ukryć. A to uprawdopodobnia plotki, że z podpisami jest coś nie tak, a zatem – że Ziobro mógł złamać własną ustawę.

Ponieważ w serii orzeczeń sędziowie krytyczni wobec działań PiS domagają się

weryfikacji ukrywanych podpisów, Ziobro musi im zatkać usta. Jeśli tego nie zrobi, grozi mu podważenie legalności KRS i wszystkich zmian w sądach.

Kłopot PiS polega na tym, że do krytyki Komisji Weneckiej dołącza nowa Komisja Europejska i nowy Parlament Europejski – a to koniec złudzeń władzy, która wierzyła, że po odsunięciu zniechęconego Fransa Timmermansa będzie mogła robić, co chce. Stąd zaostrenie retoryki liderów PiS wobec Zachodu. Ziobro mówi o wyższości i bucie wobec Polski, a nawet segregacji Polaków. Prezydent Duda krzyczy: „Nie będą nam w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy”. Prezes Kaczyński łączy to wręcz z dramatycznymi wojennymi losami pokolenia swej matki i mówi o odparciu „nowego zamachu na naszą suwerenność i niepodległość”. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.
Stale współpracuje z „TP”.

Poniżej stanów ostrzegawczych

WYSCHNIĘTE PRZYDOMOWE STUDNIE i coraz częstsze „chwilowe” problemy z dostawami wody bieżącej – to niestety realistyczna prognoza na tegoroczne lato. Za nami ciepła i do tego sucha jesień, po której przyszła podobna zima. Grudzień – jak podaje Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej – był w porównaniu z wieloletnią średnią dla tego miesiąca cieplejszy o ponad dwa stopnie Celsjusza. Na południu kraju w połowie miesiąca temperatury w ciągu dnia sięgały nawet 17–18 stopni. Suma opadów na większości obszaru Polski zatrzymała się za to poniżej średniej. Rekord padł w Płocku, gdzie przez cały grudzień spadło 6,6 mm wody, co stanowiło tylko 17,2 proc. normy miesięcznej.

Dlatego Państwowa Służba Hydrogeologiczna w najnowszym komunikacie ostrzega, że aż w 11 z 16 województw poziom wód gruntowych spadł w styczniu poniżej stanów ostrzegawczych. Jeśli sytuacja nie ulegnie poprawie, suszę, która nawiedziła Polskę latem ubiegłego roku, tego lata możemy wspominać z rozrzew-

nieniem. Wyschnięte przydomowe studnie i problemy z dostawami wody bieżącej z płytkich ujęć, notowane wtedy incydentalnie, w tym roku mogą już mieć – jak pisał w biuletynie badacze PSH – charakter regionalny.

Jesień, a zwłaszcza zima, w polskim klimacie są kluczowym okresem dla zasobów wód podziemnych, zwłaszcza tych przy powierzchni. A raczej były, bo typowe dla tych pór roku opady deszczu i śniegu oraz temperatury na granicy zera, umożliwiające powolne przenikanie wody w głąb gruntu, odchodzą do przeszłości. Sytuację komplikuje dodatkowo kumulacja okresów suszy. Podobne niżówki wystąpiły w 2015 i 2016 r. Kolejny rok obfitował w opady, ale w 2018 i 2019 r. od późnej jesieni do wczesnej wiosny ponownie zabrakło warunków, w których poziom wód gruntowych mógłby się odbudować.

Dyspozycyjne zasoby wód podziemnych, czyli zidentyfikowane i nadające się do eksploatacji źródła, które są też się w stanie odnawiać, liczą w Polsce łącznie około 14 kilometrów sześciennych. Aktualnie wykorzystujemy je w około 13–17 proc. © MAREK RABIJ

Śmierć 9-miesięcznej Blanki: taka tragedia się powtórzy

DO TEJ PORY STARALIŚMY SIĘ TRZYMAĆ DYSTANS, bo ta śmierć była dla nas traumą. Teraz chcemy przemówić: Blanka nie będzie ostatnia, jeśli nie zmieni się wiele w naszym społeczeństwie – mówi „Tygodnikowi” bliska krewna Anny W. z Olecka, oskarżonej o zabicie swojej 9-miesięcznej córki. Kobieta skontaktowała się z redakcją po lekturze opublikowanego u nas kilka miesięcy temu reportażu „Blanka nie będzie ostatnia” (zob. powszech.net/blanka), dodatkowo ośmielona upublicznionymi kilka dni temu przez TVN24 wynikami kontroli olsztyńskiego Urzędu Wojewódzkiego w oleckim Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej.

Chronologia zdarzeń jest następująca. Dziewczynka przychodzi na świat we wrześniu 2018 r. Kilka tygodni później sąd decyduje o tymczasowym umieszczeniu dziecka w rodzinie zastępczej. Powodem są dziwne zachowania matki i symptomy uzależnienia od substancji psychoaktywnych.

– Anna nie miała żadnego wsparcia. Dziecko nie zostałoby jej zresztą odebrane, gdyby nie nasza, czyli rodziny interwencja. To my najpierw zabraliśmy Ani Blankę, bo według nas dziewczynka była zagrożona. Była u nas przez weekend. Policja nie reagowała na wezwania. Blanka trafiła do rodziny zastępczej dopiero po kilku dniach – mówi dziś krewna W.

W marcu 2019 r. sąd decyduje jednak o powrocie dziecka do domu. Powód? Anna W. odbyła leczenie i była w trakcie odwyku. O powrót do rodziny miały zaś wnioskować instytucje. – Sąd podjął decyzję, nie zrywając nas nawet na świadków – opowiada W. Trzy miesiące po tej decyzji dziewczynka umrze, a sekcja zwłok wykaże m.in. obrażenia głowy, klatki piersiowej czy płuco przebite żebrem.

Kilka dni temu TVN24 podał ustalenia wojewódzkiej kontroli w oleckim MOPS. Nierzetelny wywiad środowiskowy, niewszczęcie procedury Niebieskiej Karty, brak nadzoru MOPS nad pracownikami – to najważniejsze z nich. Nasza informatorka twierdzi, że w rzeczywistości było jeszcze gorzej: – MOPS nie przydzielił Annie asystenta rodziny, bo urzędnicy uważali, że tego nie potrzebuje [kierowniczka ośrodka przekonywała w reportażu „TP”, że to Anna W. odmówiła pomocy – red.]. Od początku do końca Anna nie dostała wsparcia żadnej instytucji, nawet obowiązkowe wizyty położnych w domu sprowadzały się do rozmów telefonicznych. Jeśli nic się nie zmieni, podobne tragedie będą się powtarzać. Chcemy to nagłośnić. Jesteśmy to winni Blance i innym zagrożonym dzieciom.

Opinia W. nie odbiega od wyrażanych przez ekspertów: polski system wsparcia zagrożonych rodzin jest dziurawy, a instytucje – na czele z sądami – przejawiają tendencję, by nawet w niedających nadziei na zmianę sytuacjach dawać szansę rodzinom. Czasami, jak w przypadku Olecka, z tragicznym skutkiem.

Do historii Blanki będziemy wracać.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

KREŚLĄ

„Aktualnie na naszej desce kreślarskiej nie zajmujemy się tematem repolonizacji czy dekoncentracji na rynku medialnym” – powiedział premier Morawiecki w wywiadzie dla „Do Rzeczy”, a metafora deski kreślarskiej zachwyciła nas jeszcze bardziej niż mimika prezydenta Dudy w Zwoleńcu (tam, gdzie mówił, że „nie będą nam w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy”).

KONSULTUJĄ

Są inne sposoby niż repolonizacja: na portalu OKO.press ukazał się artykuł o współpracy Wirtualnej Polski z Ministerstwem Sprawiedliwości, w tym o blokowaniu artykułów krytycznych wobec Zbigniewa Ziobry bądź konsultowaniu ich z jego żoną. Wiceprezes WP Tomasz Machała udał się na urlop do czasu wyjaśnienia sprawy.

ZWALNIAJĄ

Samemu zaś można zwalniać: po 13 latach Polskie Radio zakończyło współpracę z Dariuszem Rosiakiem, autorem kultowej audycji „Raport o stanie świata”.

MILCZĄ

Można nie informować, np. o wyprowadzeniu z funduszu operacyjnego CBA blisko 5 mln zł przez pracownicę pionu finansowego tej instytucji (wiadomość o aferze w służbie powołanej do ścigania podobnych nieprawdowosci podał Onet).

TRANSMITUJĄ

Można też dobierać ofertę programową. TVP Info zorganizowała transmisję mszy świętej w 7. rocznicę śmierci Jadwigi Kaczyńskiej.

Okolo 8 tysięcy ludzi nie doleciało do Krakowa

A NIEMAL DRUGIE TYLE MIAŁO KŁOPOT z wylotem. Wszystko jednego dnia: w czwartek 16 stycznia, kiedy kilkadziesiąt rejsów na lotnisko w Balicach przekierowano do Katowic, Rzeszowa czy Brna. Bezpośrednim powodem była mgła, pośrednim – brak tzw. systemu ILS wyższej kategorii, który umożliwia lądowanie w warunkach gorszej widzialności. Zdarzyło się to nie pierwszy raz: rezerwując loty z/do Krakowa od późnej jesieni do wczesniej wiosny, gdy (szczególnie rano i wieczorem) prawdopodobieństwo wystąpienia mgły jest największe, pasażerowie ryzykują wielogodzinne opóźnienia.

Sytuacja jest paradoksalna: kontynuacji imponującego jak dotąd rozwoju drugiego lotniska w Polsce (w 2019 r. prawie 8,5 mln pasażerów) – w którego zasięgu jest ok. 8 mln mieszkańców Małopolski, Śląska, Moraw i północnej Słowacji, portu przyciągającego zarówno tanie, jak i tradycyjne linie lotnicze – stoją na przeszkodzie m.in. właścicielskie i polityczne uwikłania. W Krakowie od lat słychać narzekania, że główny udziałowiec spółki, Przedsiębiorstwo Państwowe „Porty Lotnicze”, zaniedbuje Balice, skupiając się na warszawskim lotnisku Chopina. Publicznym

ODLOTY		20-05	
LOT	DO	WYJAZD	WYJAZD
1418	WARSZAWA	1418	WARSZAWA
1419	WARSZAWA	1419	WARSZAWA
1420	WARSZAWA	1420	WARSZAWA
1421	WARSZAWA	1421	WARSZAWA
1422	WARSZAWA	1422	WARSZAWA
1423	WARSZAWA	1423	WARSZAWA
1424	WARSZAWA	1424	WARSZAWA
1425	WARSZAWA	1425	WARSZAWA
1426	WARSZAWA	1426	WARSZAWA
1427	WARSZAWA	1427	WARSZAWA
1428	WARSZAWA	1428	WARSZAWA
1429	WARSZAWA	1429	WARSZAWA
1430	WARSZAWA	1430	WARSZAWA
1431	WARSZAWA	1431	WARSZAWA
1432	WARSZAWA	1432	WARSZAWA
1433	WARSZAWA	1433	WARSZAWA
1434	WARSZAWA	1434	WARSZAWA
1435	WARSZAWA	1435	WARSZAWA
1436	WARSZAWA	1436	WARSZAWA
1437	WARSZAWA	1437	WARSZAWA
1438	WARSZAWA	1438	WARSZAWA
1439	WARSZAWA	1439	WARSZAWA
1440	WARSZAWA	1440	WARSZAWA
1441	WARSZAWA	1441	WARSZAWA
1442	WARSZAWA	1442	WARSZAWA
1443	WARSZAWA	1443	WARSZAWA
1444	WARSZAWA	1444	WARSZAWA
1445	WARSZAWA	1445	WARSZAWA
1446	WARSZAWA	1446	WARSZAWA
1447	WARSZAWA	1447	WARSZAWA
1448	WARSZAWA	1448	WARSZAWA
1449	WARSZAWA	1449	WARSZAWA
1450	WARSZAWA	1450	WARSZAWA
1451	WARSZAWA	1451	WARSZAWA
1452	WARSZAWA	1452	WARSZAWA
1453	WARSZAWA	1453	WARSZAWA
1454	WARSZAWA	1454	WARSZAWA
1455	WARSZAWA	1455	WARSZAWA
1456	WARSZAWA	1456	WARSZAWA
1457	WARSZAWA	1457	WARSZAWA
1458	WARSZAWA	1458	WARSZAWA
1459	WARSZAWA	1459	WARSZAWA
1460	WARSZAWA	1460	WARSZAWA
1461	WARSZAWA	1461	WARSZAWA
1462	WARSZAWA	1462	WARSZAWA
1463	WARSZAWA	1463	WARSZAWA
1464	WARSZAWA	1464	WARSZAWA
1465	WARSZAWA	1465	WARSZAWA
1466	WARSZAWA	1466	WARSZAWA
1467	WARSZAWA	1467	WARSZAWA
1468	WARSZAWA	1468	WARSZAWA
1469	WARSZAWA	1469	WARSZAWA
1470	WARSZAWA	1470	WARSZAWA
1471	WARSZAWA	1471	WARSZAWA
1472	WARSZAWA	1472	WARSZAWA
1473	WARSZAWA	1473	WARSZAWA
1474	WARSZAWA	1474	WARSZAWA
1475	WARSZAWA	1475	WARSZAWA
1476	WARSZAWA	1476	WARSZAWA
1477	WARSZAWA	1477	WARSZAWA
1478	WARSZAWA	1478	WARSZAWA
1479	WARSZAWA	1479	WARSZAWA
1480	WARSZAWA	1480	WARSZAWA
1481	WARSZAWA	1481	WARSZAWA
1482	WARSZAWA	1482	WARSZAWA
1483	WARSZAWA	1483	WARSZAWA
1484	WARSZAWA	1484	WARSZAWA
1485	WARSZAWA	1485	WARSZAWA
1486	WARSZAWA	1486	WARSZAWA
1487	WARSZAWA	1487	WARSZAWA
1488	WARSZAWA	1488	WARSZAWA
1489	WARSZAWA	1489	WARSZAWA
1490	WARSZAWA	1490	WARSZAWA
1491	WARSZAWA	1491	WARSZAWA
1492	WARSZAWA	1492	WARSZAWA
1493	WARSZAWA	1493	WARSZAWA
1494	WARSZAWA	1494	WARSZAWA
1495	WARSZAWA	1495	WARSZAWA
1496	WARSZAWA	1496	WARSZAWA
1497	WARSZAWA	1497	WARSZAWA
1498	WARSZAWA	1498	WARSZAWA
1499	WARSZAWA	1499	WARSZAWA
1500	WARSZAWA	1500	WARSZAWA

PATRYK MCTYKA / ONET

inwestycjom nie sprzyja też hurraoptymistyczna atmosfera wokół budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, do którego pasażerowie mają docierać głównie szybką koleją. Niebawem w Balicach powinna ruszyć, odkładana od lat, budowa nowej drogi startowej, ale losy systemu ILS wyższej kategorii są wciąż niepewne. Bez nich, jak i bez jeszcze większego terminalu, lotnisko czeka zastój, a załogi z przydziałem na rejs nocujący w Krakowie będą wciąż, czego pisać te słowa był świadkiem, zabierać ze sobą drugie śniadania (mgła opóźnia też poranne starty).

W tle problemu Balic jest jednak inne, ważne nie tylko dla Małopolski pytanie: na ile tak wyraźnie zmierzająca w kierunku centralizacji przyszła struktura komunikacyjna kraju będzie służyć, a na ile – jak w Krakowie – utrudniać życie mieszkańcom regionów.

© MARCIN ŻYŁA

Prawybory Demokratów i proces Trumpa w Senacie

WKRÓTCE, 3 LUTEGO, GŁOSOWANIEM W IOWA

zaczynają się prawybory mające wyłonić osobę, która z ramienia Partii Demokratycznej zmierzy się z Donaldem Trumpem w listopadowej rywalizacji o Białą Dom. Choć w ogólnokrajowych sondażach wciąż prowadzi były wiceprezydent Joe Biden, w Iowa szansę na wygraną ma każdy z tej czwórki: Biden, Bernie Sanders, Elizabeth Warren i Pete Buttigieg. Zwycięstwo w tym stanie o niczym wprawdzie nie przesądzi, ale będzie ważne symbolicznie i może zmienić dynamikę kampanii, dlatego między kandydatami rośnie napięcie. Podczas ostatniej debaty Demokratów starli się senatorowie Warren i Sanders, liderzy lewicowego skrzydła partii, których dotychczas łączył nieformalny pakt o nieagresji.

Tymczasem w Senacie rusza proces Donalda Trumpa, ale wynik głosowania znany jest z góry: republikańska większość nie ugnie się i nie zgłasza za odwołaniem prezydenta, choć coraz to pojawiają się nowe dowody świadczące, że Trump złamał prawo. Domagając się od władz Ukrainy haków na Bidena, swojego politycznego rywala, wstrzymał zatwierdzonej przez Kongres pomoc wojskową dla tego kraju, przedstawiając własny interes nad interes USA. Gdyby głosowanie było tajne, prawdopodobnie Trump pożegnałby się ze stanowiskiem, ale w obecnym klimacie politycznym żaden republikański senator nie zaryzykuje swojej kariery głosowaniem przeciwko Trumpowi – niezmiennie popularnemu wśród republikańskich wyborców. © PIOTR TARCZYŃSKI

Zdjęcia z Sobiboru

PONAD 300 NIEZNANYCH zdjęć pokazujących Akcję Reinhardt (zagładę polskich Żydów, głównie w obozach Bełżec, Sobibór i Treblinka) zaprezentuje 28 stycznia berlińskie Centrum Dokumentacji „Topografia Terroru”. Wykonał je Johann Niemann: esesman, który służył w obozach w Niemczech, a potem w okupowanej Polsce, m.in. jako zastępca komendanta Sobiboru (zginął podczas powstania więźniów). Jego spuściznę odnaleziono w 2015 r. Jeśli okaże się, że fotografował nie tylko siebie i kolegów, publikacja może być sensacją: z obozów Akcja Reinhardt prawie nie ma zdjęć. © WP

Więcej: powszech.net/zdjecia-z-sobiboru

AAREF WATAD / AFP / EAST NEWS



WOJNA POZBAWIŁA DZIECIŃSTWA AŻ 5 MLN SYRYJSKICH DZIECI: byli porywane, torturowane, wcielane do oddziałów, ginęły same i traciły rodziców. Szczegółowo opisuje to wstrząsający raport komisji śledczej ONZ, oparty na 5 tys. wywiadów. Całość dostępna na www.ohchr.org. Na zdjęciu: dziewczynka-uchodźczyni, mieszkanka prowizorycznego obozu niedaleko Aleppo, 19 stycznia 2020 r.

W Rosji ruszyła operacja „Sukcesja”

ANNA ŁABUSZEWSKA



JEDEN Z KREMLOWSKICH RYTUAŁÓW – DOROCZNE ORĘDZIE prezydenta przed połączonymi izbami parlamentu – przyniósł zapowiedzi zmian na zabetonowanej scenie politycznej i ożywił senny pejzaż wokół tronu. Głównym przedsięwzięciem ma być lifting konstytucji. Nowa redakcja jej niektórych artykułów nie będzie poddana pod referendum (ma się odbyć bliżej nieokreślone głosowanie), nie przewiduje się też zwołania Zgromadzenia Konstytucyjnego. Zmiany będą wprowadzone na podstawie prac niekonstytucyjnego ciała, zwanego grupą roboczą ds. opracowania poprawek do konstytucji (w jej skład weszli m.in. sportowcy, celebryci, artyści zaliczający się do obsługi Kremla).

Wytyczne zmian zawarte w orędziu są ogólnikowe. Można jednak przypuszczać, że Putin – przynajmniej wstępnie – zdecydował, że nie będzie nagiął obecnej konstytucji, by móc wystartować w wyborach w 2024 r. (nie przewiduje ona możliwości kolejnego startu osoby piastującej urząd przez dwie kadencje z rzędu). Rozpoczęta właśnie operacja „Sukcesja” ma dać Kremlowi większą swobodę ruchu: poszukiwany będzie schemat, który umożliwi Putinowi zachowanie pełni władzy po zakończeniu tej kadencji. Być może zostanie zastosowany model podobny do tego z Kazachstanu: odwieczny prezydent Nazarbajew ustąpił z urzędu, ale jako „lider narodu” zachował najważniejszą pozycję w państwie.

Rozpatrywane jest też rozszerzenie kompetencji Rady Państwa, obecnie organu jedynie doradczego – stojąc na jego czele, Putin mógłby zachować głos decydujący.

Już kilka godzin po orędziu przystąpiono do przemeblowania. Premier Dmitrij Miedwiediew podał się do dymisji wraz z całym rządem; szybko też otrzymał propozycję objęcia stanowiska wiceszefa Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (to ważne ciało doradcze, pracujące pod przewodnictwem prezydenta). Stanowisko to dopiero powstanie, specjalnie dla Miedwiediewa. Fotel premiera nie stał pusty nawet przez dobę. Putin wskazał Michaiła Miszustina, szefa Federalnej Służby Podatkowej – typowego przedstawiciela stanu urzędniczego, szerzej nieznanego. Duma natychmiast zatwierdziła jego kandydaturę. Miszustin nie przejawiał dotąd ambicji politycznych, sprawnie zarządzał przepływami pieniędzy podatkników. Komentatorzy zwracają uwagę, że może mieć zasługi w obsłudze finansów osób z otoczenia prezydenta.

Który scenariusz okaże się przydatny dla wiecznego trwania układu rządzącego, z Putinem na szczycie? Czy „grupie trzymającej władzę” uda się zachować monopol? Czy redakcja konstytucji da Putinowi możliwość dożywotniego rządzenia, na takim czy innym urządzie? Dziś nikt nie zna odpowiedzi na te pytania. Nawet Putin. © WP

Więcej na blogu autorki:

labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Zgoda na eurominimum

NARESZCIE COŚ, w czym Warszawa zgadza się z Brukselą: Komisja Europejska chce wprowadzić europejską płacę minimalną. Poziom tego świadczenia miałby być równy co najmniej 60 proc. przeciętnego wynagrodzenia w krajach UE – czyli około 3,2 tys. zł (obecnie pensja minimalna w Polsce to 2,6 tys. zł brutto).

Sprawiedliwe minimum – jak o nowym pomysśle Komisji mówi jej przewodnicząca Ursula von der Leyen – miałoby ograniczyć proceder płacowego dumpingu, czyli konkurencji między firmami z różnych krajów UE opartej wyłącznie na różnicach płac. Zdaniem szefowej KE europejska pensja minimalna poprawi warunki bytowe ok. 110 mln Europejczyków żyjących obecnie poniżej minimum socjalnego.

Według europejskiej agencji Eurofound roczna minimalna płaca netto w krajach takich jak Polska, Węgry, Czechy czy Słowacja nie przekracza 5 tys. euro, w Bułgarii i Rumunii oscyluje zaś na poziomie 3 tys. euro. Z kolei w Niemczech, Francji i Włoszech przekracza 13 tys. euro, a w Hiszpanii 11 tys. euro. © P. MR

Szkocja: czas działa na korzyść Nicolii Sturgeon

PATRYCJA BUKALSKA



LONDYN ODRZUCIŁ W MINIONYM TYGODNIU WNIOSEK Edynburga o rozpisanie nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji. Premier Boris Johnson przypomniał, że Szkoci już raz wypowiedzieli się w tej sprawie, i że miało to być głosowanie „raz na całe pokolenie”. Faktycznie, w 2014 r. trochę ponad połowa mieszkańców Szkocji (55 proc.), którzy wzięli udział w tym referendum, zdecydowała, że kraj – mający dziś szeroką autonomię w obrębie Zjednoczonego Królestwa – pozostanie jego częścią. Jednak w międzyczasie coś ważnego się zmieniło: z końcem stycznia Wielka Brytania opuszcza Unię, podczas gdy większość Szkotów tego nie chce (co wyrazili w referendum brexitowym). Liczą, że jako niepodległe państwo będą mogli wrócić do Unii.

Zdaniem Nicolii Sturgeon, stojącej na czele szkockiego rządu autonomicznego, decyzja Johnsona jest nie do utrzymania, a Szkocja ma prawo decydować o sobie. Jak? Sturgeon wyklucza referendum bez zgody Londynu – Szkocji nie grozi więc powtórka z Katalonii. Natomiast może ona próbować powalczyć w sądzie. To jednak potrwa.

Nicola Sturgeon chciała, by referendum odbyło się w drugiej połowie 2020 r. Teraz to już niemożliwe. Paradoksalnie jednak swoją bezceremonialną odmową Johnson wyświadczył jej przysługę – bo choć poparcie dla niepodległości w Szkocji rośnie, to wciąż nie na tyle, by jej zwolennicy mogli być pewni zwycięstwa w głosowaniu. Czas działa na ich korzyść – zwłaszcza jeśli pojawią się odczuwalne negatywne skutki brexitu. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

TAJEMNICE PIUSA XII
Od 2 marca historycy będą mieli dostęp do dokumentów dotyczących pontyfikatu Piusa XII (1939-58). Prefekt Watykańskiego Archiwum bp Sergio Pagano poinformował, że na razie zapisało się 85 badaczy, m.in. z Izraela, Niemiec i Rosji. Hierarcha wyraził przekonanie, że „bez wątplenia wyblaknie wiele uprzedzeń” wobec Piusa XII (oskarżanego o milczenie wobec Holokaustu).

PROTEST KONSERWATYSTÓW
Aktywiści konserwatywnych środowisk protestowali w Monachium przeciwko Drodze Synodalnej – zainicjowanemu przez niemiecki episkopat forum szukającemu recepty na kryzys Kościoła. Grupa ok. 130 osób z Niemiec, Włoch, USA, Austrii, Brazylii, Kanady i Chile godziną milcząco modliła przed monachijską katedrą wsparła apel, by Franciszek jasno ustosunkował się do Drogi Synodalnej. Wśród demonstrujących znalazł się były nuncjusz w USA abp Carlo Maria Viganò, który niedawno wzywał papieża do dymisji, a także Austriak, który podczas synodu dla Amazonii wrzucił do Tybru wykradzione z kościoła figurki Pachamamy.



MUZEUM AUSCHWITZ

CYWIŃSKI WYRÓŻNIONY
Dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau i były prezes warszawskiego KIK Piotr Cywiński został odznaczony watykańskim krzyżem „Pro Ecclesia et Pontifice”. „W dużej mierze dzięki Piotrowi Cywińskiemu miejsce pamięci Auschwitz-Birkenau jest dziś wielką przestrzenią budowania jedności całego rodzaju ludzkiego, a nie petryfikowania dawnych podziałów” – podkreślił w laudacji abp Grzegorz Ryś.



VATICAN MEDIA

Franciszek rozbija szklany sufit: dyplomacja Watykanu w ręku kobiety

FRANCESCA DI GIOVANNI, świecka włoska prawniczka związana z ruchem Focolari, została podsekretarzem w watykańskim Sekretariacie Stanu. W watykańskiej dyplomacji pracuje od 1993 r., po zeszlutygodniowym awansie zajęła stanowisko równorzędne z drugim podsekretarzem, ks. Mirosławem Wachowskim. Zajmie się koordynacją dyplomacji wielostronnej, czyli aktywności Stolicy Apostolskiej na forach organizacji międzynarodowych (ks. Wachowski nadzoruje stosunki dwustronne, czyli z państwami). Dotychczas żadna kobieta nie objęła kierowniczego stanowiska w Sekretariacie Stanu.

Di Giovanni ma doktorat z prawa, wcześniej pracowała m.in. jako notariusz. Jej nowe zadania, jak opisała w rozmowie z Radiem Watykańskim, obejmują problemy „wspólnego dobra międzynarodowego, jak rozwój, środowisko, ochrona ofiar konfliktów, sytuacja kobiet”. O swoim awansie mówiła językiem dyplomatycznym: papież, jej zdaniem, „podjął nowatorską decyzję, która, abstrahując od mojej osoby, świadczy o wielkiej wadze, jaką przywiązuje on do roli kobiet” – stwierdziła, dodając zaraz: „odpowiedzialność, jaką mi powierzył, związana jest raczej z moją pracą, a nie z faktem bycia kobietą”. Wspomniała homilię Franciszka z 1 stycznia, w której nazwał kobiety „dawczyniami i pośredniczkami pokoju” i podkreślił, że muszą być one „w pełni włączone w procesy decyzyjne”. © MACIEJ MÜLLER

Samowola warszawskiego księdza

JACEK PRUSAK SJ



KAPŁAN JEST SZAFARZEM EUCHARYSTII, a więc osobą sprawującą ten sakrament, choć już w przypadku udzielania komunii może nim być także diakon, a w sytuacjach nadzwyczajnych akolita czy ktoś specjalnie do tego celu wyznaczony. Będąc w owej podwójnej roli w trakcie sprawowania mszy, ksiądz jest odpowiedzialny za celebrowanie sakramentu, nie oznacza to jednak, że ma być prokuratorem Pana Boga. Widać jednak, że pokusa pomylenia jednego z drugim może być nie tylko silna, ale stać się faktem – tak jak do tego doszło ostatnio w warszawskim kościele Karmelitów na Solcu. Sprawujący liturgię duchowny odmówił Szymonowi Hołowni udzielenia komunii twierdząc, że „nie pozwala mu na to sumienie” z powodu „poglądów, jakie ten głosi”.

Ogólna kościelna zasada jest taka, że każdy wierny, czyli każdy ochrzczony, który właściwie prosi o przyjęcie sakramentu, jest odpowiednio przygotowany i prawo kanoniczne mu tego nie wzbrania, może i powinien być do niego dopuszczony. W świetle

Kodeksu Prawa Kanonicznego takiej możliwości w przypadku komunii św. nie ma osoba (1) ekskomunikowana lub podlegająca interdyktowi, po wymierzeniu lub deklaracji kary; (2) trwająca z uporem w jawnym grzechu ciężkim; (3) będąca pod wpływem alkoholu czy innych środków odurzających lub (4) jawnie okazująca lekceważący stosunek wobec sakramentów świętych. Jak więc widać, udzielanie komunii nie jest czynnością „automatyczną”, ale nie podlega też wyłącznie ocenie sumienia samego szafarza, bo nie jest on jasnowidzem.

Warszawski karmelita dokonał jednak samowolki, gdyż Hołownia przystępując do sakramentu nie spełniał żadnego z tych kanonicznych warunków. Konsekwencją hostia nie jest własnością księdza ani nie jest nią sumienie pragnącego ją przyjąć człowieka – o tym powinien pamiętać każdy szafarz komunii. Można powiedzieć, że w tym incydencie zabrakło duchownemu pokory, wiedzy i dojrzałości, ujawniły się za to wszystkie bolączki klerykalizmu. ©©

Coraz więcej przemocy wobec chrześcijan

260 MLN WYZNAWCÓW CHRYSUSA, czyli co ósmy, doświadcza poważnych prześladowań z powodu swej wiary, a w Azji nawet co trzeci – wynika z najnowszego Światowego Indeksu Prześladowań, opracowanego przez organizację Open Doors. Po raz pierwszy trafiły na niego trzy afrykańskie kraje, dotychczas znane z tolerancji religijnej: Niger, Burkina Faso i Kamerun. Powodem jest wzrost na tym terenie islamskiego fundamentalizmu.

Coroczny raport obejmuje okres od 1 listopada 2018 do 31 października 2019 r. Choć w ubiegłym roku liczba zamordowanych z powodu wiary spadła – 2983 osoby w porównaniu z 4139 w roku wcześniejszym – zakres i siła prześladowań wyraźnie wzrosły: w 2018 r. co dziewięć chrześcijanin był prześladowany.

Na pierwszym miejscu listy państw, w których chrześcijanie są najbardziej prześladowani, od 18 lat niezmiennie znajduje się Korea Północna, gdzie według Open Doors od 50 tys. do 70 tys. osób przetrzymywanych jest w obozach pracy z powo-

du wiary. Kolejne miejsca na czarnej liście zajmują kraje naznaczone islamskim fundamentalizmem: Afganistan, Somalia, Libia i Pakistan. Raport informuje, że największy wzrost prześladowań odnotowano w minionym roku w Chinach, Bangladeszu, Sri Lance, Kolumbii i Algierii. W Chinach według ostrożnych szacunków władze zamknęły aż 5,5 tys. obiektów kościelnych.

Nasilają się prześladowania w Afryce Subsaharyjskiej. „Cały region Sahelu jest zdestabilizowany, dżihad coraz bardziej się rozprzestrzenia, działa tam 27 różnych radykalnych grup islamskich. Wszystkie łączy jeden wspólny cel: żądza wyeliminowania obecności chrześcijańskiej na tym terenie – mówił Rado Watykańskiemu Cristian Nani, kierujący biurem Open Doors we Włoszech. – Podam przykład: bojówkarze pojawiają się w wioskach na północy Burkina Faso i dają trzydniowe ultimatum konkretnym rodzinom chrześcijańskim, że mają stamtąd zniknąć. Jeśli tak się nie stanie, zabijają ich”.

Nasila się także przemoc seksualna. Open Doors potwierdziło 8,5 tys. przypadków przemocy seksualnej wobec chrześcijanek, ale jak zastrzegają aktywiści, jest to zaledwie wierzchołek góry lodowej. ©© ASK

Biskupi Meksyku: winnych duchownych trzeba ukarać

„PRZEDAWNIE PRZESTĘPSTW SEKSUALNYCH powinno zostać zniesione” – powiedział w imieniu biskupów meksykańskich bp Alfonso Miranda Guardiola, sekretarz generalny tamtejszego episkopatu. W Meksyku okres, w którym należy wszcząć dochodzenie w takich sprawach, jest bardzo krótki: 10 lat.

Episkopat opublikował raport na temat przestępstw molestowania seksualnego nieletnich przez duchownych. W ciągu ostatnich 10 lat toczyły się postępowania wobec 426 księży; 271 dopuściło się molestowania, 155 popełniło inne przestępstwa (np. rozpowszechnianie pornografii dziecięcej). 173 procesy wciąż trwają, dotąd 217 księży usunięto ze stanu duchownego. W Meksyku żyje 93 mln katolików (84 proc. ludności), wśród których pracuje 16 tys. księży.

Biskupi zapewnili, że ściśle współpracują ze świeckimi organami ścigania. Abp Rogelio Cabrera López, przewodniczący episkopatu, podkreślił, że wydłużenie bądź likwidacja przedawnienia to krok ku sprawiedliwości wobec ofiar, gdyż wyrządzona im krzywda zostaje z nimi na całe życie. Przyznał, że Kościół musi wypracować szybką i skuteczną procedurę postępowania, a w przeszłości popełniono „wielkie błędy”, które ułatwiły sprawcom tuszowanie swoich czynów. Zachęcił ofiary i ich opiekunów do zgłaszania przestępstw.

Biskupi Meksyku próbują pokazać zaangażowanie w walkę z pedofilią w obliczu wychodzących na jaw nadużyć popełnianych we wpływowym zgromadzeniu Legionistów Chrystusa. Wewnętrzne dochodzenie wykazało, że 33 zakonnych księży i 71 seminarzystów w latach 1941–2019 popełniło przynajmniej 175 przestępstw molestowania nieletnich; założyciel Legionistów Marcial Maciel Degollado był winny 60 przypadków molestowania chłopców w wieku 11–16 lat. Degollado stworzył w zgromadzeniu łańcuch pedofilii: gwałcenie przez niego klerycy, o ile zdecydowali się milczeć, obejmowali w późniejszym czasie wysokie stanowiska i sami stawali się oprawcami. Raport stwierdza, że 111 nieletnich było molestowanych przez „sami Maciela, jedną z jego ofiar albo przez jedną z ofiar jego ofiar”.

©© MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

DLA AUTOREK

Laureatka Literackiej Nagrody Nobla Swietłana Aleksijewicz będzie publikowała książki pisane przez kobiety.

Wydawnictwo powinno rozpocząć działalność w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Aleksijewicz jest białoruską dziennikarką i pisarką, kronikarką rozpadu ZSRR.

Na podstawie napisanej przez nią w 1997 r. „Czarnobylskiej modlitwy” powstał serial HBO o skutkach wybuchu elektrowni jądrowej w Czarnobylu.

DLA AUTOREK I AUTORÓW

Ruszyło Stowarzyszenie Unia Literacka. Prezesem został Jacek Dehnel, sekretarzem Zygmunt Miłoszewski.

Celem stowarzyszenia jest dbanie o to, by interesy pisarzy były należycie chronione w umowach z wydawcami, redakcjami, bibliotekami i producentami adaptacji, a także lobbowanie na rzecz zmian prawnych polepszających stan branży.



MAD. SQ. ART

DLA WSZYSTKICH

Podczas gdy w Polsce powstaje ich coraz więcej, w USA pomniki są raczej kwestionowane.

Trwa debata na temat tego, co jest zabytkiem i kto może być jego przedmiotem. Od lat uczestniczy w niej także Krzysztof Wodiczko. Do 10 maja w Parku Madison w Nowym Jorku można oglądać wyświetlane na posągu admirała Davida Glasgowa Farraguta filmy przedstawiające nagrania rozmów z uchodźcami.

To reakcja Wodiczki na kryzys uchodźczy, który pozostaje nierozwiązany i wciąż przybiera na sile, zarówno w Europie, jak i w USA.



BARTOSZ MROZOWSKI / KINO ŚWIAT

Bogusław Linda w filmie „Psy 3. W imię zasad”

Psy pogrzebane



ANITA PIOTROWSKA

TRUDNO ŚCIGAĆ SIĘ Z WŁASNĄ LEGENDĄ. „Psy” Władysława Pasikowskiego z 1992 r. uważa się za najważniejszy film dekady, wyraz polskich lęków, aspiracji i przede wszystkim zawiedzionych nadziei związanych z transformacją. Druga część, nakręcona dwa lata później, pozostała daleko w tyle nie tylko pod względem realizacyjnym, ale także „diagnostycznym”.

Fenomen pierwszych „Psów” polegał bowiem na trafnym rozpoznaniu społecznego klimatu – czy intencjonalnym, to inna sprawa. Na modłę amerykańską film łączył nihilistyczny, bandycki sztafaż z tęsknotą za moralnym porządkiem. Tu: zniszczonym przez postkomunistyczny układ, czyli nową nomenklaturę, domorosłych gangsterów i biznesmenów w białych skarpetkach. Wydawało się, że dziś, w dobie plemiennych sporów o wartości i o przeszłość, ponownie dostaniemy film wsłuchany w swój czas, mierzący się z nowymi tabu. Tymczasem „Psy. W imię zasad” to po prostu sprawny sensacyjny film. Franz Maurer po 25 latach odsiadki szybko przekonu-

je się, że choć wszystko dookoła się zmieniło, to z grubsza jest tak samo. Rodzima policja ma bandyckie powiązania i takie metody, a szukającym sprawiedliwości pozostają brutalne samosądy. Okazuje się, że nie zmieniło się też wiele w samym kinie. Kiedy duzi chłopcy bawią się w strzelanki, kobiety to postacie ledwie trzecioplanowe, najczęściej sprzedajne i rozebrane. Ktoś powie: taka konwencja. Dlaczego jednak tym razem pozostaje aż tak asekurancka i mieści tak niewiele? Weźmy choćby wątek rosyjski (z jednostką GRU i polonem), który pozostał egzotycznym ozdobnikiem.

Mówiący sentencjami trzej starsi panowie, grani przez Bogusława Lindę, Cezarego Pazurę i Jana Frycza, walczący z dzisiejszymi mundurowymi o „zasady”, co najwyżej budzą sentyment. Nie uosabiają jednak tego gniewu i rozczarowania, które w polskim kinie ciągle czekają na swe prawdziwe „Psy”. Jak na razie owe nastroje stały się paliwem populistycznych filmów Patryka Vegi. ©

Ślad prastarego skorpiona

PŁYWAŁ OKOŁO 430 MLN LAT TEMU w płytkim oceanie nieopodal dzisiejszego jeziora Michigan. Jego skamieniałość wykopano już w latach 80. XX w., ale dopiero teraz został zidentyfikowany przez Andrew Wendruffa i współpracowników jako najstarszy znany skorpion. Skorpiony należą do pajęczaków – drugiej najliczniejszej gromady zwierząt (po owadach) i pierwszych kolonizatorów lądu. Nazwany *Parioscorpion venator*, miał układy krwionośny i oddechowy bardzo



SCIENTIFIC REPORTS

podobne do dzisiejszych skorpionów. Wyróżnia go tułów z siedmiu segmentów. Młodsze skamieniałości mają ich sześć, dzisiejsze skorpiony – pięć. Wiele jego cech sugeruje, że mógł prowadzić wodno-lądowy tryb życia, jak dzisiejsze kraby. © P ŁK

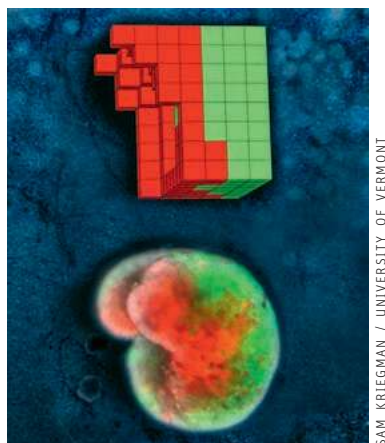
Maszyny z komórek

CZY TO ROBOT, CZY ZUPEŁNIE NOWA FORMA ŻYCIA? Czy jedno wyklucza drugie? Choć składają się z żywych komórek, to są dziełem komputera. Na cześć dawcy komórek, żaby *Xenopus laevis*, twórcy z uniwersytetów Vermont, Harvarda i Tufts ochrzcili je nazwą „ksenoboty”.

– Wzięliśmy komórki mięśnia sercowego, które regularnie się kurczą, i pasywne komórki skóry – opowiada w rozmowie z AP jeden z szefów projektu, Sam Kriegman z Uniwersytetu Vermont. – Komputer skleja te dwa typy komórek, układając je jak klocki w różne kształty. Zależnie od kształtu przejawiają różne zachowania.

Badacze zadają komputerowi zadanie, które ksenobot ma wykonać, a on, korzystając z algorytmów ewolucyjnych, tworzy tysiące możliwych kształtów i sprawdza, jak sobie radzą. Najlepsze modyfikuje dalej. Po setkach takich ewolucyjnych kroków osiąga optimum, a naukowcy ręcznie montują biomaszynę pod mikroskopem. Docelowo ksenoboty ma tysiącami produkować biopdrukarka 3D.

Na razie służą jako narzędzie do zrozumienia tego, jak komórki współpracują przy tworzeniu tkanek. W przyszłości mogą znaleźć pracę w medycynie – zbudowane z wła-



snych komórek pacjenta mogłyby transportować leki lub polować na nowotwory bez ryzyka odrzutu. Albo w ochronie środowiska, wylawiając np. mikrowłókna zaśmiecające oceany.

Czy ksenoboty należy uważać za żywe istoty? Nie rozmnażają się, nie jedzą (zapas energii pozwala im funkcjonować przez około 10 dni), wykonują zadanie, umierają i rozkładają się. Ich zachowania są predestynowane przez kształt. Z drugiej strony – w przyszłości mogą być wyposażane w zmysły i prymitywny układ nerwowy, pozwalający im reagować na otoczenie.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Cegła poda się sama

JESTEŚMY O KROK BLIŻEJ ŚWIATA, w którym ściany naszych domów, np. przerysowane hulałnogą dziecka, same się zagoją, a prastare zawołanie majstrów „się zaszpacchluje!” odejdzie w niepamięć.

Wil Srubar ze współpracownikami z University of Colorado w Boulder stworzyli materiał, który nazwali „frankensteinowskim”. Ożywiona materia powstała dzięki połączeniu zdolnych do fotosyntezy sinic z rodzaju *Synechococcus* z piaskiem i żelatyną, która posłużyła do utrzymania w mieszanke wody i składników odżywczych. Mieszanka stała się podłożem dla bakterii, które w miarę rozrostu wytwarzały węglan wapnia, podobnie jak niektóre stworzenia morskie tworzą skorupy. Użytkany po wysuszeniu materiał był mocny jak zaprawa cementowa.

W odpowiednich warunkach (m.in. przy wilgotności powyżej 50 proc.) materiał nie tylko się nie rozpadł, ale wręcz się reprodukował. Po przecięciu „żywej cegły” na pół i dodaniu piasku oraz żelatyny w ciągu sześciu godzin uzyskano dwie

pełnowymiarowe cegły. Po dwóch kolejnych podziałach naukowcy uzyskali ich osiem.

Żyjące materiały budowlane mogą zrewolucjonizować nie tylko techniki budowy domów czy dróg, ale też przyczynić się do podboju kosmosu. Mieszanka mogłaby zostać użyta w budowie struktur na Marsie – transport materiałów budowlanych na Czerwoną Planetę byłby zbyt kosztowny. Ale budowlane sinice, po dodaniu piasku i żelatyny, urosłyby same.

„Żywe cegły” mogą też pomóc w walce ze zmianami klimatycznymi. Wytwarzanie cementu i betonu odpowiada dziś za emisję do atmosfery 6 proc. generowanego przez ludzi dwutlenku węgla. Samorosnące cegły nie tylko zredukowałyby tę emisję, ale także – dzięki fotosyntezie – same usuwałyby dwutlenek węgla z atmosfery.

Nie wiadomo, jak szybko odkrycie naukowców z Kolorado znajdzie się w powszechnym użyciu. Ale prace nad „żywymi”, samołączącymi się materiałami, jak mikrobiologiczny asfalt, beton czy plastik, trwają już dziś w wielu laboratoriach.

© PATRYK STANIK /
/ SCIENCEMAG.ORG / MATTER

„Błękitna energia” płynie z prądem

KAŻDE UJŚCIE RZECI DO MORZA kryje w sobie ogromny, niewykorzystany potencjał czystej energii. Wszystko dzięki zjawisku osmozy, w którym dwa roztwory o różnych stężeniach – w tym wypadku słodka woda rzeczna i słona woda morska – przedzielone półprzepuszczalną membraną, samoczynnie dążą do wyrównania stężenia. Już od kilkudziesięciu lat wiadomo, że ciśnienie osmotyczne można zaprzęcić do produkcji elektryczności, a ostatnie szacunki mówią o nawet 2,6 terawata odnawialnej „błękitnej energii” tkwiącej w deltach i estuariach całego świata. To mniej więcej tyle, ile wynosi obecne zapotrzebowanie energetyczne całej ludzkości.

Niestety wyzwaniem pozostaje wyprodukowanie odpowiedniej membrany. Te, które umiemy wytwarzać w dużej skali, są nieefektywne – uruchomioną w 2009 r. testową elektrownię osmotyczną w Tofte w Norwegii trzeba było zamknąć po pięciu latach z powodu nieopłacalności. Z kolei nowe, energetycznie obiecujące materiały półprzepuszczalne otrzymywane w laboratoriach trudno nawet nazwać membranami – prototypy te mają bowiem powierzchnię ledwie kilkuset nanometrów kwadratowych. Elektrownia wymaga czegoś miliard razy większego.

Być może jednak jesteśmy świadkami przełomu. Amerykańskim badaczom udało się właśnie wytworzyć dużą (bo wielkości znaczka pocztowego) membranę poprzebijaną milionami nanorurek z azotku boru. Nanorurki te przepuszczają jedynie dodatnio naładowane jony. Dzięki temu osmoza między dwoma zbiornikami wody o różnym zasoleniu zachodzi tylko „połowicznie” – wyłącznie dla jonów dodatnich – a powstająca różnica ładunków generuje napięcie elektryczne. Jak mówi Semih Cetindag, jeden z autorów odkrycia, już metr kwadratowy takiej membrany pozwoliłby zasilić trzy gospodarstwa domowe, przy czym „nie wykorzystujemy jeszcze w pełni jej możliwości”. Rzecz jasna od sukcesu wciąż dzieli nas długie lata badań, testów i usprawnień. Czas pokaże, czy „zielona transformacja” będzie mieć także składową „błękitną”.

© TOMASZ MILLER



ILU JEST PAPIEŻY

Z jednej strony zgorszenie podziałem, intrygą i kłamstwem.
Z drugiej – ożywiona dyskusja o celibacie i statusie papieża emeryta.
To bilans ubiegłotygodniowej wojny domowej w Watykanie.

EDWARD AUGUSTYN

PIERWSZA TWITTEROWA WOJNA O CELIBAT wybuchła 12 stycznia 2020 r. o godz. 18.12.

Nicolas Diat, redaktor z wydawnictwa Fayard, napisał: „Mam przyjemność

i zaszczyt ogłosić publikację książki papieża Benedykta XVI i kard. Roberta Sarraha »Z głębi naszych serc«. To praca wyjątkowa i przełomowa. Dostępna od 15 stycznia”. Wywiad z kardynałem, pre-

fektem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, od kilku minut był już na stronie internetowej „Le Figaro”. Ale dopiero seria tweetów nadała mu światowy zasięg.



Papież Franciszek i papież emeryt Benedykt XVI podczas ceremonii otwarcia Roku Jubileuszowego, Bazylika św. Piotra w Watykanie, grudzień 2015 r.

jest nieodzowny. Nie mogę milczeć”, „Papież emeryt apeluje do Franciszka, by nie zmieniał celibatu”, „Benedykt XVI przeżywa milczenie”, „Ratzinger wbija nóż w plecy Bergoglią”.

Watykan (tę nazwę będę tradycyjnie odnosić do papieża Franciszka i jego otoczenia, mimo że pozostali bohaterowie historii również mieszkają w watykańskim państwie) był tak zaskoczony, że jego służby prasowe zareagowały dopiero po 18 godzinach. Tak, wiem – jak na kościelno-urzędowe standardy rekordowo szybko. Ale biorąc pod uwagę dynamikę i miejsce sporu (w tym czasie krążyły już po świecie tysiące tweetów, które powielane były przez wszystkie inne media), to spore opóźnienie. Brak reakcji dowodził, że zadany cios był celny i obezwładniający.

Wspólną publiczną wypowiedź Benedykta XVI i kard. Saraha uznano za wywieranie presji na Franciszka, by nie zgadzał się na żadną formę „osłabienia celibatu”. „Pokornie błagamy papieża, aby na zawsze uchronił nas przed taką możliwością, nawet w jednym tylko regionie” – czytamy w zapowiedzi książki. To oczywiste nawiązanie do jednego z postulatów synodu amazońskiego, zakończonego przed trzema miesiącami. Biskupi prosili papieża o zgodę na święcenia kapłańskie żonatych mężczyzn. Decyzji spodziewano się właśnie teraz – dokument miał być opublikowany jeszcze w styczniu.

13 stycznia około południa Watykan przypomniał, że poglądy Franciszka na celibat nie są sprzeczne z tym, co pisał Benedykt XVI. Starano się zatrzeć wrażenie rozdźwięku między urzędującym a emerytowanym papieżem. Matteo Bruni, dyrektor Biura Prasowego, przypomniał wypowiedź Franciszka: „Wolałbym oddać życie, niż zmienić przepisy o celibacie”. Andrea Tornielli, dyrektor wydawniczy watykańskich mediów, nazwał wspólne przedsięwzięcie Benedykta i Saraha „cennym wkładem” w dyskusję, nacechowaną „synowskim posłuszeństwem wobec papieża Franciszka (...) w duchu miłości dla jedności Kościoła”.

Czy Franciszek wiedział o planach wydania książki przez Benedykta? Sądzę, że nie. Zarówno Tornielli, jak i Bruni, pytani przeze mnie, uchylił się od odpowiedzi. Publiczne przyznanie, że Benedykt nie poinformował papieża o planach (a była ku temu okazja choćby przy okazji spotkania świątecznego), stawiałoby Ratzingera w złym świetle, czego Franciszek nie chce. Do tej pory bardzo życzliwie podchodził do publicznych wystąpień swego poprzednika, których trochę się uzbierało (trzy książki, artykuły, listy, okolicznościowe dedykacje, wstępy do książek innych osób i kolejnych wydań własnych prac). Zawsze jednak papież emeryt lojalnie o tym uprzedzał. Nawet słynny, polemiczny artykuł o przyczynach pedofilii, opublikowany w kwietniu 2019 r. na łamach miesięcznika „Klerusblatt”, został wcześniej zaaprobowany przez Franciszka, a złe wrażenie, jakie po nim powstało, szybko udało się przykryć wspólną książką obu papieży („Nie wyrządzajcie krzywdy choćby jednemu z tych najmniejszych”, czerwiec 2019).

Co wolno emerytowi

Tym większa zapanowała wobec tego dezorientacja. Stało się jasne, że w twitterowej wojnie o celibat, już niemal zażegnanej, otwiera się nowy front. Zaczął się spór, co wolno papieżowi na emeryturze, a czego robić nie wypada. Twitter przypomniał słowa Benedykta z czasu pożegnania z urzędem: o wycofaniu się z życia publicznego, oddaniu modlitwie i medytacji, bezwarunkowym szacunku i posłuszeństwie wobec następcy.

Status papieża emeryta to twór dziwny i dotąd nieznan. Niezwykłość sytuacji i możliwość spekulowania o konfliktach i napięciach pobudziła wyobraźnię twórców kultury masowej – stąd wysyp filmów czerpiących inspirację z watykańskiego *qui pro quo* (o „cudownym rozmnożeniu papieża” pisze Marcin Napiórkowski na s. 86).

Choć o abdykacji myśleli też poprzednicy Ratzingera (Pius XII, Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł II), to żaden nie opracował przepisów, którym podlegałby papież po złożeniu urzędu. Benedykt XVI musiał stworzyć je sam dla siebie i to w ciągu dwóch i pół tygodnia, jakie miał od ogłoszenia abdykacji do odejścia z urzędu.

Już sama decyzja o pozostawieniu sobie niektórych symboli papieżstwa – tytuł Waszej Świątobliwości, imię, biały strój →

Twitter to ulubione narzędzie pretekta. Inni biskupi i kardynałowie, także z kurii rzymskiej, również mają na nim konta, ale Sarah jest na ich tle wyjątkowy. W niedzielny wieczór i poniedziałkowy poranek umieścił 42 tweety promujące książkę. A gdy nadszedł kontratak, uznał społecznościowy serwis za najlepsze miejsce do obrony swego dobrego imienia. Dzięki temu cały świat mógł nie tylko natychmiast dowiedzieć się o konflikcie na szczytach kościelnej hierarchii, ale też na żywo obserwować przebieg walki.

Lojalny jak Benedykt

Już pierwsza informacja o książce wywołała zdumienie. Media prześcigały się w nagłówkach: „Benedykt XVI: celibat

→ (nieznacznie tylko zmodyfikowany), pobyt w Watykanie – mogła wprowadzać zamieszanie. A niektóre wypowiedzi odchodzącego na emeryturę Benedykta („Nie mam już władzy rządzenia w Kościele, lecz w posłudze modlitwy zostaję, że tak powiem, w zagrodzie św. Piotra”) sprawiły, że zaczęto mówić nawet o dwóch papieżach – czynnym i kontemplacyjnym. Gdy emeryt zaczął zabierać głos publicznie, pojawiło się niebezpieczeństwo „nauczania równoległego”, które zresztą wiele osób, niezadowolonych z nowego papieża, chętnie by zaakceptowało. Nie da się ukryć, że część katolików wciąż uznaje Josepha Ratzingera za „prawdziwego” strażnika doktryny, zagrożonej nieprzemyślanymi i nieodpowiedzialnymi pomysłami argentyńskiego następcy.

– Niezależnie od prawdziwych intencji papieża emeryta służy on już od dawna tradycjonalistom (nawet nie konserwatyistom, bo ci mają większy szacunek dla urzędu) do obrony ich własnej teologii – mówi „Tygodnikowi” Massimo Faggioli, teolog i historyk Kościoła z amerykańskiego katolickiego uniwersytetu w Villanova. – Tak jak teraz: wołać forsować swoją błędną naukę o celibacie, nawet za cenę osłabienia jedności Kościoła.

Benedyktowi – święta

Faggioli nie ukrywa, że winę za taki stan rzeczy ponosi najbliższe otoczenie Benedykta. – Choć bycie papieżem to konkurencja indywidualna, to papież nigdy nie jest sam – mówi dalej. – Zwłaszcza papież emeryt, który ze względu na wiek i zdrowie wymaga stałej uwagi. Ratzinger jest otoczony przez świętę, która się nim opiekuje, i która nie odpowiada przed nikim innym w Watykanie. Reaguje jedynie na szum medialny.

Spór o to, czy papież Benedykt został zmanipulowany, to trzeci front walk na ubiegłotygodniowej wojnie. Niemal od razu pojawiły się sugestie, że ktoś – albo kard. Sarah, cieszący się zaufaniem i wieloletnią przyjaźnią Benedykta, albo abp Georg Gänswein, od 17 lat osobisty sekretarz Ratzingera – mógł wykorzystać niedyspozycję i słabość emerytowanego papieża, wciągając go w promocję książki, która podaje w wątpliwość teologiczne kompetencje następcy.

Gerard O’Connell, watykański korespondent magazynu „America” i autor głośnej książki o wyborze Franciszka, peł-

nej smacznych i nieznanych informacji z konklawe, napisał: „Jedno ze źródeł watykańskich mówi, że Benedykt XVI nie jest już fizycznie zdolny do pisania. Drugi informator, który odwiedził papieża emeryta w ostatnich miesiącach, zauważył, że choć umysł Benedykta jest jasny, trudno mu podjąć rozmowę trwającą dłużej niż 15 minut”.

Wojna rozgorzała na nowo. Sandro Magister, watykanista „L’Espresso”, który miał mieć dostęp do książki jeszcze przed jej publikacją, twierdził, że rozdział napisany przez Benedykta jest powtórzeniem jego homilii o kapłaństwie, wygłoszonej w 2008 r. w Wielki Czwartek (co okazało się nieprawdą). Pojawiły się domysły, że kard. Sarah wykorzystał stary tekst papieża do wypromowania własnej książki. I że zrobił to samowolnie, bez wiedzy (w tym przypadku lepiej rzec: świadomości) Benedykta, narażając na szwank nie tylko wieloletnią przyjaźń z papieżem, ale i własne dobre imię. Czy to możliwe?

Prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego ma wielu zawziętych wrogów, którzy przypomnieli, że nie po raz pierwszy podpira się czymś autorytetem (zwykle papieża), forsując własne poglądy. Ale ma też zagorzałych zwolenników – jako jeden z największych autorytetów prawej strony katolickiego internetu – którzy ruszyli mu w sieci z odsieczą.

Kardynał z buszu

„Ideologia LGBT ma to samo źródło, co nazizm, faszyzm, komunizm i islamski fanatyzm”. Brzmi znajomo? Kard. Sarah mówił tak już w 2015 r. Jak również, że teoria *gender* to „pseudonaukowe oszustwo, zarażone herezją gnostycyzmu i największe współczesne zagrożenie rodziny”.

Na miano obrońcy katolickiej tradycji i doktryny uczciwie sobie zapracował. Poglądy ma jasne i zdecydowane, do tego mówi logicznie i przekonująco. Za największe nieszczęście współczesnego człowieka uważa brak wiary – źródło wszystkich innych problemów. Kryzys Kościoła to przede wszystkim kryzys kapłanów – ale nie chodzi mu o klerykalizm czy pedofilię, tylko schlebianie przez księży gustom tego świata. Kryzys emigracyjny należy rozwiązywać „pomagając na miejscu”, a rolą Kościoła nie jest mówienie o ekologii, rolnictwie czy uchodźcach, tylko o Bogu i „skandalu krzyża”.

„Nawet kardynał, który wyszedł z afrykańskiego buszu, zauważył, że Europa traci swą kulturę i tożsamość” – mówił o nim dwa miesiące temu o. Tadeusz Rydzik na konferencji „Katolicy a tożsamość wspólnoty narodowej”. Sarah rzeczywiście pochodzi z małej miejscowości na północy Gwinei. Wielokrotnie podkreślał, że wszystko zawdzięcza francuskim misjonarzom. Oni pokazali mu nieznany i fascynujący świat: chrześcijaństwo i europejską cywilizację. Dzięki nim zachwycił się łacińską liturgią mszy – dostojną i tajemniczą. Został biskupem decyzją Jana Pawła II, gdy miał zaledwie 34 lata. Kardynałem uczynił go Benedykt. Prefektem Kongregacji ds. Kultu Bożego – Franciszek, u początku swego pontyfikatu.

Ojcowska korekta

„Człowiek jest jak liana, która próbuje wspiąć się ku słońcu, ale potrzebuje silnego drzewa. Dla ludzi tym drzewem jest Kościół” – mówił w wywiadzie kard. Sarah. Sam chętnie wspiera się autorytetem Kościoła i papieża – od Piusa X po Franciszka. Zawsze ma pod ręką odpowiednie cytaty na poparcie swoich poglądów. Nic dziwnego, każdy tak robi. Czasem jednak zdarza mu się przekroczyć granicę.

W lipcu 2016 r. na konferencji „Sacra Liturgia” w Londynie przekonywał, cytując wybrane fragmenty konstytucji o liturgii, że jedyną reformą, na jaką zgodził się Sobór Watykański II, było wprowadzenie języków ojczystych. Wszystko inne to wypaczenie. Mówił też, że papież Franciszek zaakceptował jego pomysł, by księża wrócili do odprawiania mszy *ad orientem* (tyłem do wiernych). Zrobiło się zamieszanie. Prymas Anglii i Walii musiał opublikować list z przypomnieniem, że obowiązujące przepisy nakazują odprawianie mszy „twarzą do ludu”. A papież dał Sarahowi pierwsze ostrzeżenie – odwołał z kongregacji wszystkich członków o konserwatywnych czy wręcz tradycjonalistycznych poglądach (byli to kardynałowie Bagnasco, Pell, Burke, Scola i Ouellet). Na ich miejsce mianował samych zwolenników reform.

Do drugiego zwarecia doszło rok później. Papież wprowadził nowe zasady tłumaczenia tekstów liturgicznych na języki narodowe. Chciał, by zajmowały się tym episkopaty lokalne, a kongregacja miałyby ich decyzje jedynie „potwierdzać”. Sarah opracował i rozesłał do mediów

objaśnienie, w którym papieskie rozporządzenie interpretował na opak: episkopat przygotowują tłumaczenia, ale i tak on (jego kongregacja) będzie je „zatwierdzać”. W precedensowym liście, zatytułowanym „Correctio paternalis” („Ojcowska korekta”), papież wytknął mu błąd i nakazał wysłać sprostowanie wszędzie tam, gdzie nieprawdziwa informacja została opublikowana.

Ktoś tu kłamie

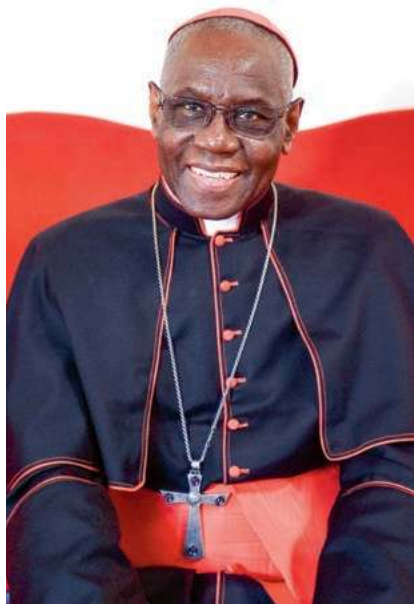
Wróćmy do wydarzeń z ostatnich dni. Gdy oskarżeń o manipulację było coraz więcej, kard. Sarah postanowił bronić swego imienia. Opublikował na Twitterze trzy listy od Benedykta, potwierdzające ich współpracę przy książce, oraz oświadczenie, że papież emeryt przekazał mu (w sierpniu i październiku) notatki na temat celibatu i wyraził zgodę na ich publikację. Zapewniał, że papież wiedział o planach wydania wspólnej książki, której wydruk komputerowy przesłał mu już w listopadzie, wraz z projektem okładki i tekstem wspólnie napisanego wstępu i zakończenia.

Półtorej godziny po publikacji tego oświadczenia abp Gänswein wysłał do agencji prasowych komunikat, że papież Benedykt zaprzecza, by „zatwierdzał jakikolwiek projekt wspólnej książki albo też widział czy autoryzował jej okładkę”. Sekretarz przyznał, że tekst jednego rozdziału, podpisany imieniem Benedykta, jest autentyczny i że kardynał miał zgodę na jego wykorzystanie. Na polecenie papieża emeryta poprosił kard. Saraha, by zwrócił się do wydawnictwa o usunięcie imienia Benedykta z okładki, wstępu i zakończenia.

Wydawnictwo poprawek nie naniosło, bo książka była już wydrukowana i skierowana do sprzedaży. Ale wszyscy zgodnie stwierdzili, że oświadczenie Gänsweina zamyka sprawę.

Ci, którzy kard. Saraha nie lubią, uznali, że prefekt oszukał papieża i okłamał opinię publiczną. I że to koniec jego kariery, co akurat jest prawdopodobne – w czerwcu kardynał kończy 75 lat i zgodnie z regulaminem złoży dymisję. Możliwe, że stanie się to wcześniej.

Z kolei sympatycy kardynała wierzą jego zapewnieniom i podejrzewają, że kłamstwa dopuścił się abp Gänswein, a może został do niego nakłoniony sam Benedykt. Wszystko dla zachowania pozorów jedności obu papieży. Sarah wy-



VANDEVILLE ERIC / ABACA / PAP

Kard. Robert Sarah,
Watykan, listopad 2015 r.

rasta w ich oczach na ofiarę układów pomiędzy Domem św. Marty (gdzie mieszka Franciszek) a klasztorem Mater Ecclesia (gdzie mieszka papież emeryt).

Sandro Magister, surowy krytyk obecnego pontyfikatu, twierdzi wręcz, że kard. Sarah świadomie podjął się ryzykownej misji obrony celibatu, zdając sobie sprawę, jak to się może dla niego skończyć. – Pomyśl był genialny! – mówi „Tygodnikowi”. – Bez zaproszenia Benedykta do współpracy książka Saraha o celibacie nie miałyby znaczenia. Właśnie dlatego od początku kłócono się nie o to, co w środku, ale kto jest podpisany na okładce. Wykreślenie papieża niczego nie zmienia, bo przecież nikt nie podważa autentyczności tekstu Benedykta, ani tego, że udzielił aprobaty pozostałym rozdziałom. Franciszkowi trudno będzie teraz otworzyć furtkę do kapłaństwa żonatych mężczyzn. Choć pewnie dokona tego we właściwy sobie sposób, przy pomocy małego przypisu u dołu strony.

Czy zatem cel został osiągnięty? To może być tylko pobożne życzenie organizatorów medialnej intrygi. Papież Franciszek wydaje się być nieporuszony całym zamieszaniem. W ciągu ostatniego tygodnia ani razu publicznie nie odniósł się do sprawy. Na początku pewnie nie chciał tego robić ze względu na Benedykta, którego szanuje, choćby z racji wieku, i mógłby przymknąć oko na jego nielojalność. Ale nie skomentował burzy nawet wtedy, gdy było już wiadomo, że papież emeryt ma z nią niewiele wspól-

nego. Nie było żadnego tweeta na profilu @Pontifex_it, żadnej wzmianki w kazaniu w Domu św. Marty. Lekceważące milczenie. No, może z jednym wyjątkiem – w rozmowie z Eugeniem Scalfarim, swoim przyjacielem, powiedział: „Sprawę Ratzingera uważam za zamkniętą, a ta grupka, mniejsza czy większa, która została na lodzie, to normalne zjawisko w naszych warunkach”.

Dla „tej grupki” wybranie Scalfariego na sprawozdawcę papieskich słów jest jeszcze większym upokorzeniem niż obojętna cisza, bo kontakty papieża z dziennikarzem – ateistą, liberałem i socjalistą – doprowadzają ich do szewskiej pasji (Scalfari zawsze „cytuje” słowa Franciszka z pamięci, budząc nie tylko w kurii konsternację i zgorszenie; papież jest jednak wyrozumiały dla 96-letniego przyjaciela i sam nigdy jego „relacji” nie demontował).

Bilans końcowy

Wojna dobiegła końca. Pora na podliczenie strat i zysków. Po jednej stronie mamy intrygę i/albo kłamstwo – zjawiska jednakowo gorszące. A także wrzenie podziału w Kościele, który pod sterami Franciszka dryfuje ponoć w niebezpieczną stronę, a jego kurs musi być korygowany przez czujnego stróża Piotrowej łodzi.

Po stronie zysków – ożywiona dyskusja nad celibatem, jaka przetoczyła się przez media, oraz taka sama debata nad statusem papieża emeryta.

I tylko kard. Sarah nie składa broni. W piątek w nocy napisał na Twitterze: „Dziś wieczorem spotkałem się z papieżem Benedyktem. Nie ma między nami żadnych nieporozumień. Wyszedłem ze spotkania szczęśliwy, pełen spokoju i odwagi. Zachęcam wszystkich do czytania i medytacji książki »Z głębi naszych serc«. A wydawnictwu Fayard dziękuję za dokładność, rzetelność i profesjonalizm”.

© © EDWARD AUGUSTYN



**EDWARD AUGUSTYN
I ARTUR SPORNIAK** będą
gośćmi Grzegorza Chłasty
w środę 22 stycznia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Batalia o celibat

ARTUR SPORNIAK

Środowiska konserwatywne próbują blokować zmiany w dyscyplinie celibatu. Tymczasem wprowadzenie większej różnorodności w Kościele mogłoby pomóc walczyć z klerykalizmem.

DWA TEMATY PAWEŁ VI WYŁĄCZYŁ z obrad Soboru Watykańskiego II. Pierwszym była antykoncepcja: papież obawiał się, że biskupi przegłosują jej dopuszczalność, podczas gdy sam – jak się później okazało – był jej zdecydowanym przeciwnikiem. Drugi temat to celibat.

Tu z kolei Paweł VI obawiał się medialnej wrzawy, gdyby wśród ojców synodalnych wywiązała się dyskusja o sensie celibatu. Nie zostawił jednak tych wyzwań bez odpowiedzi. W 1968 r. ukazała się encyklika „*Humanae vitae*” potępiająca sztuczną regulację poczęć. Natomiast rok wcześniej papież wydał encyklikę „*Sacerdotalis coelibatus*”. I choć wielu spodziewało się, że Paweł VI dopuści wyświęcanie tzw. *viri probati*, aktywnych w lokalnych Kościołach mężczyzn żyjących w małżeństwach, którzy mogliby sprawować Eucharystię w miejscach, gdzie brak kapłanów-celibatariuszy, nic takiego jednak nie nastąpiło. Nowością encykliki była natomiast akceptacja kapłaństwa żonatych księży przechodzących na katolicyzm z innych denominacji.

W obu przypadkach zapobiegliwość Pawła VI na niewiele się zdała. Po ponad 50 latach negatywną konsekwencją „*Humanae vitae*” jest rozejście się nauczania Kościoła z praktyką życia olbrzymiej części katolickich małżonków. Natomiast celibat to wciąż jeden z najbardziej gorących tematów okołokościelnych, a sam problem braku dostępu do Eucharystii obecnie wręcz się nasila.

Książkowa prowokacja?

Dlatego nie dziwi, że 13 stycznia media zelektryzowała zapowiedź paryskiego dziennika „*Le Figaro*”, że za dwa dni ukaże się wspólna książka konserwatywnego hierarchy, prefekta Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, kard. Roberta Sarah'a i samego papieża seniora Benedykta XVI, w której

obaj mają wzywać papieża Franciszka, by nie luzował w Kościele dyscypliny celibatu. Dzieje się to w chwili, gdy Franciszek lada moment ma ogłosić adhortację posynodalną, w której zapewne odniesie się do postulatów synodu poświęconego Amazonii, by dopuścić do wyświęcania *viri probati*.

„Nie mogę milczeć, trzeba zabrać głos” – takim cytatem anonsowano publikację. Przy dwóch autorach użycie liczby pojedynczej wprowadza niejasność: kto nie może milczeć – kard. Sarah czy Benedykt XVI? Jeśli ten drugi, oznaczałoby to, że papież emeryt łamie dane przy abdykacji słowo, że usuwa się w cień i nie zamierza wpływać na pontyfikat swego następcy.

Dodatkowo w przedstawionych przez „*Le Figaro*” cytatach znalazła się kontrowersyjna i sprzeczna z dotychczasowym nauczaniem teza, że nie da się pogodzić powołania kapłańskiego z życiem małżeńskim: „Stan małżeński dotyczy człowieka w jego pełni. Także służba Panu wymaga całkowitego daru ze strony człowieka. Wydaje się niemożliwe wypełnienie równocześnie tych dwóch powołań. Zatem zdolność do rezygnacji z małżeństwa, aby oddać się całkowicie do dyspozycji Panu, stała się kryterium dla posługi kapłańskiej”.

Zdania te podważają wielowiekową tradycję wyświęcania żonatych mężczyzn w Kościołach wschodnich – również katolickich, jak grekokatolicki. Czy przebywając na emeryturze Benedykt XVI chce zmieniać nauczanie Kościoła, radykalizując je i wprowadzając napięcia między braterskimi Kościołami?

Po wybuchu zamieszania papież emeryt poprzez swojego sekretarza abp. Georga Gänsweina wyraził zdziwienie, że stał się współautorem książki kard. Sarah'a. Wiedział, że ona powstaje, wspólnie dyskutowali w miesiącach letnich ubie-

głego roku o kapłaństwie i celibacie. Jak twierdzi kardynał, papież emeryt czytał przygotowany przez niego tekst w całości, choć przyznał zarazem, że nie widział on ostatecznie zredagowanej książki i jej okładki. Benedykt XVI ofiarował nawet własny tekst do tej książki (w rozdziale tym watykańscy rozpoznali treści wygłoszonej przez papieża w Wielki Czwartek 2008 r. homilii, w której w ogóle nie pada słowo „celibat”).

To wszystko jednak za mało, by przypisywać współautorstwo Benedykta XVI kontrowersyjnemu tezom. Dlatego wydawnictwo zapowiedziało, że w nowym wydaniu francuskim i w nieopublikowanych jeszcze innych językowych wydaniach z okładki zniknie informacja o papieskim współautorstwie oraz nazwisko papieża emeryta spod wstępu i zakończenia.

Dyscyplina, a nie dogmat

Rozstrzygnijmy zatem, że mówi to głównie kard. Sarah. A mówi m.in., że kapłaństwo charakteryzuje się „wstrzemięźliwością ontologiczną”: „W codziennej celebracji Eucharystii, która wymaga stałego stanu służby Bogu, spontanicznie zrodziła się niemożliwość więzi małżeńskiej. Można powiedzieć, że wstrzemięźliwość seksualna, będąca funkcjonalną, samoczynnie przekształciła się we wstrzemięźliwość ontologiczną”.

Powiedziane jest tu dużo więcej, niż mówi o celibacie Kościół. Soborowy dekret o posłudze i życiu kapłanów „*Presbyterorum ordinis*” stwierdza, że „doskonała i dozągonna powściągliwość, zalecana przez Chrystusa Pana ze względu na Królestwo niebieskie”, nie jest wymagana przez kapłaństwo z jego natury. Celibat jednak „z wielu względów odpowiada kapłaństwu”. Jest zatem funkcjonalny, a nie „ontologiczny” (wynikający z natury). Innymi słowy, mamy do czynienia nie z jednym charyzmatem, lecz z dwoma, i Kościół musi ufać, że Bóg, powołując mężczyzn do kapłaństwa, jednocześnie obdarowuje ich powołaniem do wstrzemięźliwości seksualnej – jeśli oni „pokornie i wytrwale dar ten wypraszą”, jak dodaje soborowy dekret.

Celibat kapłański jest zatem wymogiem dyscyplinarnym, a nie dogmatycznym. Kościół w każdej chwili może zmienić sam wymóg celibatu, nie naruszając doktryny. Jeśli kard. Sarah stara się „zdogmatyzować” celibat, to właśnie po



REUTERS PHOTOGRAPHER / REUTERS / FORUM

Ks. David Evans z córką Evelyn i żoną Patricia.
Były anglikański duchowny przeszedł na katolicyzm, Teneryfa, sierpień 2005 r.

to, by uniemożliwić jakiegokolwiek zmiany w przyszłości.

Można się domyślać, że za takim działaniem stoi specyficznie „klerykalna” wizja Kościoła. Budowanie odrębnej nowej teologii celibatu prowadzi bowiem do coraz większego odsuwania księży od rzeczywistości, w której żyją świeccy, i wzbudzania w nich poczucia wyjątkowości. Struktura hierarchiczna Kościoła coraz bardziej zamienia się w strukturę kastową.

Przy dzisiejszym kryzysie w Kościele związanym z pedofilią nie tylko nie służy to budowaniu wspólnoty z ludźmi wierzą-

cych, ale jest wręcz dla przyszłości Kościoła groźne.

Księża czy zakonnicy

Jak trudno jest Kościołowi w głębszy sposób uzasadnić celibat, unikając zarazem jego „dogmatyzowania”, pokazują współczesne dokumenty. Paweł VI, chcąc w encyklice „Sacerdotalis caelibatus” odpowiedzieć na wskazywane mankamenty związane z praktyką celibatu (m.in. wiązanie różnych charyzmatów, nakładanie obowiązku przeciwnego naturze, ograniczanie ludzkiej wolności kandydatów do kapłaństwa, ogranicza-

nie liczby powołań), mówił o jego trzech sensach: chrystologicznym (kapłani-celibatariusze lepiej naśladują Jezusa), eklezjologicznym (całkowicie i w każdej chwili życia poświęcają się wspólnocie Kościoła) i eschatologicznym (ich bezżenstwo jest wymownym znakiem czasów przyszłych, w których zmartwychwstali „ani się żenić nie będą, ani za mąż wychodzić”).

Problem w tym, że tak rozumiane kapłaństwo trudno rozróżnić od powołania do życia zakonnego. Znamienne, że Jan Paweł II w książce „Dar i tajemnica”, opublikowanej w 50. rocznicę swoich święceń kapłańskich, mówiąc o świętości kapłanów, odwołuje się właśnie do praktykowanych przez zakonników rad ewangelicznych: „Tak więc kapłan obcując nieustannie z tą świętością Boga wezwany jest, aby stać się świętym. Również jego posługa skłania go do wyboru życia inspirowanego ewangelicznym radykalizmem. Tym tłumaczy się konieczność ducha rad ewangelicznych w jego życiu: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. W tej perspektywie rozumie się także szczególne racje życia w celibacie”.

Względy praktyczne

Skąd zatem wziął się pomysł na celibat? Apostołowie – z wyjątkiem Jana – prawdopodobnie mieli żony. Na pewno →

Nikt nie rodzi się gotowy do celibatu

„JEŚLI MASZ POWOŁANIE, poradzisz sobie z celibatem”; „celibat jest przyczyną wszystkich problemów księży”. Jak dowodzą badania psychologiczne, te dwie popularne opinie nie mówią całej prawdy. Ekspresja seksualna nie jest dodatkiem do życia, a rezygnacja z małżeństwa, rodziny i intymności cielesnej nie jest pozorną stratą, którą można zastąpić „czymś innym”. Nie oznacza to jednak, że w życiu można się spełnić pod warunkiem bycia aktywnym seksualnie. Nikt nie rodzi się gotowy do celibatu i nie jest to decyzja, którą podejmuje się raz i „sprawa zamknięta”.

Celibat jest sposobem życia, który od strony psychologicznej domaga się uwzględnienia etapów rozwojowych mających raz silniejsze, a raz słabsze oddziaływanie na człowieka. Inaczej więc on wygląda w życiu kleryka, młodego księdza czy duchownego z bagażem lat i doświadczeń. Problemy z celibatem nie biorą się w pierwszym rzędzie z rezygnacji z „uprawiania seksu”, lecz z niezdolności do przeżywania bliskości bez fizycznego angażowania się czy emocjonalnego uwikłania. Przekonanie, że brak seksu z definicji czyni osobę zgorzkniałą, chłodną, wycofaną, nie znajduje potwierdzenia

w badaniach; podobnie jak założenie, że ponieważ celibat jest „nienaturalnym wyrzeczeniem”, musi prowadzić do narcyzmu bądź go wzmacniać, generować chroniczną frustrację oraz spłycać życie emocjonalne.

Badania kliniczne nad księżmi mającymi problemy z celibatem ujawniają niedojrzałości osobowe, konflikty psychiczne i deficyty utrudniające takie życie. To nie celibat jest jednak ich pierwszą przyczyną. Jak pokazują bowiem badania nad motywacją do wystąpienia w kapłaństwo, trudność w życiu księży nigdy nie wynika z samego celibatu. Staje się on brzemieniem i źród-

łem frustracji, kiedy ksiądz doświadcza chronicznego osamotnienia i/lub odrzucenia, niezrozumienia lub jest niedojrzały psychoseksualnie i celibat staje się dla niego formą przymusu psychicznego. Nie oznacza to jednak, że celibat psychologicznie jest wpisany w kapłaństwo i nigdy nie będzie problemem. Nie wystarczy czuć się powołanym, aby uniknąć trudności wpisanych w taki styl życia. Jego wartość odkrywa się czasami na błędach, a zawsze w wyniku podjęcia ryzyka, że do dojrzałości osobowej można dojść i w taki sposób – godząc się na nieuniknione frustracje, straty i własne ograniczenia.

©© JACEK PRUSAK SJ

→ żonaty był św. Piotr, skoro Jezus uzdrowił jego teściową. Wczesna tradycja mówi także o córce Piotra – czczona w pierwszych wiekach św. Petroneli. Jej przedstawienie odnaleźć można np. na datowanym na drugą połowę IV w. fresku w katakumbach Domitylli. Święty Paweł zaleca w pierwszym liście do Tymoteusza: „Biskup więc powinien być nienaganny, mąż jednej żony, (...) dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością”. I trzeźwo zauważa: „Jeśli ktoś bowiem nie umie stać na czele własnego domu, jakżeś będzie się troszczył o Kościół Boży?”.

We wczesnym chrześcijaństwie było zatem czymś normalnym, że przewodnicy Kościołów mieli własne rodziny.

Z czasem zaczęła się pojawiać tendencja do wymuszania na żonatym duchowieństwie całkowitej wstrzeźliwości seksualnej. Związane było to z pojawieniem się zwyczaju codziennej mszy. Argumentowano, powołując się na Stary Testament, że skoro lewici podczas sprawowania kultu zobowiązani byli czasowo powstrzymać się od współżycia, to rytualna czystość wymaga od chrześcijańskich duchownych całkowitej abstynencji, skoro sprawują kult codziennie. Temu myśleniu sprzyjały neopłatońskie i manichejskie nurty deprecjonujące cielesność i małżeństwo. Kościół musiał się przed takim myśleniem bronić.

W końcu za celibatem zadecydowały względy praktyczne. Przy posiadaniu dzieci było czymś naturalnym przekazywanie im kościelnych urzędów. Powsta-

wały całe dynastie kapłańskie czy biskupie. Abp Grzegorz Ryś w monografii „Celibat” pisze: „Grzegorz z Nazjanzu, przykładowo, przejął biskupstwo po swoim ojcu, zaś patron Irlandii, św. Patryk, był synem diakona i wnukiem kapłana”. Zaczął pojawiać się problem rozdrobienia majątku kościelnego, przechodzenie w ręce świeckie, a we wczesnym średniowieczu także problem prywatyzacji kościołów (ich dysponentami byli fundatorzy). Celibat okazał się lekarstwem na te choroby. Nie tylko majątek pozostawał w granicach Kościoła, także księża dzięki niemu stawali się bardziej dyspozycyjni.

Kościół jednak długo nie potrafił wyegzekwować nowej dyscypliny. Średniowieczne sobory (poczynając od Laterańskiego I) wprowadzały coraz surowsze kary dla kleru za posiadanie żon czy konkubin. Przez wiele wieków właściwie z niewielkim rezultatem. Dopiero ustanowienie obowiązkowych seminariów przez Sobór Trydencki, a więc odpowiednia formacja do kapłaństwa, poprawiło sytuację.

Dziś celibat wydaje się głównym wyróżnikiem katolickiego księdza.

Mężowie wypróbowani

W punkcie III dokumentu końcowego synodu poświęconego Amazonii znalazł się postulat ustanowienia kryteriów i odpowiedniej ścieżki dla wyświęcania viri probati – szanowanych mężczyzn, żyjących w legalnych i stabilnych małżeństwach, wcześniej wyświęconych na diakonów z odpowied-

nią formacją do kapłaństwa. Ojcowie synodalni oprócz praktycznej potrzeby podają argument, że „uzasadniona różnorodność nie szkodzi komunii i jedności Kościoła, a raczej wyraża ją i jej służy”. Czy Franciszek odpowie pozytywnie na ten postulat?

Wydaje się to całkiem możliwe. Zapytany w samolocie podczas podróży z Panamy, czy zezwoli na święcenie żonatyh mężczyzn, jak to jest praktykowane w Kościołach wschodnich, Franciszek zdecydowanie odrzucił możliwość „celibatu opcjonalnego”, czyli wybierania swobodnie przez kandydata do kapłaństwa przed święceniami. Natomiast z wyrażoną aprobatą odwołał się do poglądów niemieckiego misjonarza i teologa Fritza Lobingera, emerytowanego biskupa Aliwal w RPA: „Lobinger mówi: można wyświęcić starszego żonatego mężczyznę – taka jest jego teza – ale jedynie po to, aby sprawował *munus sanctificandi*, to znaczy, aby sprawował mszę świętą, sakrament pojednania i namaszczenia chorych. Święcenia kapłańskie dają trzy posługi: *regendi* – rządzenia jako pasterz; *docendi* – nauczania i *sanctificandi* – uświęcania [poprzez sakramenty]. To jest konsekwencją wyświęcenia. Biskup udzieliłby tylko władzy *munus sanctificandi*: tak brzmi teza. Książka jest interesująca”.

Dzięki temu – dopowiedzmy – nastąpiłoby rozdzielenie władzy skupionej do tej pory niepodzielnie w rękach księży. Powstałaby większa różnorodność, a z czasem – być może mniejsze zagrożenie klerikalizmem. © © ARTUR SPORNIK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wia-ra: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszeńska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Gracyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



PAWEŁ

Śpiewak: Żywa mądrość



POWSTAWAŁY KOLEJNE KSIĘGI, ZMIENIAŁY się czasy, umierali prorocy, ale pozostawało w literaturze mądrościowej oczekiwanie, że człowiek dzięki swej wiedzy o Bogu musi i powinien nauczyć się sztuki życia w rzeczywistości, do której się narodził. Do tego potrzebny jest mędrzec. Jego uczniowie mają uczyć się go słuchać, zastanawiać nad sobą, zawierzyć nauczycielowi – i wtedy czeka ich najwyższa forma życia. Ale człowiek, oczekiwano, powinien być otwarty w rozmaitych kierunkach. Tak rodzi się ład duszy.

Przed wszystkim powinien rozumieć, że przedmiot wiedzy jest do pojęcia, że możemy lepiej lub gorzej poznać reguły ludzkiego postępowania, ale zarazem podlegają one Boskiej tajemnicy i Jego mocą mogą być zmieniane, skrywane czy nieprzewidywalne. Jak czytamy w najważniejszym wersie z Księgi Przysłów: „Przed Panem nie ostoï się ani mądrość, ani rozum, ani rada” (20, 30). Oznacza to nakaz zachowania jak najdalej idącej powściągliwości w budowaniu wielkich, nieograniczonych systemów intelektualnych. Nie ma tu miejsca dla wszechwiedzących filozofów. Nie ma miejsca na łatwą jednoznaczność, proste pytania i proste odpowiedzi.

Księgi mądrościowe są napisane w formie luźnych porad. Zawierają elementy wewnętrznej dyskusji, jakby mędrzec dyskutował sam ze sobą albo też z jakimiś wybitnymi osobami. Pamiętamy o tym czytając Księgę Hioba, rozmowy z przybyłymi do niego przyjaciółmi. Spór, w którym często nie ma zwycięzców ani przegranych, jest również istotą zachowanej dla Izraela mądrości. Jak pisał jeden z wybitnych komentatorów, nie ma tu miejsca na znane z Grecji twierdzenie, że człowiek jest miarą rzeczy. Na odwrót: człowiek mierzony jest tym, jak się odnajdzie w danych mu i twardych warunkach życia. Mądrość zwraca się do różnych osób znajdujących się w całkiem odmiennych sytuacjach życiowych. Odnosi do okoliczności, które nazwać można ambiwalentnymi. Mądrość musi być otwarta, dawać pierwszeństwo przypadkowości zdarzeń i nigdy nie ulegać pokusie abstrakcyjnych spekulacji. Jest dla ludzi i musi się mierzyć z tym, co jest i kim jest człowiek w swojej historycznej, życiowej sytuacji.

Dlatego nie znajdziemy tu prostych zaleceń. Zdają się nawet sprzeczne. Wiemy z nauk mądrościowych, że bogactwo jest czymś pożądanym i dobrym, ale często bywa źródłem zła, pychy, niesprawiedliwości. Z pewnością bieda jest czymś bolesnym, ale, jak uczy Księga Przysłów, bywa czymś dobrym. Mądrość jest szlachetna, ale jej nadmiar – powiada Kohelet – bywa niszczący. Jest tak, że każdy uczeń mądrości ma trafnie rozpoznać swój czas i miejsce. Bo jest czas na wesele, na żałobę i na doświadczenie mar-
ności. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Dewotka i kaznodzieja



„GDY [JEZUS] SZEDŁ BRZEGIEM JEZIORA GALILEJSKIEGO, zobaczył dwóch braci: Symona, zwanego Piotrem, i jego brata, Andrzeja. Zarzucali sieci w jezioro, gdyż byli rybakami. Powiedział do nich: Pójdźcie za Mną, a sprawię, że będziecie łowić ludzi”.

Iść za Jezusem znaczy przyłączyć się do Jego uczniów. A co to znaczy w praktyce, najlepiej obrazuje Ostatnia Wieczerza. Po umyciu nóg apostołom Jezus pyta: „Czy rozumiecie, co wam uczyniłem? Wy nazywacie Mnie Nauczycielem i Panem – i słusznie mówicie, bo Nim jestem. Jeśli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wasze nogi, również i wy powinniście sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam przykład, abyście tak postępowali wobec siebie, jak Ja postąpiłem względem was”.

Do czego dzisiaj powinniśmy odnieść ten symboliczny gest? Papież Franciszek podczas spotkania z kurią rzymską, której gros wciąż stanowią duchowni, powiedział: „bycie chrześcijaninem w ogóle, a zwłaszcza dla nas, bycie namaszczoneymi, konsekrowanymi przez Pana nie oznacza zachowywania się jak grono uprzywilejowanych, którzy myślą, że mają Boga w kieszeni, ale jako ludzie, którzy wiedzą, że są miłowani przez Pana, pomimo swej grzeszności i niegodności”. I tak nasza grzeszność, niezgodność, słabość stają się, „szczęśliwą”, „błogosławioną winą”, błogosławionym grzechem. Grzech zwykł powodować wycofanie się z życia, zamknięcie w sztucznej pobożności i złudnym poczuciu bycia lepszym od innych tylko dlatego, że jest się ochrzczonym. Nienowoty to kłopot. Pamiętamy pewnie fraszkę bp. Ignacego Krasickiego pt. „Dewotka”.

*Dewotce służebnica w czymś przewiniła
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła.
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: „...i odpuść nam winy,
Jako my odpuszczamy”, biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!*

A że mamy karnawał, i żeby jednak było sprawiedliwie, jeszcze jedna fraszka, tym razem Jana Kochanowskiego „O kaznodziei”:

*Pytano kaznodzieję: „Czemu to, prałacie,
Nie tak sami żywicie, jako nauczacie?”
(A miał doma kucharkę.) I rzecze: „Mój panie,
Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset na nie;
A nie wziąłbych tysiąca, mogę to rzec śmieie,
Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele”.*

Ale spokojnie: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. Nie obrażajmy się na tych, którzy chcą nas umyć, choć czasem robią to, powiedzmy, niezdar-
nie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ofiarować człowieka

*Modlitwa bez rozproszeń
jest najwyższą aktywnością
umysłu.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Natura dała nam dwoje
uszu, a jeden język,
byśmy więcej słuchali,
niż mówili.*

ZENON Z KITION



Wybrał PIOTR SIKORA



CZYTAŁIŚMY W LITURGII ubiegłego tygodnia fragment Ewangelii św. Marka o paralityku uzdrowionym przez Jezusa w Kafarnaum (Mk 2, 1-12). Rozmyślając nad tym tekstem, sięgnąłem do jego wersji łacińskiej, i tu uderzyło mnie w zasadzie jedno słowo. Otóż w tekście Wulgaty czytamy, iż z powodu tłumy, jaki otaczał dom Szymona Piotra, czterech niosący paralityka ludzie nie byli w stanie (dosł.) „ofiarować go” Jezusowi. Kiedy sięgnąłem do tekstu równoległego u św. Mateusza (9, 2), zobaczyłem, że św. Hieronim jest konsekwentny w swoim przekładzie; stąd w zapisie Mateuszowym czytamy, iż kiedy Jezus przybył do swego miasta, (dosł.) „ofiarowali mu paralityka”.

Muszę przyznać, że w pierwszym momencie taki przekład wydał mi się dziwny, może nawet sztuczny. Jednak po dłuższej chwili intuicja św. Hieronima zaczęła mnie drażnić. Przed oczyma stanęło mi przynajmniej kilka takich sytuacji (i takich ludzi!), wobec których właściwie nie mogłem się inaczej zachować. Wszystko, co pozostawało jeszcze do zrobienia, to ofiarować je/ich Jezusowi: przynieść, i położyć je/ich przed Nim. Bez słowa. Bez żadnego innego pomysłu. Bez sugerowania czegokolwiek. W poczuciu własnej bezsilności. Może nawet niezdolności do jakiegokolwiek diagnozy. O co prosić? Co tu jest tak naprawdę problemem? Czego potrzeba? Czy jest jeszcze jakieś wyjście?

Dalsze mnożenie pytań, i własnych dociekań, właściwie straciło sens. Wszystko, co jeszcze ma sens, to zdać się w zupełności na Pana: na Jego miłość. Na Jego rozeznanie. I na Jego moc.

Wygląda to niemal na bezradność i kapitulację. A tymczasem Ewangeliści – oddając myślenie Jezusowe – nazywają to wiarą: „Kiedy Jezus zobaczył ich wiarę...” (Mk 2, 5; por. Łk 5, 20); „i widząc ich wiarę...” (Mt 9, 2), powiedział do paralityka: „Synu, odpuszczone są twoje grzechy” (Mk 2, 5). A potem: „Powstań, weź swoje nosze i idź do twego domu” (Mk 2, 11).

Bo to była wiara: zdać się na Pana. W jakimś sensie: zostawić to/Jego Jezusowi.

I dokonało się. Uzdrowienie człowieka – nie wyłącznie „paralityka”. Jego „problemem nr 1” wcale nie był paraliż. Prawdziwym problemem był grzech. Ten był przed ich oczyma zasłonięty. A nawet gdyby był jawny, i tak nie mieliby narzędzi, by się z nim zmierzyć.

To wielka lekcja nadziei. Nadziei dla Kościoła: w piśmiennictwie Ojców owych czterech, którzy przynieśli „ofiarowali” paralityka Jezusowi, to czterech pierwszych, dopiero co powołanych apostołów: Piotr i Andrzej, Jakub i Jan (Mk 1, 29-31; Łk 5, 1-11). Wzywając ich, Jezus zapowiedział im, że staną się rybakami ludzi. I oto właśnie „złowili” pierwszego. A ten od razu okazał się kimś, kogo problemy przestają ich możliwości. Taka oto pierwsza lekcja.

Jakże istotna dla przyszłych biskupów!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 I – 2 II)

3. niedziela zwykła: Iz 8, 23b – 9, 3;
Ps 27; 1 Kor 1, 10-13. 17; Mt 4, 12-23;

Poniedziałek: 2 Sm 5, 1-7. 10;
Ps 89; Mk 3, 22-30;

Wtorek: 2 Sm 6, 12b-15. 17-19; Ps 24;
Mk 3, 31-35;

Środa: 2 Sm 7, 4-17; Ps 89; Mk 4, 1-20;

Czwartek: 2 Sm 7, 18-19. 24-29; Ps 132;
Mk 4, 21-25;

Piątek: 2 Sm 11, 1-4a. 5-10a. 13-17;
Ps 51; Mk 4, 26-34;

Sobota: 2 Sm 12, 1-7a. 10-17; Ps 51; Mk 4, 35-41;
Niedziela, Święto Ofiarowania Pańskiego:

Ml 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40.

KTO PRZEGRYWA, TEN ODPADA

Skoro Tusk wraca do polskiej polityki, to Schetyna rezygnuje z szefowania PO. Od zawsze w takich sytuacjach przechodził do defensywy, licząc, że jeszcze powróci.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

TA DECYZJA WISIAŁA W POWIETRZU. Żaden przewodniczący Platformy nie doprowadził partii do takiego kryzysu – pod przywództwem Grzegorza Schetyny partia przegrała trzy wybory z rządu. Pod wodzą Donalda Tuska Platforma przegrała co prawda wybory prezydenckie i sejmowe w 2005 r. Ale potem była cała seria zwycięstw w latach 2007-14. Z kolei za szefostwa Ewy Kopacz Platforma przegrała wybory samorządowe w 2014 r. oraz parlamentarne w 2015 r. No, ale po tych porażkach Kopacz zdecydowała się wycofać.

W dodatku ubiegłoroczne podwójne wybory pod wodzą Schetyny skończyły się dla PO taką katastrofą, jakiej partia do tej pory nie doświadczyła. Zwycięski PiS uzyskał rekordowe 45 proc. w wyborach europejskich i 43 proc. w parlamentarnych, wyprzedzając idącą w rozmaitych koalicjach Platformę raz o 7 punktów, a raz – o ponad 16 punktów.

Schetyna, jako jeden z ojców założycieli partii i wieloletni szef jej struktur, czuł, że narasta klimat do zmiany. Dlatego zrezygnował ze startu.

Ale jest w tej układance jeszcze jeden element, który praktycznie przesądzał o tym, że Schetyna nie ma szans na wygraną w wyborach. Ze wszystkich powyższych kluczowy. To powrót Donalda Tuska, człowieka, który najpierw awansował Schetynę na swego przyjaciela i powiernika, by potem go zdegradować, poniżyć i próbować politycznie wykończyć.

To Tusk pod koniec minionego roku – gdy z ulgą mógł zrzucić maskę niezangażowanego unijnego urzędnika – poza serią retorycznych ciosów wymierzonych w PiS wysłał też salwy ostrzegawcze w kierunku Schetyny, domagając się jego odejścia.

W sumie, jak się patrzy na ich biografie, to widać jedno: Schetyna nigdy walczyć z Tuskiem nie potrafił i nie chciał.



Piłkarze z humorem

– Skąd się biorą pana bliskie relacje z Grzegorzem Schetyną? – zapytałem Donalda Tuska w 2008 r., tuż po pokonaniu PiS i objęciu władzy. To było apogeum ich politycznej przyjaźni. – Do stałych powodów, dla których z kimś mi się dobrze pracuje, a z kimś innym gorzej, należy poczucie humoru – odpowiedział. – Musi ono zawierać odpowiedni poziom dystansu do samego siebie. Grzegorz ma wielkie poczucie humoru. Poza tym jest erudyta. Nie ma tematu, na który nie można by z nim głęboko porozmawiać. Dodatkową okolicznością, która buduje zaufanie, są wspólne zainteresowania, w naszym przypadku piłka. A także fakt, że jeden drugiemu daje duże poczucie bezpieczeństwa. Jeżeli się z nim na coś umówię, śpię spokojnie. Wiem, że nie zawiedzie.

Po odejściu z PO Janusz Palikot wspominał w swej rozliczeniowej książce „Kulisy Platformy”: „Te bliskie, wręcz przyjacielskie relacje między nimi były autentyczne. Tam była jakaś zażyłość w tym wszystkim, jakaś bliskość, wspólna energia. Nie było wątpliwości, że w hierarchii po Donaldzie jest najwyżej. To z nim Tusk najczęściej rozmawiał w cztery

oczy, czasem o sprawach, których z nikim innym nie poruszał. W trakcie imprezy wychodzili na chwilę na balkon, by coś przedyskutować. To było tym bardziej znamienne, że w trakcie wspólnych spotkań nikt poza nimi nie urządzał sobie pogaduszek w cztery oczy. Dla Tuska język gestów, hierarchia, to istota mechanizmu władzy”.

Powrót z saksów

Poznali się w 1990 r. Tusk, wówczas 33-latek, wrócił właśnie z gąstarbeiterki w Norwegii – od lipca do września 1989 r. w gronie znajomych z Polski remontował uniwersytet ludowy w Mortenhals koło Troms, za kołem podbiegunowym. Po powrocie rzucił się w wir przemian – został dziennikarzem, zastępcą redaktora naczelnego „Gazety Gdańskiej” – drugiej po „Gazecie Wyborczej” wolnej redakcji w Polsce. Wszedł też do komisji likwidującej państwowego molocha prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Nieco młodszy, 27-letni wówczas Schetyna był dyrektorem w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu. „Miałem wtedy dwa kilkudziesięcino spotkań z Tuskiem. Szybko złączyliśmy kontakt. Mamy podobną drogę życiową. Podwórko, piłka, książki, aka-

demik, podobne przeżycia w stanie wojennym – wspominał Schetyna po latach. – Pamiętam, jak Tusk z lekkością opowiadał mi wówczas, że musi się spotkać z przedstawicielem NATO. Nie miał żadnych kompleksów. To mnie zaintrygowało”.

Na początku lat 90. współtworzyli ugrupowanie młodych wielbicieli wolnego rynku – Kongres Liberalno-Demokratyczny. Ale wtedy było w KLD wielu ludzi bliższych Tuskowi – choćby Jan Krzysztof Bielecki, Jacek Merkel, Janusz Lewandowski czy Paweł Piskorski.

Małgorzata Tusk wspominała potem, że przyjaźń jej męża ze Schetyną zaczęła się później. W 1993 r. KLD po marnej kampanii przegrywa wybory i nie dostaje się do Sejmu, a rok później współtworzy nową partię – Unię Wolności. Do UW wchodzi więc i Tusk, i Schetyna – właśnie tam zaczyna się ich polityczna przyjaźń. Unia Wolności to nowy sztyld dawnej Unii Demokratycznej i pierwsze skrzypce grają w niej tuż dawnej UD: Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń czy Bronisław Geremek. Liberalowie są na marginesie. Kiedy Tusk przegrywa z Geremkiem wybory na szefa Unii pod koniec 2000 r., rzuca papierami. W gronie odchodzących razem z nim jest rzecz jasna Schetyna. Tak właśnie powstaje Platforma Obywatelska.

W ciągu dwóch pierwszych sejmowych kadencji PO (2001-07) Schetyna coraz bardziej zbliża się do Tuska, stając się jego najmocniej zaufanym człowiekiem.

Ale zawsze był w tym rys niewolniczego podporządkowania Schetyny. Tak to opisywał Janusz Palikot: „Na pewno Grzegorz był dla Donalda ważnym człowiekiem, choć na każdym kroku sytuował się wyżej od niego, sugerował, że Schetyna go ciągnie w dół. Od początku widziałem, że traktował wszystkich członków tego swojego dworu jak warchołów. »Knury« – to określenie, którego używał w stosunku do nich najczęściej. »Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi knurami. Przez was się wykończę« – rzucał nieraz. Grzegorz nie był tu wyjątkiem. I jego upokarzał. I jego czasem przedstawiał jako takiego knura bez manier, który potrzebuje tylko zeżreć, popić i pomłaskać językiem. Niby było to ubrane w taką dobrotliwą, montypythonowską gębę, że można było odnieść wrażenie, iż to tylko poetyka, ironia. Ale to jednak były mocne słowa i nie przypadkiem →



ANDRZEJ HULINKA / FORUM

→ padały tak często. Kiedy wyczuwał, że przesadził, to naturalnie dorzucał coś ocieplającego: »Ale wiesz, że cię kocham, Grzegorz« – i robił to z uśmiechem».

Idealny człowiek cienia

Schetyna był przy Tusku w najtrudniejszych dla niego politycznie chwilach – gdy przegrał wybory prezydenckie i parlamentarne w 2005 r. Wielu ważnych ludzi Platformy zastanawiało się wówczas, czy odsunąć Tuska – ale Schetyna takich wątpliwości nie miał. Był idealnym człowiekiem cienia, także dlatego, że brakowało mu blasku, złotych ust i gładkiego oblicza, które winien mieć lider.

Paradoksalnie, początkiem końca ich zażyłych, przyjacielskich relacji stało się zwycięstwo Tuska w wyborach parlamentarnych 2007 r. – wtedy, gdy na 7 lat przejął władzę z rąk Jarosława Kaczyńskiego. Lider PO został szefem rządu i zaczął się zamykać w innym gronie towarzyskim, w którym pierwsze skrzypce grali były premier Jan Krzysztof Bielecki oraz specjalista od marketingu politycznego Igor Ostachowicz.

Otoczenie Tuska podsycało niechęć do Schetyny, który zbierał dobre oceny jako wicepremier i szef MSWiA. W tych dworskich przypowieściach Schetyna obsadzany był w roli Brutusa – tak interpretowano jego niezbyt wysublimowane starania, aby Tusk wystartował w wyborach prezydenckich w 2010 r., oczywiście zostawiwszy mu rząd i partię.

Tuska to wpychanie w prezydenturę irytowało, tym bardziej że tykał bakcyła realnej władzy rządowej. Doszło do tego, że w tajemnicy przed Schetyną zamawiał prezydenckie sondaże. Sprawdzał, czy przynoszone przez Schetynę badania dające mu pewną prezydenturę są wiarygodne.

Inkubator patologii

Punktem zwrotnym w relacjach Tuska ze Schetyną była afera hazardowa, która wybuchła jesienią 2009 r. Okazało się, że kilku prominentnych polityków PO – w tym szef sejmowego klubu Zbigniew Chlebowski oraz minister sportu Mirosław Drzewiecki, dawny sponsor Tuska – przepychali przepisy korzystne dla zaprzyjaźnionych biznesmenów z branży jednoręki bandytów.

Bojąc się utraty poparcia, Tusk wyrzucił pół rządu, na czele ze Schetyną. Współpracownicy premiera przekonywali, że

Schetyna zataił przed Tuskiem swe kontakty z bohaterem afery, biznesmenem z branży hazardowej Ryszardem Sobiesiakiem. Premier miał się obawiać, że CBA – kierowane przez związanego z PiS Mariusza Kamińskiego – może coś mieć na Schetynę, i wolał się go pozbyć.

Z drugiej jednak strony wiele wskazuje na to, że afera hazardowa była tylko pretekstem, by wyrzucić coraz potężniejszego wicepremiera. Czemu Tusk miałby chcieć go wykończyć? Bo stał się za silny w partii i rządzie. W dodatku schetynowy Dolny Śląsk zaczął uchodzić za inkubator politycznych patologii Platformy. Nie tylko afera hazardowa, ale wcześniej korupcyjne problemy posłanki Beaty Sawickiej, nieco później sfałszowane wybory lokalne w Wałbrzychu z politykami PO w rolach głównych.

Schetyna trafił na zesłanie do Sejmu, gdzie został szefem klubu PO. Bardzo przeżył dymisję, wierzył, że wróci do gry. Długo nie chciał zrozumieć, że Tusk chce go dopisać do długiej listy polityków, których strącił w przepaść. A przecież winien wiedzieć, że ktoś raz odrzucony nigdy na dwór Tuska nie wraca.

Tym bardziej że szybko w grze pojawiły się haki. Ludzie Schetyny zaczęli podejrzewać, że to współpracownicy Tuska próbują obarczyć ich patrona odpowiedzialnością za aferę korupcyjną przy informatyzacji służb podległych MSWiA. Z kolei ludzie Tuska byli przekonani, że to schetynowcy stoją za przeciekami do gazet, które miały obciążać najbliższych ludzi premiera, takich jak Jan Krzysztof Bielecki czy minister transportu Sławomir Nowak.

Po katastrofie smoleńskiej, kiedy w ekspresowych wyborach prezydenckich zwyciężył Bronisław Komorowski, Schetyna zaczął się na nowo podnosić. Jako jedyny z liderów Platformy bardzo mocno zaangażował się w kampanię Komorowskiego, licząc na stworzenie w Pałacu Prezydenckim przeciwwagi dla Tuska. Komorowski się odwdzieczył – po wyborach zmusił Tuska, aby wyznaczył Schetynę na marszałka Sejmu. Premier zrobił to z dużymi oporami.

Ale ze swych planów nie zrezygnował. Czarę goryczy przełamała krytyczna wypowiedź Schetyny z początku 2011 r. W epicentrum awantury o Smoleńsk Schetyna oznajmił, że rząd – czyli Tusk – za długo zwlekał z reakcją na rosyjski raport, który obciążał całą odpowiedzialnością za kata-

strofę polską stronę. To był dla Tuska wyjątkowo czuły punkt.

Lenny hołd

Jesienią 2011 r. Tusk po drugich z rzędu wygranych wyborach parlamentarnych postanowił pokazać Schetynie i Komorowskiemu ich miejsce w szeregu. Wido-wiskowo wówczas Schetynę upokorzył – nie tylko pozostawił poza rządem, ale nawet pozbawił stanowiska marszałka. Na konferencji prasowej oświadczył, że Schetyna jest jego konkurentem i przewodzi wewnątrzpartyjnej opozycji.

Rzucił mu ochłap – szefostwo sejmowej komisji spraw zagranicznych. Miesiąc po miesiącu coraz bardziej Schetynę marginalizował i jednocześnie na pokaz upokarzał.

W rozmowach snutych w swym gabinecie – zwanym „pieczarą”, gdyż z głównego gmachu Sejmu wchodziło się do niego przez suterene – Schetyna mówił o Tusku jak o despotycznym władcy, ale z właściwym sobie analitycznym podejściem. Jego ludzie długo odnosili wrażenie, że wystartuje przeciw premierowi w wyborach na szefa PO latem 2013 r.

Ale potulnie podkulił ogon – znów okazało się, że jest genetycznie niezdolny do otwartego starcia z Tuskiem. Zrezygnował ze startu, choć wspierał Jarosława Gowina, z którym tworzyli w swoim czasie najpoważniejszy antytuskowy tandem w PO. Głównie dzięki wsparciu ludzi Schetyny Gowin osiągnął wówczas dobry wynik i zaczął szykować własną partię, która dziś żyje w symbiozie z PiS.

Ale ten unik na niewiele się zdał. Wyrok został podpisany. Pod koniec 2013 r. Tusk pozbawił Schetynę ostatnich atrybutów władzy – stanowiska szefa dolnośląskiego regionu Platformy i fotela w zarządzie partii. Wszystko w świetle kamer. „Jeśli ktoś chce wzmocnić partię, wzmacnia jej lidera, jeśli chce ją osłabić, osłabia lidera. To jest archetyp i nigdy się nie zmieni” – mówił premier podczas wyborów zarządu PO, gdy usuwał Schetynę.

Gdy na mównicę wszedł w końcu sam Schetyna, głos mu drżał: „Nikt nie kwestionuje twojego przywództwa, Donaldzie” – złożył lenny hołd. Ale partia zagłosowała zgodnie z wolą szefa. Ostatnia propozycja, którą Tusk miał dla niego wiosną 2014 r., była ponizająca: ambasada w Moskwie. Tusk podał to smoleńską zemstą: tam mi będziesz mógł pokazać, jak należy postępować z Putinem. Sche-

tyna odmówił i znalazł się na prostej drodze do egzekucji.

Beneficjent dobrej zmiany

Schetynę uratował wyjazd Tuska do Brukseli. Latem 2014 r. po wybuchu afery taśmowej – czyli ujawnieniu nagrań polityków PO z restauracji Sowa i Przyjaciele oraz Amber Room – Tusk uznał, że nie ma szans na kolejną wygraną z PiS. Stąd ewakuacja na długich pięć lat.

Jedną z wersji, od początku popularnej w PO, było doszukiwanie się udziału ludzi Schetyny w organizacji nagrań lub też ich dystrybucji. Wedle tej spiskowej teorii, która nigdy nie znalazła potwierdzenia w faktach, za aferą stali kojarzeni ze Schetyną szefowie służb. Emocje spiskowców rozpałało to, że Schetyna na nagraniach nie było, na taśmach był tylko obsmarowywany – bo nagrani zostali głównie ludzie premiera.

Po emigracji Tuska nowa premier i szefowa PO Ewa Kopacz postanowiła wziąć do rządu wszystkich wpływowych polityków PO, w tym Schetynę, któremu dała fotel ministra spraw zagranicznych. Nie posłuchała Tuska, radzącego jej dokończyć egzekucję, którą sam znakomicie przygotował. Gdy Kopacz przegrała wybory do Sejmu w 2015 r. i do władzy doszedł PiS, wywracając zastany porządek, Schetyna wbił jej nóż w plecy i na początku 2016 r. przejął partię. W ten sposób stał się jednym z pierwszych politycznych beneficjentów „dobrej zmiany”. „Dojrzałość partii polega na postawieniu twardej, nawet bolesnej diagnozy wyniku wyborczego. Lider musi mieć wsparcie

Kiedy Tusk się wycofał ze startu w wyborach, partia musiała postawić na kandydatkę z łapanki.

Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma wielkich szans, ale obwiniany jest za to Schetyna.

większości członków PO, by być gotowym na wyzwanie, które spadło na partię” – mówił wtedy. Dziś to on jest adresem analogicznych przytyków.

Jakoś wyładować

Jako szef PO Schetyna nie odnalazł się w świecie totalnej polaryzacji, był źle oceniany nawet przez wyborców opozycji. Jedyne, co mu wychodziło, to gabinetowe rozgrywki – w tym zawsze był niezły. To dzięki jego konsekwencji Platforma pozostała główną siłą opozycji, wygrywając współzawodnictwo z Nowoczesną i KOD. Inna rzecz, że na ów sukces złożyły się w dużej mierze katastrofalne błędy wizerunkowe Ryszarda Petru (który podczas antyrządowych protestów w Sejmie wyjechał do Portugalii na sylwestra z klubową koleżanką, a dziś partnerką) oraz Mateusza Kijowskiego (który brał pieniądze ze zbiórek KOD jako swe wynagrodzenie).

Od początku jednym z głównych kłopotów Schetyny było to, że Tusk siedząc jedną nogą w Brukseli, wciąż drugą tkwił

w krajowej polityce. Partia była podzielona, a przywództwo osłabione.

W dodatku Tusk przez całe lata wysyłał sygnały, że może wystartować na prezydenta w 2020 r., ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, przez co partia musiała postawić na kandydatkę z łapanki. Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma wielkich szans na zwycięstwo. Ale obwiniany jest za to Schetyna.

Być może Schetyna poradziłby sobie z wewnętrzną konkurencją – bije wszystkich kandydatów na szefa PO znajomością partii i politycznym doświadczeniem. Szkopuł w tym, że wrócił Tusk. Mierzyć się z wszechpotężną władzą, coraz silniejszą opozycją wewnętrzną, atakującymi go mediami bliskimi PiS i niechętnymi PiS – to wszystko jeszcze było na siły Schetyny. Ale walka z Tuskiem już nie.

W 2008 r., zaraz na początku premiership Tuska, zapytałem go o mechanizm wszystkich kolejnych czystek w PO, w wyniku których pozbył się tak prominentnych twórców partii jak Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński, Paweł Piskorski, Jan Rokita oraz Zyta Gilowska.

Odpowiedział: – Każda organizacja polityczna, szczególnie tak żywa jak partia, domaga się z czasem hierarchii. Jeśli ktoś jest wysoko w hierarchii i dochodzi do starcia, to ten, kto przegrywa, odpada. A nie ląduje niżej.

Schetyna wciąż liczy, że jako jedynemu uda mu się jakoś wyładować.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

TP

Nagroda im. Jerzego Turowicza

W najbliższą sobotę, 25 stycznia, w krakowskim Muzeum Manggha wręczona zostanie po raz szósty Nagroda im. Jerzego Turowicza, ustanowiona w setną rocznicę urodzin współtwórcy i wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” przez fundację jego imienia. Otrzyma ją

BASIL KERSKI

dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku

Tym wyborem kapituła nagrody pragnęła podkreślić rolę instytucji w budowaniu tkanki społecznej, w kształtowaniu życia obywatelskiego i postaw społecznych zaangażowania.

Jerzy Turowicz
FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA



Dotychczasowymi laureatami nagrody, przyznawanej za wybitne i oryginalne dzieło znajdujące się w kręgu tematów, do których Jerzy Turowicz wracał w swojej publicystyce i działalności publicznej, oraz reprezentujące wartości, które były mu bliskie, są Joanna Olczak-Ronikier, Marcin Zaremba, Andrzej Brzeziecki, Monika Sznajderman, Paweł Machciewicz i Ewa Lipska.

Obywatel lokator

RAFAŁ WOŚ

Dzisiejszy model polityki mieszkaniowej jest w rzeczywistości dużo droższy, niż nam się wydaje.

WSPRAWIE MIESZKAŃ WOLNA POLSKA nie ma się czym pochwalić – taki wpis Adriana Zandberga wywołał niedawno w mediach społecznością zażartą dyskusję. Nie będzie chyba przesadą powiedzieć, że lider Lewicy oddał tym zdaniem nastawienie sporej części pokolenia dzisiejszych 20-, 30-, a pewnie i 40-latków do całego projektu III RP. Lista skarg jest długa: kredyty hipoteczne przejmują kontrolę nad życiem gospodarstw domowych, pułapka frankowa odbiera niejednemu spokojny sen. Szemrana reprivatyzacja niszczy zaś społeczną spójność, czyniąc z jednych obywateli tego kraju zamożnych gentryfikatorów, innych z kolei sprawdza do roli przepełnionych resentymentem podklas.

Gdy mieszkanie było prawem

Aby zrozumieć dynamikę tego procesu, nie unikniemy krótkiej wyprawy w czas PRL-u. Jest rok 1944. W jednym ze swych pierwszych posunięć nowa władza składa narodowi obietnicę, że się o „głód mieszkaniowy” (tak stoi w ówczesnych dokumentach) zatroszczy. Uczciwie rzecz biorąc komunistom nie można odmówić na tym polu pewnych sukcesów. Między 1950 a 1988 r. liczba mieszkań wzrosła w Polsce z 5,9 mln do 10,7 mln. Co daje średnią 128 tys. mieszkań rocznie (w III RP ta średnia roczna będzie nieco niższa, choć do budowania zabiorą się przecież prywatni deweloperzy). Polski *boom* mieszkaniowy przypada oczywiście na dekadę Gierka. W rekordowym 1978 r. powstało ponad 280 tys. mieszkań. Lata 70. to również (o czym nie można zapominać) czas znaczącej poprawy domowego standardu. W latach 1970-88 wyposażenie mieszkań w WC skoczyło z 35 do 80 proc., a w centralne ogrzewanie z 37 do 73 proc.

Dość szybko okazało się jednak, że realizacja „powszechnego mieszkaniowego dobrobytu Polaków” przerasta możliwo-

ści finansowe i organizacyjne władzy ludowej. Już na fali odwilży roku 1956 proklamowano tzw. nową politykę mieszkaniową. Dziś nazwalibyśmy ten model współfinansowaniem. „Nadal gros kosztów szło ze strony państwa. Indywidualni Polacy mieli jednak częściowo płacić za budowę swoich M i więcej niż dotychczas łożyć na ich utrzymanie” – pisze badacz PRL-owskiego mieszkalnictwa ekonomista Mirosław Gorczyca. Zaczyna się więc czas książeczek mieszkaniowych i mieszkań spółdzielczych. A także związanych z tym problemów, które przenikną za sprawą kultowych filmów Stanisława Barei nawet do kultury popularnej.

Warto jednak pamiętać o rzeczy fundamentalnej. Władza (jakkolwiek autorytarna i antydemokratyczna) aż do końca widziała w zaspokojeniu mieszkaniowego głodu obywateli swoje polityczne zadanie. Nie uchylała się od niego, choć „na swoje” szło właśnie pokolenie największego w historii Polski powojennego wyżu demograficznego. „Skrócić czas oczekiwania na własne M” widnieje też pod numerem 19 wśród sierpniowych postulatów ze Stoczni Gdańskiej. Oznacza to, że ludzie też postrzegali mieszkanie jako swoje prawo. I wiedzieli, że mogą się realizacji tego prawa od władzy domagać.

Towar jak każdy inny

Po roku 1989 nie będzie to już wcale oczywiste. Mieszkalnictwo zostało w III RP niemal w pełni sprywatyzowane. Oznacza to, że obowiązek zaspokojenia podstawowej potrzeby przeszedł na barki obywatela. Mieszkanie z rodzaju „usługi publicznej” stanie się „towarem rynkowym”. Owszem, polskie państwo wyznaczyło sobie pewne zobowiązania minimum. W Konstytucji z roku 1997 pojawiły się zapisy (art. 75 i 76) o „przeciwdziałaniu bezdomności” czy „sprzyjaniu rozwojowi budownictwa социального”. Te ambicje okazywały się jednak w praktyce niemożliwe do pogodzenia

z ponadpartyjną doktryną „taniego państwa”. Z przeprowadzonej w 2019 r. kontroli NIK wynika np., że na lokal socjalny można czekać w Polsce nawet... 20 lat.

Badająca problem socjolożka Joanna Kusiak z Uniwersytetu w Cambridge dowodzi, że Polska była prymusem w realizacji doktryny Banku Światowego, wyrażonej w raporcie z roku 1990 pt. „Model prywatyzacji mieszkalnictwa dla Europy Środkowo-Wschodniej”. Kusiak (autorka wydanej w 2018 r. książki „Chaos Warszawy. Porządki przestrzenne polskiego kapitalizmu”) przypomina, że zalecano w nim przeniesienie własności mieszkań komunalnych ze szczebla państwowego na samorządowy, a następnie ich prywatyzację. Własność prywatna została uznana za najbardziej pożądany i efektywny model zaspokajania potrzeb mieszkaniowych. I dokładnie to się wydarzyło. Tylko między 2002 a 2015 r. podmioty samorządowe utraciły prawie 40 proc. swoich zasobów mieszkaniowych.

Od chaosu do promocji

Problemem był też sam sposób prywatyzacji tego dobra wspólnego. Z punktu widzenia interesu ogółu mamy tu wybór między polityką złą albo jeszcze gorszą. Z jednej strony jest model totalnie chaotyczny, a czasem wręcz kryminogennie nieprzejrzysty. Pokażmy logikę działania na przykładzie prywatyzacji mieszkań zakładowych przy wrocławskich zakładach PAFAWAG. Zbudowano w latach 70. za pieniądze ówczesnych samorządów, fabryki oraz przy wsparciu mieszkańców. W trakcie zawieruchy towarzyszącej prywatyzacji zakładów (dziś należą do kanadyjskiego Bombardiera) zawiązała się spółdzielnia złożona z dawnych dyrektorów zakładu, która mieszkania sprzedawała po niezwykle niskiej cenie. Mieszkańcy dowiedzieli się o tym dopiero po latach, gdy nowi właściciele podjęli próbę wykurzenia ich stamtąd metodą podniesienia czynszów. O tej sprawie wiemy dlatego, że zaangażowały się w nią organizacje lokatorskie. Ale to przecież tylko wierzchołek góry lodowej.

Mamy jeszcze drugi model. Też zły. Choć przynajmniej bardziej przejrzysty od tego „chaotycznego”. Nazwijmy go (za badaczką problemu Joanną Erbel, autorką nowej książki „Poza własnością. W stronę udanej polityki mieszkaniowej”) modelem „promocyjnym”. Bo



JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Wmurowanie aktu erekcyjnego pod budowę osiedla w programie Mieszkanie Plus, Kraków, październik 2019 r.

faktycznie w minionych latach polskie państwo nieraz zachowywało się jak supermarket ogłaszający: „Ludzie, okazja, mieszkania własnościowe za bezcen sprzedamy!”. Najbardziej pamiętna tego typu akcja została zorganizowana w czasach pierwszego PiS-u (rok 2007), gdy ustawodawca zezwolił na wykup mieszkań komunalnego za cenę nieuwzględniającą wzrostu jego rynkowej ceny. Promocja objęła wówczas ok. 600 tys. ludzi. Krytycy argumentują (i słusznie), że takie rozwiązanie stworzyło wiele nowych nierówności pomiędzy beneficjentami a tymi, co się (z różnych przyczyn) na „wyprzedaż” nie załapali. Z drugiej strony uczciwość nakazuje zauważyć, że przynajmniej ten model był jednak bardziej przejrzysty i nastawiony na szerszą grupę niż model „chaotyczny”. Gdzie – jak choćby w przypadku warszawskiej prywatyzacji – zwycięzców było niewielu, natomiast pokrzywdzonych całe mnóstwo (według ostrożnych szacunków ok. 40 tys. ludzi musiało opuścić mieszkania, które zajmowali, a kolejne 100 tys. popadło w związku z poczynaniami nowych właścicieli w spiralę zadłużenia).

Własność, własność ponad wszystko

Tak czy inaczej kierunek polskiej polityki mieszkaniowej w minionym trzydziesto-

leciu był dość czytelny. Preferowanym modelem dojścia miała być zaś indywidualna własność prywatna. Jeśli więc polskie państwo podejmowało jakieś wysiłki na polu mieszkalnictwa, to były one skrojone pod wizję: „klasa średnia na swoim własnym M”. Kulminacją tego myślenia były stworzone w czasach Platformy programy preferencyjnych kredytów hipotecznych Rodzina na Swoim (2012) czy Mieszkanie dla Młodych (2015).

Dla najbiedniejszych III RP w ogóle nie miała żadnej oferty mieszkaniowej. Bo trudno uznać za nią wymyśloną w czasach pierwszego SLD (1995) tzw. TBS-y. Mimo że miały w nazwie „budownictwo społeczne”, to jednak wymagały od swych członków „opłaty partycypacyjnej” w wysokości 30 proc. kosztów inwestycji. Co było dla najsłabiej sytuowanych barierą nie do przejścia. Tym, których zarobki nie pozwalały na aspiracje do klasy średniej, zaserwowano w wolnej Polsce mieszkankę dokręcania śruby (w 1994 r. rząd SLD pozwolił na eksmisję wierzycieli z zajmowanego lokalu bez konieczności zapewnienia im lokalu zastępczego) i pogardy. W zasadzie nikt poza organizacjami lokatorskimi nie był zainteresowany przeciwstawieniem się narracji o „niepłacących za czynsze i dewastujących lokale” najemcach komunalnych. Łatwiej było pokazywać np. ro-

snącą sumę lokatorskiego zadłużenia wobec miasta – w Warszawie wzrosło w latach 2007-16 ze 150 do 500 mln. Nie dodawano już jednak zazwyczaj, że to zadłużenie w wielu przypadkach było efektem nagłych podwyżek. Warszawski Ratusz tłumaczył je... koniecznością wypłacania rekompensat za odzyskiwane przez reprivatyzatorów nieruchomości. Lokatorzy komunalni dostawali rachunek za brak systemowych rozwiązań palącego problemu dekretów Bieruta.

Trzy kroki

Mieszkaniowa teraźniejszość roku 2020 przypomina dżunglę. Czy da się coś z tym zrobić? Jak przejść z logiki „mieszkanie to towar jak każdy inny” do modelu „mieszkanie jest prawem obywatelskim”?

Aby ruszyć z miejsca, potrzebne jest wykonanie trzech ważnych kroków. Pierwszy z nich jest być może najtrudniejszy. Polega na uświadomieniu sobie, że to, co mamy, to nie jest normalność. Warto w tym celu spojrzeć na inne kraje. I to niekoniecznie na te uchodzące za szalenie opiekuńcze wobec swych obywateli. Nawet w Nowym Jorku rynek mieszkaniowy (zwłaszcza najem) obwarowany jest szeregiem zobowiązań chroniących lokatorów przed nagłą podwyżką czynszu czy eksmisją. Owszem, w minionych latach rynek ten stał się →

⇒ dużo bardziej drapieżny. Istnieją jednak silne ruchy lokatorskie walczące o to, by zejść ze ścieżki utowarowienia mieszkań. Być może najciekawiej dzieje się pod tym względem w nieodległym Berlinie. Jeśli sprawę przyklepie lokalny senat, to niebawem prywatni właściciele mieszkań przez kilka najbliższych lat nie będą mogli podnosić lokatorom czynszu (otrzymają jedynie niewielką indeksację o inflację i zwrot kosztów za konieczne remonty). Prawo obejmie 1,5 mln lokali zbudowanych przed 2014 r. Zwolennicy nowego prawa mają nadzieję, że to dopiero początek zmian, których celem jest ustanowienie powszechnego prawa do mieszkania po przystępnej cenie (nie powinna przekraczać 30 proc. dochodu gospodarstwa domowego).

Ile to kosztuje?

Dopiero gdy znajdzie się polityczna wola, przyjdzie czas na rozmowę o kosztach takiego rozwiązania. Czy więc stać nas na „godne mieszkanie po przystępnej cenie dla wszystkich obywateli”? Aby odpowiedź na to pytanie miała sens, musi ona zawierać pełnię kosztów utrzymania obecnego stanu rzeczy. Co to znaczy? Socjolog Mikołaj Lewicki dowodzi, że model polityki mieszkaniowej, w którym żyjemy, dziś jest w rzeczywistości dużo droższy, niż nam się wydaje. Patrzymy na cenę metra własnego M, nie uwzględniając takich kosztów jak czas dojazdu do pracy z odległych peryferii czy konieczność utrzymania samochodu lub płacenia za prywatne przedszkole (bo publiczne jest zbyt daleko). Również państwu się to nie opłaca, bo wymusza np. kosztowne dopasowywanie sieci komunikacji publicznej do interesów prywatnego dewelopera.

Po zsumowaniu wszystkich tych kosztów, widać, że jest to model tylko pozornie tani. Na tym tle wizja mieszkania jako usługi publicznej w naturalny sposób przestaje się wydawać tak drogą inwestycją. Jej koszty (np. konieczność wyższych podatków) zaczynają się jawić jako cena warta poniesienia, byle tylko położyć kres wielu trapiącym nas dziś mieszkaniowym patologiom. Dopiero wówczas (krok trzeci) przyjdzie czas na rozmowę o alternatywie. Na przykład o programach polegających na rozru-

szaniu w Polsce (praktycznie nieistniejącego) segmentu dostępnego najmu jako alternatywy dla dożywotnich kredytów. Z programami takimi jak rządowy Mieszkanie Plus czy stołeczny Mieszkanie 2030. Budowanie alternatywy nie będzie rzecz jasna spacerkiem. Joanna Erbel dobrze o tym wie, bo pracowała przy obu z nich. W swojej książce pokazuje, że opory mają tu często charakter czysto psychologiczny. „Jak ja nie lubię tego waszego programu!” – usłyszała kiedyś od koleżanki z warszawskiego samorządu. Powodem było to, że kilka lat wcześniej ta koleżanka wzięła kredyt na mieszkanie na obrzeżach Warszawy. A Erbel (wtedy pracująca dla warszawskiego Ratusza) przygotowywała właśnie projekt „Mieszkania 2030”, czyli najmu z preferencyjnym czynszem i to na dobrze położonych działkach.

Zmiana postrzegania własności hipotecznej przez Polaków będzie też miała wiele wspólnego z kierunkiem, w którym potoczy się reforma systemu emerytalnego. Pomiędzy emeryturami a własnością mieszkania istnieje bowiem ścisły związek. Im mniej ufności w system zabezpieczenia społecznego, tym większa presja, by mieć jednak własną nieruchomość, która w razie czego pozwoli człowiekowi przetrwać głodową emeryturę.

Ostatnim wyzwaniem będzie zbudowanie poparcia dla zmiany myślenia o polityce mieszkaniowej ponad partyjnymi podziałami. Istnieje bowiem poważne zagrożenie, że ponieważ PiS jako pierwsza siła polityczna po roku 1989 potraktował poważnie pomysł, by promować najem jako alternatywę wobec własności, to przeciwnicy Kaczyńskiego automatycznie uznają tę koncepcję za skompromitowaną. Co byłoby wielką stratą. Również dlatego, że prócz Mieszkania Plus zaczynają wreszcie w Polsce kiełkować podobne mniejsze projekty na poziomie samorządowym.

Dopiero po pokonaniu tych wszystkich raf będzie można powiedzieć, że idziemy w kierunku autentycznej zmiany. Może powrót do logiki „mieszkanie prawem, a nie towarem” i u nas stanie się postulatem politycznym? Przynajmniej równie ważnym jak „reforma sądownictwa”, „500 plus” dla jednych albo „świeckie państwo” czy „związki partnerskie” dla innych.

© © RAFAŁ WOŚ

Niepokonani

MARIUSZ SEPIOŁO

Ciągle nie wiemy, jak reagować na tę chorobę. Zamiast zrozumieć, wolimy drwić.

JESTEŚ STRASZNIE NERWOWY – ZAUWAŻYŁ jeden z jurorów w programie „Top Model”, a Dawid pospieszył z odpowiedzią: „Jak państwo zauważyli, jestem chory na zespół Tourette’a. To mieszanica tików ruchowych, głosowych. Teraz jestem bardzo skupiony, staram się jak najlepiej wypaść”.

A potem zaczął pozować. Kiedy fotograf Marcin Tyszką wycelował w niego obiektyw aparatu, tiki zniknęły. Za każdym razem, kiedy Dawid czekał na błysk flesza, jego tourette na chwilę milknęły. Potem wracał, w westchnieniu, skurczu mięśni gardła, zgłuszo- nym okrzyku. I znowu milknęły. Jurorzy, zazwyczaj pewni siebie, teraz nie mogli powstrzymać się od płaczu.

Dawid w programie podkreślał, że nie chce być postrzegany wyłącznie przez swoją chorobę. Zależało mu na tym, żeby jurorzy dostrzegli jego talent modela, a nie umiejętność powstrzymywania tików. Ale projektanci nie chcieli wybrać go do swoich pokazów, bo bali się, że wyjdzie na wybieg i popsuje wielkie show.

Miał siedem lat, kiedy wszystko się zaczęło. Na początku tylko częściej mrugał. Potem tiki się nasilały i nie od razu zostały zdiagnozowane. „Jesteś świrem?” – pytali go ludzie. „Nie, jestem chory”. „To idź się powieść”.

O zespole Tourette’a (ZT) nie wiadomo wtedy prawie nic. Co wiemy dzisiaj? Polskie Stowarzyszenie Syndrom Tourette’a (od nazwiska francuskiego neurologa Georges’a Gilles’a de la Tourette) informuje, że to „schorzenie neurologiczne o nieznanym pochodzeniu”. Charakteryzuje się obecnością „mnogich tików ruchowych i pojedynczych lub mnogich tików wokalnych”. Tiki występują dłużej niż rok, wiele razy w ciągu dnia (zazwyczaj



Dawid Woskanian – zwycięzca Top Model 2019

w seriach), prawie codziennie lub z przerwami. Okresy bezobjawowe nie mogą przekraczać trzech miesięcy.

Przyjmuje się, że ZT ujawnia się między 2. a 15. rokiem życia, średnio w wieku 7 lat. Schorzenie występuje u ok. pięciu na 10 tys. osób. Jego przyczyny do dziś nie są do końca znane.

Dzień tikania

Tiki Sandry, uczennicy liceum w Czersku, czasem potrafią być słabsze – wtedy może w miarę dobrze funkcjonować. Gorzej, kiedy się wzmogą. Wtedy z najprostszymi czynnościami Sandra ma problem. Do tego coś, o czym zwykle się nie mówi – ból spowodowany napięciami mięśni. Po całym dniu występowania tików ciało jest bardzo obolałe i zmęczone.

Jej choroba zaczęła się w wieku 14 lat i bardzo szybko rozwinęła. Na koniec roku szkolnego lekko mrugała oczami i przechylała głowę, by po wakacjach, we wrześniu nie dawać sobie z tym rady. Każdemu z osobna musiała tłumaczyć swoją sytuację – bo każdy dopytywał. Obcy na korytarzach patrzyli jak na wariatkę. Śmiali się, a ona nic śmiesznego w swojej chorobie nie widziała. Kiedy ich upomniwała, mówili: „Robisz to, żeby zwrócić na siebie uwagę”.

Nie mogła swobodnie chodzić, bo tak ją „wykręcało”. Trudniej przychodziła jej nauka, bo nie mogła się skupić. Miała tik polegający na uderzaniu pięścią w stół. Więc podczas lekcji waliła nieraz w blat, aż spadały długopisy. Ale najgorsze było co innego. – Świadomość, że nic nie mogę z tym zrobić – mówi Sandra.

Teraz jest na lekach, które co chwilę trzeba zmieniać. Jeden specyfik pomaga tylko przez jakiś czas. Przeszła terapię poznawczo-behawioralną, mówi, że pomogło jej to zrozumieć chorobę, ośwoić się z nią. Nadal stres nasila objawy. Nadal ma problem, by wejść do sklepu, w którym jest dużo ludzi. Ma nie tylko tiki ruchowe, ale i wokalne. Woli unikać niesionych brwi, komentarzy za plecami, opinii wygłaszanych między sobą na ucho.

Na szczęście ma wsparcie wśród koleżanek, kolegów i nauczycieli. Planuje studiować psychologię, pracować z ludźmi, którzy tak jak ona doświadczali przeciwności. Doskonale już wie, że równie destrukcyjny jak ból ciała może być ból psychiczny. – Choroba nauczyła mnie rzeczy, którymi chciałabym się dzielić z innymi – mówi Sandra. – Na przykład tego, że nikogo nie wolno oceniać z góry. Nigdy nie wiemy, jaką historię niesie ta osoba. I tego, że mimo wszystko trzeba brnąć do przodu. Ciągłe sobie udowadnianie, że jest się niepokonanym.

Mity i fakty

Osoby dotknięte chorobą podkreślają, że w społeczeństwie wciąż pokutuje wiele szkodliwych mitów. Pierwszy to utożsamianie choroby z wulgaryzmami. Koprolalia, czyli mimowolne używanie obraźliwych słów, może być jednym z rodzajów tików, ale nie jedynym i nie najczęstszym. Nie każdy chory przeklina. Mimo to w internecie popularne są filmiki, na których widać przeklinające chore na ZT osoby, a pod nimi drwiące komentarze.

Polskie Stowarzyszenie Syndrom Tourette’a opublikowało broszurę, w której rozprawia się z mitami na temat ZT. Pierwszy z nich: osoby z tą chorobą „robią tak specjalnie”. Tymczasem tiki mają charakter przymusowy i mimowolny. Według innego mitu chorzy na ZT są „nie-normalni”, choć w rzeczywistości ZT nie wpływa na inteligencję i rozwój emocjonalny. I kolejny: ZT można się zarazić. Naprawdę, choć nie rozpoznano jej przyczyn, choroba ma najpewniej podłoże genetyczne.

Z rozmów z rodzicami dzieci z zespołem Tourette’a wynika, że także droga do właściwej diagnozy jest w Polsce kręta i pełna upokorzeń.

Aleksandra, mama siedmiolatki: – Jako nastolatka widziałam odcinek „Rozmów w toku” poświęcony osobom cierpiącym na to schorzenie. Pomyślałam: „dziwna choroba, mają przerąbane”. I tyle. Kilka-naście lat później urodziła się moja córka. Zdrowa. Rozwijała się prawidłowo. Była długo karmiona piersią – aż trzy lata. Po odstawieniu zaczęły się tiki: mruganie, pochylanie głowy w bok, wyrzucanie rąk do góry. Po pewnym czasie stały się słabsze, w końcu ustały zupełnie. Za jakiś czas wróciły.

Poszła z córką do neurologa dziecięcego. Mała zaczęła płakać, lekarka stwierdziła więc, że dziecka nie zbada, i odesłała do psychologa. Zanim nadszedł termin wizyty, tiki były znów w fazie wyciszenia. Psycholog dziecięca nie wiedziała, o co chodzi, stwierdziła, że jeśli tiki wrócą, rodzina ma ponownie udać się do neurologa. Tak się stało. Tym razem badanie: pukanie młoteczkami, sprawdzanie odruchów. I diagnoza: ruchy stereotypowe, z którymi, jak uznał lekarz, nic się w sumie nie robi, same przejdą. W ciągu dwóch lat tiki gasły, po czym za jakiś czas powracały. Często w innej formie: miało mruganie, zaczynało się „kopanie w powietrze” albo potrząsanie głową.

Aleksandra: – Dziecko rosło, zaczęło chodzić do przedszkola i chciałam, żeby czuło się pewnie, rozwijając się społecznie. Znalazłam innego neurologa, tym razem takiego „z polecenia”, z dobrą opinią. Lekarka stwierdziła tiki nerwowe już na pierwszej wizycie, zaproponowała delikatne ziołowe leki wyciszające, które niestety nie pomogły.

Zaneta, mama jedenastolatki: – Diagnozy szukaliśmy przez osiem lat, od lekarza do lekarza. Albo mówili, że →

→ synowi przejdzie, albo że ja jestem przewrażliwiona.

W końcu ktoś to nazwał

Ale diagnoza to dopiero początek. Aleksandra: – Czasem trzeba za dziecko przeprosić: za szturchnięcie w sklepie czy nieopatrznie wylane mleko. Często trudno jest wytyczyć granice, gdy np. dziecko źle się zachowuje. Czy robi to celowo? Czy nad tym nie panuje? Ile można zwalić na tourette'a? Ciężko jest to wypośrodkować. Chyba najgorsza jest nieświadomość społeczeństwa. Takie dzieci często postrzegane są jako niegrzeczne, niewychowane, a nawet chore psychicznie. Choć tiki stygmatyzują, ciągle jestem pełna wiary. Przecież z okularników też się kiedyś śmiano, a teraz to się raczej nie zdarza.

Sabina, mama dziewięciolatki: – Córka choruje od trzeciego roku życia. Przerabialiśmy już kilku neurologów. Były pobyty w szpitalach. Zdecydowałam się nawet na pomoc bioenergoterapeuty i znachora. Julka zawsze była otwartym, radosnym dzieckiem. Po lekach stała się wycofana. Czasem muszę interweniować w szkole, bo dzieci bywają okrutne. Najgorsze są momenty, kiedy córka pyta, czemu musiała się taka urodzić.

Aleksandra: – Nie chciałam faszerować dziecka czymś mocnym, ale żadne naturalne preparaty nie pomagały. Przeciwnie: tiki bardzo się nasiliły. W końcu Oliwia dostała lek psychoaktywny. Pomógł na parę miesięcy. Później w naszym życiu zaczęło się dużo dziać: przeprowadzka do innego miasta, szkoła. A tiki nasilają się zawsze, gdy jest dużo emocji. Stały się tak mocne, że lek nie dawał rady. Zaczęło się odstawianie, a wraz z nim koszmar: napady hysterii w domu, w szkole, zero skupienia. Dziecko stało się płaczliwe, lękliwe. W szkole dzieci się śmiały, co jeszcze bardziej nasilało tiki, a nauczyciele... Nie wiedzieli, co z tym wszystkim zrobić.

Na facebookowej grupie poznała ludzi z podobnymi problemami. Postanowiła pójść do lekarza znajdującego się na tikach. Umówiła córkę na wizytę i dopiero teraz, po pięciogodzinnej podróży do Warszawy, dwugodzinnym wywiadzie, obserwacji i obejrzeniu wyników badań doktor postawił diagnozę: zespół Tourette'a i ADHD.

Aleksandra: – Córka jest nadpobudliwa, ma problemy z koncentracją, wymaga indywidualnego podejścia, absorbuje uwagę. Jest dzieckiem bardzo by-

Osoby dotknięte chorobą
podkreślają,
że w społeczeństwie
wciąż pokutuje
wiele szkodliwych mitów.
**Pierwszy to utożsamianie
choroby z wulgaryzmami.**

strym, jej świadomość choroby jest duża. Niedawno pojawiły się tiki wokalne: pochrząkiwanie, pociąganie nosem. Czasami mówi, że nie chce tego mieć, pyta, dlaczego inne dzieci tego nie mają. Mówi, że się wstydzi. Że boli, gdy musi ciągle zginać palec u stopy.

Próbują z innym lekiem. Na razie nie widać istotnych skutków, ale działanie powinno być widoczne dopiero za kilka tygodni. Co teraz czują? Aleksandra: – To pomieszanie rozpaczy, bo zdiagnozowano u mojego dziecka chorobę genetyczną, ulgi, bo w końcu ktoś to nazwał, i nadziei, bo mamy nowy lek. Czekamy.

Jak trędowaci

Żaneta: – Mój syn jest uczuciowym i płaczącym dzieckiem. Kiedy inne dzieci go wyśmiewają, dzwoni do mnie i ja go uspokajam. A często muszę przyjechać do szkoły. Chodzi do klasy integracyjnej, częściowo ma też nauczanie indywidualne. Ale i tak zdarza się, że za zachowanie dostaje uwagę. Mimo że nauczyciele wiedzą, iż stres pogarsza jego tiki.

Aleksandra: – Zapisaliśmy córkę do prywatnej szkoły. Zależało nam na tym, żeby była w niewielkiej grupie, kontakt z nauczycielem i dyrektcją był sprawny, dziecko traktowane indywidualnie, a zajęcia urozmaicone. Córka została przyjęta w fazie wyciszenia tików, więc start był pozytywny. Najgorzej zaczęło się dziać podczas odstawiania leku psychoaktywnego. Oliwia potrafiła wejść pod ławkę i krzyczeć, histerycznie płakać przez 15 minut. Choroba jest mało znana, w szkole również panuje lekka dezorientacja. Jako rodzice musimy poświęcać jej sporo uwagi, ciągle budować nadwątloną pewność siebie. Odrobienie pracy domowej zawsze zaczyna się od stwierdzenia: to za trudne, inne dzieci są lepsze, mądrzejsze.

Sabina: – Mieszkamy na wsi. Nauczyciele w szkole nie są świadomi, na czym ta choroba polega. Informowałam ich o tym, mówiłam, jakie córka bierze leki. Kiedy była w pierwszej klasie, padła propozycja zaproszenia mnie do klasy, żeby opowiedziała dzieciom o tym, co się dzieje z Julką. Ale do spotkania nie doszło. Córka błagała mnie, żebym tego nie robiła. Bała się, że zostanie wyśmiana. Wiem, że po cichu liczy na to, że może nie wszyscy jeszcze wiedzą. Kolejny lekarz tylko rozkłada ręce. Daje cię nadziei, że po okresie dojrzewania tiki mogą minąć, dlatego żyję tą nadzieją.

Leczenie Julki na razie opiera się na lekach psychoaktywnych. Jeśli nie podziałają, wchodzi inne. Po latach patrzenia na jej udręk rodzice zaczynają się przyzwyczajać. Choć i to jest trudne. Chodzą z córką na terapię behawioralną. Jak na razie bez rezultatów. Julka martwi się rzeczami, którymi nie powinna się przejmować dziewczynka. Że mama umrze przed nią albo że umrze jej ukończona babcia.

W miejscach publicznych Julka stara się dobrze zachowywać. Gorzej, kiedy tiki są bardziej nasilone. Sabina: – Wtedy ludzie patrzą na nas tak, jakbyśmy byli trędowaci.

Werdykt

Na koniec sezonu „Top Model” jest głosowanie i oczekiwanie na wynik. Dawid Woskarian stoi na scenie i z nerwów co chwilę przygryza wargę. Przed telewizorami tysiące chorych. Czekając na werdykt pokrzykują, wykrzywiają usta i głowy, wymachują ramionami w nagłym skurczu, chrząkają, kaszlą. Bo tourette wzmaga się w stresie.

Dawida na scenie ogląda Angelika, matka trzynastolatka. Ciągle ma nadzieję, że tiki syna to tylko wynik stresu. Syn nie przeklina, nie naśladuje głosów. Ale na jego poruszanie głową i stłumione okrzyki zwrócili już uwagę koledzy w szkole. Na razie nie przyjmuje leków i nadal dziwnie porusza oczami. Przed nim wyprawa do neurologa do Warszawy. W gabinecie usłyszy werdykt.

Sandra spodziewa się, jaki będzie finał. Trzyma kciuki, wpatruje się w ekran i aż krzyczy, kiedy ogłaszają wynik. Jakby dotyczył nie tylko Dawida, ale także jej i tysięcy takich jak ona.

Dawid wygrywa.

© MARIUSZ SEPIÓŁO

ANNA

Dziewit-Meller: *Kocham cię jak Irlandię*



KĄDEGO ROKU CORAZ BARDZIEJ ZDAJĘ SOBIE sprawę, że nasza wielka opowieść o utracie i przynależności, tak często mająca korzenie w smutku i tęsknocie, stała się – przy pewnej dozie ironii historycznej – jednym z największych skarbów naszego społeczeństwa. Kontakty z diasporą żyjącą poza naszymi granicami mogą pomóc nam wcielać w życie ideały otwartości, tolerancji, gotowości do wysłuchania różnych racji” – głosi cytat z irlandzkiej premier Mary Robinson wyświetlony na ścianie tuż za wejściem do dublińskiego Muzeum Emigracji.

Zbudował je w dawnych portowych dokach urodzony w Irlandii Północnej wieczny emigrant E. Neville Isdell. Mając ledwie 10 lat, wyjechał z rodzicami do Zambii, gdzie jego ojciec szkolił miejscową policję z technik daktyloskopii, a w wolnym czasie animował lokalne irlandzkie życie kulturalne, organizując na przykład doroczne bale świętego Patryka i gromadząc wokół siebie liczną diasporę. Jako dorosły człowiek Neville Isdell, wspinając się błyskawicznie po szczeblach kariery w ramach koncernu Coca-Cola, mieszkał w kolejnych krajach świata. Sam mówi, że aż w 151. Ten emerytowany już prezes (CEO) Coca-Coli, fundując kilka lat temu muzeum, rzekł: „Sam przecież jestem wiecznym emigrantem. A – jak mówią – możesz wyciągnąć człowieka z Irlandii, ale nigdy nie wyciągniesz Irlandii z człowieka. Historie naszych emigrantów zawsze wydawały mi się warte opowiedzenia. Dlatego właśnie zbudowałem to muzeum”.

Rozpoczęcie pierwszej w życiu wizyty w Irlandii od doków EPIC wydało mi się zatem dobrym pomysłem. Gdy wyszłam z umieszczonej w podziemiach (świetnej skądinąd) ekspozycji, w sklepie z pamiątkami spotkałam panią, która nie-naganną polszczyzną przywitała mnie i zdecydowała się poświęcić mi trochę czasu, gdy zaczęłam ją wypyttywać o jej irlandzkie życie. I tak jak 95 procent napotkanych przeze mnie w tych dniach Polaków powiedziała mi to samo: „W Irlandii jest mi naprawdę dobrze”.

Do Dublina przyjechałam, by wspierać miejscowy sztab Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, od kilku lat działający bardzo prężnie w wielu irlandzkich miejscowościach: od Dublina przez Cork, Limerick i Galway po niewielkie Carlow czy Gorey, malowniczo położone wśród zielonych wzgórz. Przez cztery dni, które spędziłam jeżdżąc od sztabu do sztabu, spotkałam rzesze rodaków, którym dziś oficjalnie dziękuję za rozmowy i gotowość do podzielenia się ze mną swoimi życiem.

Pani w Muzeum Emigracji okazała się bowiem pierwszą jaskółką całkiem dobrej nowiny: oto istnieją zadowoleni z życia Polacy. Widziałam ich na własne oczy. Jeździłam z nimi ich samochodami, piłam z nimi kawę i guinnessa, jadłam

w ich towarzystwie obiady i kolacje. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że moje spotkania z polską emigracją z Irlandii nie są reprezentatywnym badaniem na całej populacji, niemniej odsetek ludzi, którzy nie narzekali na los, był szokująco wysoki dla kogoś, kto na co dzień mieszka nad Wisłą. Pomyślałam zatem: a może w odpowiednich warunkach (finansowych, społecznych, socjalnych) i nasz naród ma szansę na uwolnienie się od swej, zdawałoby się, wrodzonej martyrologicznej skłonności, od wkurzenia *a priori*, od cierpienia za miliony, w którym się tak dobrze wyspecjalizowaliśmy? Może otoczeni tymi, jak ich ponoć nazywają Anglicy, „Jamajczykami Europy” wypuszczamy nieco powietrza z naszego wzdętego narodowego balona i mniej nas on uciska?

Sama jestem przecież taka arcy-polska w swoim męczliwym narzekactwie, w znanym doskonale mým bliskim czarowidztwie, w profilaktycznym budowaniu nastroju wiecznej grozy, w „lepiej się nie ciesz na zapas”, w odziedziczonym po przodkach talencie do odejmowania sobie radości z życia, śmieje się przecież tylko głupi do sera. Gdy ktoś mnie pyta: „Jak leci?”, a ja mówię: „Bywało lepiej” – najpewniej i tak przeżywam całkiem niezły czas.

Emigranci, których dziesiątki spotkałam na swojej trasie, ludzie najróżniejszych zawodów i proveniencji, od 13-16 lat mieszkający na Wyspie, zachowywali się jednak inaczej. Nie wydaje mi się, by mieli powód, aby o swoim życiu nie mówić szczerze. Choć deszcz w Dublinie padał na nas zarówno z góry, jak też z boku oraz od spodu, a wiatr łamał parasole niedoświadczonym w irlandzkim survivalu turystom, oni powtarzali, że jest im tam całkiem OK.

Irlandzka otwartość na przybyszów powtarzała się jak mantra w opowieściach Polaków. Byliśmy im potrzebni, tak jak oni byli potrzebni nam. Obie strony zdały się to rozumieć. Mary Robinson w kolejnym z cytatów wyświetlanych na ścianach muzeum mówiła: „Emigracja przecież to nie tylko kronika smutku, żalu i tęsknoty za utraconym. To także wielka opowieść o wspólnym udziale i adaptacji”.

Taka wydaje się opowieść o wielu Polakach w Irlandii. Mam wrażenie, że można się z niej sporo nauczyć. Dokładnie tak, jak chciała od swoich irlandzka premier. ©

POZEGNANIE

4 stycznia 2020 r. zmarł nagle

ś.†p.

Andrzej Łanuszka

Uroczystości żałobne odbyły się we środę 15 stycznia na Nowym Cmentarzu Podgórskim w Krakowie

Magdalenie i Michałowi
oraz całej Rodzinie

składamy wyrazy najgłębszego współczucia

TYGODNIK POWSZECHNY

ŹRÓDŁA Z ZACHODU I WSCHODU

Oficjalny dialog jakby wyhamował. Ale w katolicyzmie ogromna część tego, co żywe, istnieje dzięki ekumenizmowi.

PIOTR SIKORA



TRAKTujesz MNIE JAK POWIETRZE! – TO okrzyk rozpaczny kogoś, kto czuje się nieważny i niezauważany, a nie wyraz radosnej dumy człowieka, który właśnie dowiedział się, iż ukochana osoba żyć bez niego nie może. Choć gdyby brać świat na poważnie, powinno być na odwrót. Rekord świata we wstrzymywaniu oddechu nie przekracza dwunastu minut; bez wody wytrzymać można kilka dni, bez jedzenia – kilka tygodni.

Wymiana darów

Z ekumenizmem w Polsce jest właśnie jak z powietrzem. Zarówno tym z okrzyku rozpacz, jak i tym, bez którego przeżyć nie sposób. Od zakończenia II wojny światowej zdecydowana większość chrześcijan w naszym kraju to katolicy, a ekumenizm kojarzy się raczej z niszową działalnością garstki zapaleńców, od czasu do czasu wspieranej przez dyplomatyczne deklaracje władz kościelnych wspólnot.

Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, który właśnie przeżywamy (18–25 stycznia), odbywa się u nas co roku od kilkudziesięciu już lat, wspólnie organizowany przez Kościoły zrzeszone w Polskiej Radzie Ekumenicznej i Kościół rzymskokatolicki. Ma duże znaczenie dla mniej licznych Kościołów – protestanckich czy prawosławnego. Jednak dla większości polskich katolików nie jest to istotne wydarzenie – o ile w ogóle o nim wiedzą.

Na szczęblu oficjalnym nie dzieje się wiele. Dwadzieścia lat temu, 23 stycznia 2000 r., liderzy siedmiu Kościołów: ewangelicko-augsburskiego, ewangelicko-metodystycznego, ewangelicko-reformowanego, katolickiego, polskokatolickiego, starokatolickiego mariawitów i prawosławnego, podpisali deklarację wyrażającą wspólne rozumienie chrztu i wzajemnie uznającą ważność tego sakramentu udzielanego w tych wspólnotach. Był to jak na razie jednak ostatni znaczący zatwierdzony dokument ekumeniczny. Deklaracja na temat małżeństw osób o różnej przynależności wyznaniowej, przygotowana przez mieszaną komisję teologiczną w 2011 r., choć zaaprobowana przez polski Episkopat, utknęła

w watykańskich gabinetach i dotąd nie stała się obowiązującą regułą postępowania z małżeństwami mieszanymi.

Gdy popatrzeć na rzeczywistość w ten sposób, ludzie zaangażowani w ekumenizm mogliby krzyknąć w kierunku większości polskich chrześcijan (a na pewno katolików): „traktujecie nas jak powietrze!”. Z drugiej strony jednak ekumenizm jest jak powietrze dla chrześcijaństwa, a na pewno dla polskiego katolicyzmu: ogromna część tego, co w nim żywe i co pozwala z nadzieją patrzeć w przyszłość, istnieje dzięki ekumenizmowi – jeśli właściwie zrozumieć to pojęcie.

Jak bowiem określił Sobór Watykański II oraz papież Paweł VI i Jan Paweł II, dialog ekumeniczny nie jest tylko wymianą myśli (czy dokumentów), ale przede wszystkim wymianą darów duchowych. Dialog ekumeniczny dzieje się wszędzie tam, gdzie zamiast zamykać się na to, co u innych dobre, wzajemnie się inspirujemy i uczymy od siebie.

Nie mogę się wypowiadać za siostry i braci z innych Kościołów, w czym ich inspirujemy. Ale chciałbym pokazać, jak wiele duchowych darów polski katolicyzm czerpie od protestantów i prawosławnych.

Oaza i Odnowa

Jednym z najważniejszych ruchów katolickich, który odcisnął ogromne piętno na Kościele w Polsce, jest Ruch Światło-Życie, tzw. oaza. Wywodzi się z niego ogromna część zaangażowanych katolików średniego pokolenia – także księży. Ks. Franciszek Blachnicki, założyciel oaz, oparł ich duchowość i program formacyjny na tzw. Czterech Prawach Duchowego Życia: „(1) Bóg miłuje człowieka i ma wobec każdego człowieka wspaniały plan zbawienia, wypływający z Jego miłości; (2) człowiek jest oddzielony od Boga, od Jego planu zbawienia przez grzech; (3) Jezus Chrystus jest jedynym Pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem; (4) trzeba przyjąć Chrystusa w sposób osobisty, trzeba uwierzyć w Chrystusa jako swojego Pana i Zbawiciela”. Nie można zapomnieć, że zaczerpnął owe Cztery Prawa z teologii rozwijanej w Kościołach protestanckich.

Drugim ruchem, który do dziś wywiera przemożny wpływ na większość żywych, dynamicznych wspólnot kościelnych, jest Odnowa w Duchu Świę-

tym. Ruch charyzmatyczny powstał we wspólnotach protestanckich na początku XX wieku, a w Kościele katolickim jest obecny od drugiej połowy lat 60. ubiegłego stulecia.

Pojawienie się katolickiej Odnowy stało się możliwe dzięki doświadczeniu protestanckich wspólnot oraz teologii rozwijanej w ich ramach. Właśnie bowiem uważna obserwacja charyzmatycznego ożywienia wspólnot protestanckich była istotną inspiracją do toczonej na Soborze Watykańskim II debaty, w której spierano się, czy charyzmaty należą do przeszłości, czy też współczesności Kościoła. Wynikiem tej dyskusji były stwierdzenia Konstytucji „Lumen gentium” o powszechnym udzielaniu przez Ducha Świętego darów charyzmatycznych umożliwiających służbę całej wspólnocie. Katolickie wspólnoty Odnowy powstały kilka lat po ogłoszeniu tego dokumentu – z pewnością w wyniku recepcji jego treści.

Sposób funkcjonowania większości żywych wspólnot katolickich w Polsce, zwłaszcza związanych z ideą tzw. nowej ewangelizacji, jest mniej lub bardziej doskonałą realizacją tej właśnie wizji. To koncepcja Kościoła, w którym świeccy pełnią aktywną rolę, i to również w obszarze przewodzenia i nauczania.

Drugim niezwykle istotnym aspektem teologii i duchowości charyzmatycznej jest wizja doświadczenia religijnego, połączanego z silnym pobudzeniem emocjonalnym i dostępnego dla wszystkich uczestników życia wspólnoty. Poszukiwanie takiego doświadczenia jest charakterystyczne dla ogromnej części katolickich wspólnot oraz dla najpopularniejszych wydarzeń duchowych, takich jak np. całodniowe spotkanie modlitwne „Jezus na stadionie”. Prowadzenie do podobnego doświadczenia jest też ważnym aspektem działalności misyjno-rekolekcyjnej aktywnych członków katolickich wspólnot ewangelizacyjnych. Nic dziwnego, że sposoby te są w dużej mierze przejęte od protestantów lub anglikanów – jak choćby popularny „Kurs Alfa”.

Modlitwa Jezusowa

Nie wszyscy katolicy odnajdują się w duchowości charyzmatycznej. Wielu z tych, którzy poszukują głębokiego doświadczenia religijnego, czerpie ze źródeł, które z historycznego punktu widzenia leżą poza tradycją łacińskiego chrześcijaństwa – tym razem na Wschodzie. Wpływ tych →

W kaplicy na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich, przygotowanej na 32. Europejskie Spotkanie Młodych Wspólnoty z Taizé, 28 grudnia 2009 r.

→ nurtów duchowości na współczesny polski katolicyzm także jest niebagatelny.

Wystarczy przejść się po sklepach z dewocjonaliami, by zobaczyć, że tradycyjne zachodnie święte obrazy są wypierane przez wschodnie ikony. Ikony są coraz chętniej kupowane ze względów estetycznych, stając się coraz popularniejszymi prezentami na chrzest czy pierwszą komunie. W przestrzeni polskiego katolicyzmu istnieje już co najmniej kilkanaście miejsc, w których można samemu nauczyć się je malować – a raczej „pisać” (tak mówią na chrześcijańskim Wschodzie). Adepti tej sztuki uczą się w owych szkołach nie tylko technik plastycznych. Są również wprowadzani w prawosławną teologię oraz – co jeszcze ważniejsze – w duchowość nierozdzielnie związaną z malarską częścią procesu powstawania każdej autentycznej ikony.

Wschodnią duchowością inspirują się też coraz liczniejsze katolickie ośrodki rekolekcyjne i grupy modlitewne. Dni skupienia wprowadzające w tzw. modlitwę Jezusową czy duchowość ojców pustyni odbywają się w różnych miejscach Polski niemal przez cały rok.

Duchowość chrześcijańskiego Wschodu inspiruje także niektóre grupy wywodzące się z ruchu charyzmatycznego. Czasami jest to autonomiczne odkrycie, czasami droga wpływu biegnie poprzez tzw. nowe wspólnoty powstałe w Kościele katolickim na Zachodzie Europy, głównie we Francji – wiele z nich czerpało bowiem w równym stopniu od protestanckich charyzmatyków, co z duchowości prawosławia.

Nie można w tym miejscu nie przypomnieć wspólnoty z Taizé – ekumenicznej z założenia, łączącej elementy protestanckie, katolickie i prawosławne. Polacy od lat licznie odwiedzali samo Taizé, a także brali udział w corocznych Spotkaniach Młodych organizowanych przez wspólnotę. Bracia ze wspólnoty założonej przez Brata Rogera zawsze zalecali, by odwiedzający ich ludzie wracali do swoich Kościołów i angażowali się w miejscach,

Tradycja prawosławna może skorygować legalistyczne podejście do grzechu, protestanci zaś inspirują bardziej demokratycznym modelem wspólnoty.

w których żyją. Owocem tego są liczne grupy modlące się w stylu Taizé, rozsiane po wielu polskich parafiach.

Co z katolicką tożsamością

Inspirowanie się teologią czy duchowością innych wyznań chrześcijańskich zmusza do postawienia istotnych pytań. Dla wielu podstawowym będzie pytanie o zachowanie katolickiej tożsamości. Inspiracje tradycją wschodnią nie budzą tylu wątpliwości, co czerpanie z protestantyzmu. Jedną z głównych przyczyn tej różnicy jest zapewne fakt, iż chrześcijański Wschód i Zachód pozostawały w jedności przez pierwsze tysiąclecie. Łatwo zatem obronić prawosławne inspiracje wskazując, że chodzi tu o czerpanie z rozmaitych tradycji niepodzielonego jeszcze Kościoła. W przypadku Kościołów protestanckich nie da się wykonać podobnego ruchu – powstały one przez odłączenie się od Kościoła katolickiego, więc z punktu widzenia purystów tożsamościowych od samych swych początków naznaczone są nie tyle różnicą, co polemiką z katolicyzmem.

Trzeba jednak od razu stwierdzić, że sam fakt, iż ktoś dziś zgłasza wątpliwości i (nawet nawołując do przeciwstawienia się „pentekostalizacji” Kościoła) mówi o roztropnym rozróżnieniu, co w tradycji protestanckiej jest dobre, a co złe – jest owocem wieloletniego zaangażowania Kościoła katolickiego w dialog

ekumeniczny. Jeszcze sto lat temu żadne inspiracje teologią i duchowością protestancką (ani nawet prawosławną) nie byłyby możliwe. Nie zadawano by pytań i nie zgłaszano wątpliwości – raczej by wyrażono zdecydowany sprzeciw, a na nieposłusznych ciskano anatemy.

Na przeszkodzie takim inspiracjom stała bowiem negatywna ocena wszystkich niekatolickich nurtów chrześcijaństwa, dokonywana z pozycji wspólnoty przekonanej o posiadaniu pełni prawdy, która – jakoby – została najdoskonalej zrozumiana i wyrażona w tradycji katolickiej. Ojcowie Soboru Watykańskiego II, porównując różnice pomiędzy wschodnim a zachodnim chrześcijaństwem, zauważyli jednak, że „niektóre aspekty objawionych tajemnic czasem znajdują stosowniejsze ujęcie i lepsze naświetlenie u jednych niż u drugich”. Tę obserwację w praktyce późniejszego dialogu ekumenicznego zastosowano także wobec różnic pomiędzy katolicyzmem a rozmaitymi nurtami protestantyzmu. Owocem tego dialogu były nie tylko rozmaite oficjalne międzykościelne dokumenty, lecz przede wszystkim radykalna zmiana świadomości większości wiernych – w praktyce życia przyjmujących dziś otwartość na inspiracje płynące z innych wyznań chrześcijańskich jako coś oczywistego.

Przyszłe inspiracje

Przyjmując postawę takiej otwartości, nie trzeba wcale rezygnować ani z roztropnego badania wartości wpływów płynących od naszych niekatolickich siostr i braci, ani z trudu przystosowywania wartościowych inspiracji do katolickiego kontekstu. Warto jednak jednocześnie pytać, co w tradycjach innych Kościołów jest obecnie szczególnie cenne i warte dalszego świadomego implemmentowania i rozwijania w życiu katolickich wspólnot.

Z pewnością we współczesnym kontekście kulturowym, w którym osobiste przeżycie jest czymś cenionym i poszukiwanym, na plan pierwszy wysuwa się kwestia doświadczenia religijnego. Tutaj zaś inspiracje z zielonoświątkowych wspólnot protestanckich mogą być uzupełniane albo nawet korygowane przez te pochodzące z tradycji chrześcijańskiego Wschodu.

Podstawowym problemem duchowości charyzmatycznej jest duży nacisk kła-

Sąd Rejonowy w Słubicach, w sprawie I Ns 265/19 o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Dybka, zm. 11 stycznia 2004 r., z d. Wojewódzkiej, c. Antoniego i Michaliny, ostatnio stale zamieszkałej w Kostrzynie nad Odrą – wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sąd nie ma informacji, co wchodzi w skład spadku.

dziony na reakcje emocjonalne, a nawet cielesne. W rezultacie łatwo o pomylenie psychosomatycznego wzbudzenia, możliwego do uzyskania także poza kontekstem religijnym, np. na koncercie czy meczu, z autentycznym przeżyciem duchowym. Tu pożyteczna może okazać się kontemplacyjna tradycja wschodnia. Z jednej strony jest ona niezwykle (sądzę, że bardziej niż zachodnie szkoły duchowości) wyczulona na to, co dzieje się w sferze ludzkich uczuć i myśli. Z drugiej jednak strony cechuje się wyraźną świadomością, iż autentyczne spotkanie z Bogiem rozgrywa się na poziomie głębszym niż psychika i strumień świadomości, i że z tego powodu wymaga ascezy myśli i uczuć.

Ascetyczno-kontemplacyjna tradycja chrześcijańskiego Wschodu może być pożyteczna dla człowieka Zachodu z jeszcze jednego powodu. Może skorygować zbyt legalistyczne podejście do grzechu i usprawiedliwienia grzesznika, które mimo wszelkich różnic cechuje zarówno katolików, jak i protestantów. Wschód od wieków widzi bowiem grzech raczej jako chorobę ducha,

a wyzwolenie z niego jako proces terapii. Różnica z podejściem zachodnim uwidacznia się wyraźnie na przykładzie tzw. siedmiu grzechów głównych. Tak mówimy o nich na Zachodzie, traktując je jako kategorie szczególnie złych czynów. Wschód mówi o głównych wadach, przejawiających się w tendencjach do posiadania specyficznych myśli i do angażowania się w specyficzne sposoby działania. Wady te należy nie tyle osądzać i potępiać, co stopniowo i wytrwale leczyć.

Protestanckie inspiracje warte szczególnej uwagi dotyczą zwłaszcza funkcjonowania w znacznie mniej zhierarchizowanych, a bardziej demokratycznych wspólnotach, w których odpowiedzialność i władza jest współdzielona przez wszystkich członków grupy. Wizja Kościoła rozwijana przez chrześcijan będących spadkobiercami Reformacji jest w tym zakresie bliższa pierwotnym formom chrześcijańskich społeczności, jakie znamy z Nowego Testamentu. Scenarizowana monarchia absolutna, jaką z punktu widzenia struktury władzy jest Kościół katolicki, nie tylko nie pasuje do

współczesnego świata. Nie służy też najlepiej rozwojowi podmiotowości swoich członków, a – jak pokazują siostry i bracia protestanci – wcale nie jest jedyną możliwą postacią chrześcijańskiej organizacji religijnej. Przyglądając się funkcjonowaniu wielu rozmaitych protestanckich wspólnot, możemy przejąć wiele udanych pomysłów.

Czy jednak tak daleko idąca otwartość na niekatolickie inspiracje nie zagraża katolickiej tożsamości i czy samo mówienie o potrzebie takiej otwartości nie kwestionuje wartości naszej własnej, katolickiej tradycji?

Czerpanie z duchowych dóbr innych wcale nie neguje bogactwa własnej tradycji. Autentyczne duchowe dobra nie stanowią dla siebie konkurencji. To stwierdzenie jest jedną z centralnych zasad katolickiej tradycji teologicznej. Jest ona podstawą życiowej rzeczywistości, którą możemy obserwować w Polsce w ostatnich latach: zdolności katolicyzmu do integracji rozmaitych, historycznie niekatolickich elementów. To ważny aspekt naszej tożsamości.

© © PIOTR SIKORA

42. Europejskie Spotkanie Młodych Wspólnoty z Taizé we Wrocławiu, 28 grudnia 2019 r.



KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Na Bożym zapiecku

DOROTA BIDZIŃSKA

Chcą żyć obok siebie. Wspólnie troszczyć się o środowisko i modlić. Zakładają pierwszą w Polsce chrześcijańską ekowioskę.

MIAŁ 28 LAT, WYGLĄDAŁ NA MNIEJ, najwyżej 17. Nowi sąsiedzi przyglądali mu się z zaciekawieniem. – Niektórzy widzieli we mnie naiwnego chłopczyka, który dał się nabrać na szalone pomysły pułkownika – uśmiecha się. Stoi w drzwiach obory. Niskie, zimowe słońce ogrzewa nam twarz. Pachnie sianem i obornikiem.

Był 1989 rok. Polaków ciągnęło na Zachód. Peter Stratenwerth, syn profesora prawa z Bazylei, wybrał odwrotny kierunek. Sfatygowaną niebieską furgonetką przyjechał na mazowiecką wieś. Kupił kawałek ziemi w Grzybowie, od sąsiadów pożyczył pierwszą krowę.

Jako nastolatek angażował się w ruchy ekologiczne, brał udział w protestach przeciwko budowie elektrowni atomowej. Z czasem uznał, że zamiast wychodzić na ulicę i krzyczeć, woli budować coś swojego. Odkrył rolnictwo ekologiczne. Pracował na farmach w Alpach, ale to polskie gospodarstwa zachwyciły go najbardziej. Te bez elektryczności i telewizji, z wodą ze studni, wtopione w otaczającą je dziką naturę.

– Patrzyłem na to miejsce przez różowe okulary – mówi.

Pułkownik to Marian Kłoszewski – mieszkaniec Grzybowa, pasjonat rolnictwa biodynamicznego, zafascynowany filozofem Rudolfem Steinere. Z czasem ich drogi się rozejdą, ale w tych pierwszych latach Peter i Kłoszewski działają razem.

– Marian założył ekologiczne kółko rolnicze Ziarno – opowiada Peter. – Wiele osób się zapisało i prawie tyle samo wypisało równie szybko. Nie wszyscy rozumieli, na czym ma polegać ekologiczne rolnictwo. Niektórzy chyba myśleli, że wystarczy, jeśli za pierwszym razem nie przyskasz upraw. Ale nie chcieli wejść głębiej w temat. Zostało tylko kilka osób, które potraktowały ekologię poważnie.

W Grzybowie Peter prowadzi gospodarstwo z chowem krów i kóz, starając

się poprawić żyzność gleby bez użycia sztucznych nawozów. Mleko przerabia na sery dojrzewające, a zboże wykorzystuje we własnej piekarni.

– W standardowym gospodarstwie zwierzęta przez cały rok karmione są kukurydzą, u mnie pasą się na łąkach – tłumaczy. – Przez to co prawda dają mniej mleka, ale są zdrowsze, a ich mleko smaczniejsze.

Na początku lat 90. zaczął sprzedawać chleby i sery na targach zdrowej żywności w Warszawie. Na jednym z takich spotkań poznał jedną z organizatorek, swoją przyszłą żonę, Ewę.

Idea

Tomek Kaczmarek od zawsze szukał w życiu alternatywy. Wiele lat spędził w podróży, mieszkując to tu, to tam. Obserwował. W Afryce odkrył, że największa bieda, z którą stereotypowo kojarzony jest ten kontynent, nie jest wcale tam, gdzie ludzie wiodą wystarczające do przetrwania, choć skromne, życie, ale w miejskich slumsach. Odwiedzał różne wspólnoty. Zainteresował go ruch ekowiosek – samowystarczalnych społeczności, opartych na bliskich relacjach, dążących do zrównoważonego rozwoju, w poszanowaniu planety.

Brakowało mu w nich tylko jednego. Tomek jest katolikiem. Choć takie osady często bazują na duchowej inspiracji, z reguły sięgają do wątków neopogańskich, zaczerpniętych z religii Dalekiego Wschodu lub New Age. Jemu marzyła się chrześcijańska ekowioska.

Kiedy się ożenił, nie przestał marzyć o takim miejscu. Teraz szukali go we dwoje, z Michaliną. Razem odwiedzili m.in. wspólnotę Pueblo de Dios, w południowo-zachodniej Hiszpanii.

„Mimo że klimatem przypominała wioskę hippisów, to jednak był tam jakiś rytm i porządek. Czas na pracę, modlitwę, odpoczynek przy kawie, ale wszystko w wolności i na luzie. Członko-



wie wspólnoty prowadzili skromne życie, utrzymując się w dużej mierze z datków i własnej żywności – tak Kaczmarekowie opisali później to miejsce. – O ile na zewnątrz wszystko mogło się wydawać zwariowane i szalone, tak w kaplicy czuło się głębię Ducha i jedność z Kościołem. Tam można było zobaczyć, na czym ta wspólnota jest zbudowana”.

Zainspirowani wizytą w „Boskim Miasteczku” postanowili, że sami zbudują coś podobnego. Pierwszym krokiem było założenie strony internetowej: ekowioska.org.

Wkrótce zaczęli odzywać się do nich inni entuzjaści tego projektu.

– Zdarza się, że ktoś zarzuca mi niedojrzałość. Pyta: kiedy wreszcie przestaniesz uciekać przed poważnym życiem? Przystałem się tym przejmować – przyznaje Tomek. – Wiele osób nawet nie ma świadomości, że wchodząc w określone ramy, staje się trybikiem większego systemu i rzeka się części swojej wolności. Czy to nie jest forma niedojrzałości, ucieczki?

Ekosystem

– To Peter miał do pokonania więcej kilometrów. A jednak, z perspektywy mentalnej, moja droga do Grzybowa była dłuższa – mówi Ewa Smuk-Stratenwerth, która w latach 90. współtworzyła m.in. akcję „Rodzić po ludzku”. – Całe życie mieszkalam w Warszawie. Co taka paniusia z Marszałkowskiej będzie robić na wsi? Obawiałam się wielu rzeczy.



KATARZYNA MARTYNA-JAKUBOWSKA

Mieszkańcy chrześcijańskiej ekowioski, Grzybów, lipiec 2017 r.

Najbardziej chyba tego, że nic nie będę potrafiła, nawet podwórka porządnie zamieść.

Po przeprowadzce robi więc to, w czym zawsze była najlepsza. Organizuje wizyty w Grzybowie dla dzieci z warszawskich szkół i przedszkoli. Maluchy po raz pierwszy mają okazję zanurzyć palce w cieście i upiec chleb albo na własne oczy zobaczyć, jak strużka świeżego mleka leje się z kozich wymion wprost do wiadra. Na zrębach dawnego kółka rolniczego tworzą z Peterem stowarzyszenie Ziarno. Organizują imprezy kulturalne oraz warsztaty dla mieszkańców Grzybowa i okolic. We współpracy z lokalnymi instytucjami wydają gazetkę „Więści znad Wisły”.

– W pewnym momencie zainteresowałam się uniwersytetami ludowymi – opowiada Ewa.

To inicjatywa, która zrodziła się w głowie Duńczyka, Nikolaia Grundtviga w XIX w. Forma edukacji dorosłych, głównie mieszkańców wsi, która rozbudzała aktywność, ciekawość świata i świadomość obywatelską. Metoda przyjęła się w wielu krajach, także w Polsce.

– Założyliśmy własny Ekologiczny Uniwersytet Ludowy im. Brata Rogera z Taizé. To postać, która zawsze mnie inspirowała – tłumaczy Ewa. – Uczymy przede wszystkim ekologicznego rolnictwa, ale nie brakuje zajęć dotyczących kultury, nauk społecznych, filozofii. Organizujemy debaty oksfordzkie i warsz-

taty rękodzieła. Ważnym elementem jest wspólne śpiewanie, które integruje i pomaga przełamać bariery.

Studenci grzybowskiemu EUL-u to często zwolennicy alternatywnych stylów życia, głębokiej ekologii.

– Nie we wszystkim się zgadzamy – przyznaje Ewa. – Jestem katoliczką, Peter należy do Kościoła ewangelicko-reformowanego. Nasi studenci miewają nieraz bardzo antykościelne podejście, preferują inne formy duchowości. Dla mnie jednak te spotkania poszerzają horyzonty.

Uniwersytet Ludowy to także zajęcia dla mieszkańców.

– Ostatnio odbyły się warsztaty pisania ikon. Ktoś zapytał mnie w żartach, dlaczego ikony, a nie cerowanie skarpet, które przecież jest bardziej przydatne. Mnie jednak nie tyle zależy na kształceniu praktycznych umiejętności, ile poszerzaniu horyzontów naszych kursantów. Pamiętam, jak wiele lat temu zabrałam tutejsze dzieciaki na wycieczkę nad morze. Szliśmy plażą przy zachodzącym słońcu, a z ich gardeł wydobywały się westchnienia zachwytu. To, co chciałyby osiągnąć, to dać ludziom doświadczenie takiego „ach”.

To, że nieraz się udaje, potwierdzają wrażenia Romana, który w trudnym momencie życia znalazł w domu Ewy i Petera schronienie. Dostał tu dach nad głową, pracę – i dużo więcej.

– Wszystkie posiłki jemy razem – opowiada. – Przed jedzeniem łapiemy się za

ręce i śpiewamy jakąś religijną pieśń. Ciągle coś tu się dzieje. Na przykład teatrzyk cieni...

Peter powycinał różne figurki, Ewa czytała książkę, a on poruszał nimi na tle rozwieszonego prześcieradła. To było coś cudoownego!

– Udało nam się stworzyć coś, co lubię nazywać naszym „grzybowskim ekosystemem”: sieć relacji bliższych i dalszych, opartych na współpracy. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni – mówi Ewa. – Czasem tylko zastanawiam się, co z tego zostanie, gdy zabraknie nam już sił. Czy ktoś to pociągnie dalej?

Cztery filary

Tomek i Michalina zaczęli organizować spotkania dla rodzin zainteresowanych ekowioską. Na jedne z rekolekcji, prowadzone przez o. Stanisława Jaromego i Kacpra Jakubowskiego z Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu, pojechali do Grzybowa.

Miejsce ich zachwyciło, a z gospodarzami od razu złapali wspólny język. Ta myśl przemknęła przez głowę chyba wszystkim, ale to Michalina jako pierwsza wypowiedziała ją na głos: „Jeśli miałabym się gdzieś przeprowadzić, to tylko do Grzybowa”.

– Pamiętam wspólną, wieczorną modlitwę na zakończenie tego spotkania – opowiada Ewa. – Tak jak zwykle modliliśmy się pieśniami z Taizé. Czuć było między nami niezwykłą jedność. →

⇒ Nawet dzieci, które zwykle niecierpliwą się i dokazują, siedziały cichutko, jak urzeczone.

Nie chcą układać statutów ani regulaminów przyszłej wioski, ale wspólnie zastanawiają się, co jest dla nich ważne. Po pierwsze: wspólnota.

– Rodzina nuklearna, do której tak się przyzwyczailiśmy, tak naprawdę nie odpowiada na nasze potrzeby – tłumaczy Ewa. – Izoluje. Widać to w przypadku młodych mam, uwieczonych w czterech ścianach, samotnie zmagających się z opieką i wychowaniem swoich dzieci. A przecież dawniej ludzie żyli w małych społecznościach, które wspólnie dbały o swoje interesy, silniejsi pomagali słabszym, dzieci wychowywały się razem, zawsze pod czujnym okiem którejś z mam, babć lub ciotek.

– Na pewno są silne argumenty psychologiczne i społeczne, ale mnie przekonuje jedno – dodaje Tomek. – Tak właśnie wyglądało życie pierwszych chrześcijan. Jeśli chcę realizować w swoim życiu chrześcijański ideał, to przede wszystkim naśladować wzór uczniów opisany w Dziejach Apostolskich.

Po drugie: sąsiedztwo. – To, że chcemy budować wspólnotę, nie oznacza od razu jakiejś komuny. Każdy z nas ma swoją rodzinę, przestrzeń prywatną – wyjaśniają. – Spotykamy się na posiłkach, wieczornej modlitwie, pomagamy sobie nawzajem, ale każdy z nas ma też czas dla siebie. Nikt też nie ma obowiązku uczestniczyć we wspólnych posiłkach czy spotkaniach.

Po trzecie: ekologia integralna. – Odsyłam do encykliki Franciszka „Laudato si”. Tam wszystko zostało opisane! – mówi Tomek. – Chcemy, żeby nasz styl życia w jak najmniejszym stopniu przyczyniał się do wykorzystywania zasobów i zanieczyszczenia planety.

I wreszcie: gościnność. – Nie chodzi tylko o otwartość naszych domów – tłumaczy Ewa. – W Polsce w ostatnich latach wzrosła nieufność wobec obcych i ksenofobia. Bardzo mnie to boli i chciałabym to zmieniać. To dlatego między innymi staramy się pokazać wielokulturowe korzenie Polski i naszego regionu. Z dziećmi ze szkół sprzątamy tereny przy dawnych kościołach ewangelickich. Na kolejne warsztaty w EUL-u planujemy malowanie tradycyjnej polskiej skrzyni posażnej i niemieckiego szlafbanku – ławy do spania.

Choć nie ma obowiązku,
spotykają się na posiłkach,
wieczornej modlitwie,
**pomagają sobie
nawzajem.**

Przeprowadzka

Tomek i Michalina w Grzybowie mieszkają od września. – Niby nic się nie zmieniło, a jakby zmieniło się wszystko – mówi Ewa. – Zawsze otaczało nas tutaj wielu ludzi. Mamy pracowników w piekarni, serowni i założonej z naszą pomocą spółdzielni społecznej. Choć staramy się bardzo spłaszczać hierarchię, to jednak zawsze jesteśmy traktowani przez nich z dystansem, jako pracodawcy. Przyjeżdżają studenci uniwersytetu i wolontariusze z całego świata, potem znikają. Mamy z Peterem pięć dorosłych córek. Lubią tu być, ale raczej szukają przyszłości w mieście. Wraz z Tomkiem i Michalą pojawiła się nadzieja. Możemy budować coś razem.

Inni wciąż zastanawiają się nad przeprowadzką. Przyjeżdżają tu na długi weekend majowy lub, tak jak teraz, by wspólnie pożegnać stary i powitać nowy rok.

Milena samotnie wychowuje 9-letniego synka: – Często odwiedzamy z Jaśkiem różne miejsca, jeździmy na wakacje. Zawsze jest fajnie, ale po kilkunastu dniach pojawia się tęsknota za domem. Po naszym pierwszym pobycie w Grzybowie Jaś przeplakał całą drogę powrotną. Przecież wracamy do domu – mówiłam mu. Odpowiadał przez łzy: „Ale ja chciałbym, żeby tutaj był mój dom!”.

Choć podobno zwykle trudno zerwać go z łóżka, to w Grzybowie sam nastawia budzik na piętą i jak najszybciej biegnie do obory, pomóc Peterowi przy zwierzętach.

– Patrz, już południe, a moi mnie jeszcze w domu nie widzieli – zagaduje do mnie z uśmiechem następnego dnia, w kuchni Ewy i Petera pochłaniając kanapkę z dżemem.

– Jak tu się przenieść? Zostawić mieszkanie, pracę? Nawet nie mam prawa jazdy! Jak bym wozila Jaśka do szkoły, do lekarza? – zastanawia się Milena.

– Przecież tym właśnie różni się przeprowadzka do Grzybowa od zwykłej przeprowadzki na wieś – odpowiada

Michalina. – Zawsze ktoś z nas może cię podrzucić. Na pewno nie zostałaś sama.

Karol nie ma wątpliwości, że kiedyś zamieszka w Grzybowie. Na razie przyjeżdża tylko w weekendy. Z zawodu pielęgniarz, ochotnik w Wojskach Obrony Terytorialnej. Z ekowioskami po raz pierwszy zetknął się, gdy mieszkał w Niemczech. Sam miał niewielkie podwórko koło mieszkania, gdzie uprawiał warzywa, a nawet hodował kury.

– Dostałem je z pobliskiej fermy – opowiada. – Miały iść do rzeźni, bo nie były już wystarczająco wydajne i znosiły mało jajek. W moim ogródku trochę się zregenerowały. Wcale nie narzekałem na ich małą produktywność – śmieje się.

W grzybowski osadzie podoba mu się jej chrześcijański charakter. Wspólne wartości są dla niego bardzo ważne.

Dorota jest tu po raz pierwszy. Przyjechała aż ze Świnoujścia, dziewięć godzin pociągiem: – Znalazłam stronę Tomka w internecie. Bardzo mnie to zainteresowało. Jestem tercarką zakonu św. Franciszka i bliska mi jest prostota życia, którą głosił Biedaczyna z Asyżu. Na co dzień otrzymujemy od Boga tyle darów, pięknych i prostych: słońce, deszcz, ziarna zboża, z których powstaje chleb. Zamiast doceniać to, co mamy, chcemy ciągle więcej i więcej. Taki styl życia obciąża i niszczy naszą planetę.

Dorocie towarzyszy jej nastoletni syn. Kuba ma autyzm. Trudno mu odnaleźć się w nowym otoczeniu, nie odzywa się, chodzi krok w krok za mamą. Kiedy jednak Peter proponuje mu wspólne karmienie kóz, powoli wstaje z krzesła i znika na pół godziny.

Wieczorem spotykamy się wszyscy przed ikoną Narodzenia Pańskiego. Wspólnie dziękujemy za miniony rok. Ale też myślimy o cierpiących: doświadczających wojen, uciekających przez Morze Śródziemne, bez dachu nad głową i bliskości drugiego człowieka.

– Tak naprawdę to wszystko bierze się z naszej wdzięczności – mówi Peter, gdy siedzimy później obok choinki i skonstruowanej przez niego szopki. Świętą rodzinę otaczają zwierzęta zabawki i drzewa z grzybowskich ziół: lawendy, rozmarynu i szalwii.

– Mamy tak wiele. Mamy siebie – uśmiecha się do Ewy. – Jak moglibyśmy się tym nie dzielić?

© DOROTA BIDZIŃSKA



PIOTR SKORNIKI / AGENCIA GAZETA

Mufti Nedal Abu Tabaq (drugi z prawej) na manifestacji „Hello Brother, Hello Sister. Muzułmanie solidarni z prześladowanymi oraz pamięci ofiar zamachów” (pierwszy z lewej podrapin Szymon Zadumiński, drugi – ksiądz Tomasz Puchalski), Poznań, 30 marca 2019 r.

Szlachetny Pan

MUFTI NEDAL ABU TABAQ:

Jako wyznawcy różnych religii powinniśmy pokazywać, jak Bóg zmienia nasze życie, a nie – jak możemy siłą zmienić życie innym.

ANNA WILCZYŃSKA: Kim w islamie jest Bóg?

MUFTI NEDAL ABU TABAQ: Według islamu nasz Bóg jest Bogiem wszystkich. Allah, jak Go nazywamy po arabsku, to ta sama osoba, którą chrześcijanie w Polsce nazywają Panem Bogiem, Bogiem Stwórcą. To jest Bóg, który stworzył dla nas raj. Ponadto w rozumieniu prawdziwego islamu – bo jak wiemy, w każdej religii są osoby, które próbują wypaczać obraz Boga, dostosowywać go do swojej interpretacji, do swoich interesów – Bóg jest nie tylko Bogiem miłosierdzia, które objawia w każdej surze Koranu, bo każda z nich rozpoczyna się od słów „imię Boga Miłosiernego i Litościwego”, ale – co może być zaskoczeniem dla niektórych – nasz Bóg jest Bogiem miłości.

Rzadko myślimy o Bogu w rozumieniu muzułmańskim przez pryzmat miłości.

W Polsce w ogóle rzadko mówi się o tym, że muzułmanie wierzą w Boga. Mówi się raczej, że to chrześcijanie mają Boga, a muzułmanie mają Allaha. Zdarza się też, że osoby nieznające islamu zrównują Boga z Prorokiem Muhammadem i twierdzą, że muzułmanie czczą Muham-

mada, co nie jest prawdą. Słowo *Allah*, które ma swoje korzenie w języku aramejskim, jest odpowiednikiem słowa „Bóg” w języku polskim, ale w swoim arabskim kształcie jest wyjątkowe. Już samo to słowo, gdy mu się przyjrzymy, pomaga nam poznać przymioty Boga. Po pierwsze, słowo *Allah* nie jest ani rodzaju męskiego, ani żeńskiego – i w ten sposób przypomina nam, że Bóg również nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. W samym tym słowie odkrywamy, że do Boga nikt nie jest podobny, nikt Mu nie dorówna. Po drugie, słowo *Allah* nie ma liczby mnogiej. To odzwierciedla fakt, że Bóg także nie jest wieloraki, nie jest mnogi, ale jest jeden jedyny.

Bóg w Koranie podobnie jak w Biblii mówi o sobie, że jest miłością?

Mówi, ale w dość wyjątkowy sposób. W języku arabskim mamy kilka różnych określeń na miłość, które odpowiadają jej różnym stopniom i rodzajom. Najwyższym typem miłości jest *al-wudd*, czyli miłość, która ukazuje się w działaniu, miłość, którą się okazuje. I w Koranie Bóg mówi o sobie właśnie z użyciem słowa pochodzącego od *al-wudd*, czyli *al-Wadud*. To oznacza, że Bóg jest takim kochającym,

który o miłości nie tylko mówi, ale też pozwala jej doświadczyć w praktyce tym, których kocha. On kocha, okazuje tę miłość i ze względu na nią traktuje wszystkich równo, mimo że my nie jesteśmy w stanie tego odwzajemnić.

Często spotykam się ze stwierdzeniem, że dla chrześcijan Bóg jest miłością, a dla muzułmanów jest sprawiedliwością – i w związku z tym w islamie sprawiedliwość w hierarchii wartości stoi wyżej.

W islamie recytujemy 99 imion Boga, które odpowiadają Jego 99 atrybutom, i wśród nich wymieniamy oba wspomniane przymioty. Bóg mieści w sobie obie te cechy i nie widzę tu sprzeczności, bo moim zdaniem sprawiedliwość i miłość są nierozdzielne. Czym jest miłość bez sprawiedliwości? Czy mogę prawdziwie kochać, będąc niesprawiedliwym? Jeśli twierdzę, że kocham obu moich synów, ale traktuję ich niesprawiedliwie – jednego faworyzuję, a drugiego zaniebuję – to czy rzeczywiście ich kocham? Jeśli mówię, że kocham obie córki, ale jedną traktuję lepiej od drugiej, to ciężko tu mówić o prawdziwej, odpowiedzialnej miłości. To działa także w drugą stronę – miłość jest potrzebna do sprawiedliwości. Jeśli muszę sprawiedliwie skazać kogoś, kto zrobił coś złego, to nie znaczy, że go nie kocham. Jeśli moje dziecko zrobiło coś złego, to fakt, że go kocham, nie pozwoli mi odpuścić, będę chciał go nauczyć sprawiedliwości i sprawić, żeby poddał się konsekwencjom swoich czynów. Miłość pozwoli mi znaleźć granice dla sprawiedliwości, będzie chronić moje poczucie sprawiedliwości przed wypaczeniem, na przykład przed przesadnym pozbawianiem złym czynom lub niewspółmiernie dotkliwymi karami. Sprawiedliwość bez miłości mogłaby przerodzić się w ponizanie. Tak samo w przypadku Boga – nie musimy wybierać, który z Jego przymiotów jest ważniejszy, miłość czy sprawiedliwość, bo jeden bez drugiego się nie obędzie, jeden uzupełnia drugi.

Skoro i chrześcijanie, i muzułmanie zgadzają się co do atrybutów, które ➔

⇒ **przypisujemy Bogu, zgadzają się, że to ten sam Stwórca, to skąd biorą się różnice w Jego postrzeganiu?**

Moim zdaniem biorą się z faktu, że rozmawiając o Bogu nie chodzi nam o Niego samego, ale wysuwamy na pierwszy plan nasze prywatne wyobrażenia Boga. W efekcie mówimy często o swoich przekonaniach na Jego temat, zapominając całkowicie o Jego istocie. Gdy jako muzułmanin próbuję przedstawić Boga jako dobrego, to często nie mówię tego ze względu na Boga, ale po to, by przekonać chrześcijanina, z którym rozmawiam, do mojego obrazu Stwórcy. Przez to próbuję pokazać, że to nie Bóg jest dobry, ale że islam jest dobry, a w związku z tym ja sam jestem dobry, a nawet lepszy od mojego brata. I podobnie dzieje się w drugą stronę. Chrześcijanie czasem mówią o miłości i wyjątkowości Boga tylko po to, żeby pokazać, że ich religia jest lepsza, a w konsekwencji oni są lepsi. W podobnych dyskusjach bardzo szybko zapominamy o tym, kim Bóg jest, a skupiamy się na sobie.

Stąd już tylko krok do wykrzywiania obrazu Stwórcy.

W ten sposób tworzymy sobie konkurs na lepszego Boga, na lepszy system religijny, a w konsekwencji na to, kto z nas jest najlepszy. Opowiem historię, którą przekazuje tradycja muzułmańska, a która dobrze to ilustruje. Pewnego dnia w domu proroka Abrahama zjawił się strudzony wędrowiec. Abraham był bardzo gościnnym, więc przyjął go u siebie. Gdy tylko zaczął zajmować się gościem, myśli proroka zaczęło zajmować to, jakby przekonać podróżnego do wiary w Jedyne Boga. Zanim jednak przystąpił do planowanej rozmowy, zaczął przygotowywać posiłek dla gościa. Gdy tylko rozpalili ogień, zauważył, że podróżny padł na kolana i złożył pokłon płomieniowi. W tym momencie Abraham dostał furii, bo zorientował się, że ma przed sobą czciciela ognia. Prorok zaczął krzyczeć na swojego gościa, że oto jest przyjmowany serdecznie i z honorami, a okazał się być poganinem. Ostatecznie Abraham wyrzucił podróżnego z domu. Wtedy Bóg przemówił do niego i zapytał, dlaczego wypędził swojego gościa. Prorok odpowiedział, że nie chce w domu niewdzięcznika, który czci ogień, i że jedyne, czego chciał, to opowiedzieć mu o swojej wierze, o Bogu. Na to Bóg mu odparł: „Abrahamie, on czcił

ogień od początku swojego życia, od 60 lat, i ja nadal go karmię, poję i Kocham. A ty nie mogłeś wytrzymać z nim nawet kilku minut?”.

Opowieść kończy się w ten sposób, że Abraham wybiegł za swoim gościem, przeprosił go i sprowadził z powrotem do domu. Na to podróżny zapytał, czemu zmienił zdanie i po niego wrócił. Abraham odpowiedział, że to jego Pan skarcił go za to, jak potraktował gościa-innowiercę. Na co podróżny odrzekł: „To musi być szlachetny Pan. Opowiedz mi o Nim”.

Często tak jak Abraham w tej historii zapominamy o Bogu, a interesują nas tylko nasze zamiary. Tymczasem mamy pokazywać nie nasze przekonania, nawet nie naszą religię, ale prawdziwego Boga. Mamy pokazywać, jak Bóg zmienia nasze życie, a nie to, jak możemy siłą zmienić życie innym. Jeśli jako wyznawcy różnych religii będziemy w kółko opowiadać o Bogu, który jest poddany naszym interesom, zawsze będziemy się między sobą różnić.

Z jakimi nieporozumieniami i trudnościami w dialogu z wyznawcami innych wyznań w Polsce najczęściej się Pan spotyka?

Na początku muszę powiedzieć, że bardzo cieszę się widząc, iż wśród duchownych katolickich, którzy uczestniczą w dialogu międzyreligijnym, jest coraz większa świadomość tego, w co naprawdę wierzą muzułmanie. Prawie wszyscy, podchodząc do kwestii dialogu, mają już odpowiednią wiedzę, więc współcześnie to nie tu leży problem. Co innego niestety w przypadku osób, które nie miały żadnego kontaktu z muzułmanami. Nieczęsto spotykam się z głęboko zakorzenionym niezrozumieniem istoty wiary muzułmańskiej. Jednak wciąż poznaję osoby, które są przekonane, że Bóg jest zarezerwowany dla chrześcijan i żydów, a muzułmanie mają swojego Allaha. To przekonanie o obcym, innym, nie-naszym bogu, o Allahu, w którego muzułmanie wierzą, oddala nas od innych religii monoteistycznych i oddala wyznawców tych religii od nas. Nie chcę tutaj wspominać o wypowiedziach osób sięgających nienawiści i celowo wypowiadających się wrogo na temat islamu, przyrównując naszą wiarę do kultu satanistycznego. Takie poglądy wciąż pojawiają się w niektórych środowiskach, ale nie chcę dawać im miejsca w debacie publicznej.

Takie opinie wciąż wracają mimo oficjalnych dokumentów Kościoła, który jeszcze w 1965 r. wezwał katolików i muzułmanów do wzajemnego szacunku.

Bo pytanie brzmi, czy po tym, jak Kościół ten dokument wydał, miał on szansę dotrzeć do wszystkich? A ci, którzy go czytali – czy dali sobie szansę, aby w te słowa uwierzyć? A przecież nasz papież mówił, że muzułmanie są dla chrześcijan młodszymi braćmi w wierze. Jan Paweł II z szacunkiem całował Koran. Zdjęcie tego gestu mam zawsze ze sobą, zapisane w komputerze. Czasem, gdy słyszę od kogoś, że Koran jest słowem Szatana, to przypominam mu tamten moment i mówię, że nasz papież nie mógłby pocałować księgi ze słowami diabła. Ale niestety wciąż są osoby, dla których choćby im to sam Jezus – pokój z Nim – powiedział, albo choćby ktoś z umarłych powstał, nie uwierzą. Mimo że jest coraz więcej osób świadomych naszych wspólnych korzeni, ciągle mamy wiele pracy do zrobienia, aby dialog faktycznie się toczył.

Co mogłoby Pana zdaniem tę pracę ułatwić?

Są trzy instytucje, które mogą nam pomóc. Pierwszą są media. To one w dużym stopniu odpowiadają za wirtualną i realną walkę, która toczy się w społeczeństwie, i za to, że żyjemy w błędnym kole nienawiści. Bo jak skończy się nagonka na Żydów, to zaczyna na muzułmanów. Jak już nie na muzułmanów – to na osoby LGBT. To straszne, że jako mniejszości możemy odetchnąć dopiero wtedy, gdy media znajdą sobie nowego wroga. Ja od mediów oczekuję prawdy, niczego więcej. Jeśli mówią o muzułmanach, niech pokazują ich sytuację z różnych stron, uwzględniając także głos samych wyznawców islamu. A widz niech już sam pomyśli i zdecyduje, co ma na nasz temat sądzić. To jest moja jedyna prośba do mediów – nie narzucajcie ludziom, w co mają wierzyć i co mają myśleć.

Drugą istotną instytucją jest Kościół. W końcu co tydzień głos Kościoła słuchają miliony Polaków i jest to ważne miejsce, z którego płynie przesłanie o miłości bliźniego. Kościół ma prawo wprost mówić, że nie zgadza się z tezami, które głosi islam, ale nie może się godzić na ataki, na przemoc, na wykluczanie mniejszości – i nie mówię tu tylko o muzułmanach.

Trzecią instytucją jest Ministerstwo Edukacji. Niestety w podręcznikach szkolnych pojawiają się znikome informacje na temat różnych religii i nie są one w żaden sposób konsultowane z członkami wyznań mniejszościowych. Kończy się na tym, że jeśli już mówimy o mniejszościowych Kościołach chrześcijańskich, muzułmanach, Żydach, buddystach czy Romach podczas lekcji w szkole, to mówimy o nich bez nich i przez to przekazujemy bardzo jednostronną wizję historii, a często również fałszywe informacje. W klasie mojego syna spotkałem się z tym, że nauczyciel religii wiedząc, iż w grupie jest muzułmański nastolatek, straszył dzieci „nawiedzaniem muzułmańskim” na Europę. Tak być nie może. To bardzo ważne, aby edukacja nie tylko dawała wiedzę o innych, ale także tworzyła okazje, aby tych innych spotykać. Jeśli chcemy, aby dialog i integracja się rozwijały, media, Kościół i szkoły muszą w tym procesie uczestniczyć i nie mogą być miejscami, gdzie sieje się strach i nienawiść.

A jaka jest rola muzułmanów w tym procesie?

Najważniejsze, co mogą zrobić muzułmanie, to dobrze poznać swoją religię i przedstawiać innym prawdziwą, a nie zniekształcony obraz islamu. W podtrzymywaniu dialogu z wyznawcami innych religii bardzo by nam również pomogło, gdybyśmy jako muzułmanie budowali pokój i współpracę pomiędzy sobą nawzajem. Bo niestety na poziomie globalnym wciąż tworzymy podziały wewnątrz naszej grupy religijnej i wzajemnie się

Jak w mediach skończy się nagonka na Żydów, to zaczyna na muzułmanów. Jak już nie na muzułmanów

– to na osoby LGBT.

To straszne, że jako mniejszości możemy odetchnąć dopiero wtedy, **gdy media znajdą sobie nowego wroga.**

wykluczamy. A w warunkach lokalnych każdy wydaje się mieć swoje sprawy, nie ma czasu, przez co ciężko jest nam budować spójne i wspierające lokalne wspólnoty. I w końcu to ważne, aby muzułmanie znajdowali czas i energię, aby angażować się w sprawy społeczne, w akcje dla dobra nas wszystkich, w promowanie wiedzy i otwartości oraz aby uczestniczyli w wydarzeniach, spotkaniach, które mogą pokazać naszym sąsiadom, naszemu otoczeniu, naszym rodakom, że nie tylko możemy żyć razem, ale mamy obowiązek działać na rzecz pokojowego współżycia wszystkich ludzi. Dlatego w imieniu mojej wspólnoty muszę powiedzieć, że mamy wiele do nadrobienia w pokojowych relacjach między sobą nawzajem, a równocześnie powinniśmy aktywnie włączać się w działania dla dialogu z innymi.

Z inicjatywy polskiego Episkopatu 26 stycznia będziemy obchodzić już 20. Dzień Islamu. Czy takie wydarzenia mają szansę coś zmienić w codziennych relacjach chrześcijańsko-muzułmańskich?

Dzień Islamu w Kościele katolickim jest na tyle dobrym pomysłem, że jako Liga Muzułmańska podchwyciliśmy to i od kilku lat organizujemy w naszych społecznościach Dzień Chrześcijaństwa. Jak dotąd odbywa się on w dwóch centrach muzułmańskich w Polsce. Jako muzułmanie doceniamy nie tylko tę inicjatywę, ale również pomysł Dnia Judaizmu w Kościele katolickim. Dzięki inicjatywie Kościoła i ten dzień zaczęliśmy obchodzić w naszych centrach muzułmańskich. Te spotkania międzyreligijne mają realną szansę zmienić relacje chrześcijańsko-muzułmańsko-żydowskie na lepsze, bo uczestnicy mają okazję spotkać się i poznać nawzajem. Poznanie się jest najpewniejszym sposobem przełamania stereotypów i oddalenia niechęci lub strachu. Z drugiej strony jednak uważam, że te spotkania są za mało promowane. Zazwyczaj uczestniczą w nich ludzie, którzy już są otwarci i tolerancyjni. Marzę, by podczas takich obchodów zobaczyć więcej osób, które zmieniają swoje złe nastawienie.

© Rozmawiała ANNA WILCZYŃSKA

NEDAL ABU TABAQ jest muftim Ligi Muzułmańskiej w RP, przewodniczącym Rady Imamów, imamem Islamskiego Centrum Kultury w Lublinie.

ANNA WILCZYŃSKA jest arabistką, autorką blogu *Islamistablog.pl*.

weź, czytaj! zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego – Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.



W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”:
„Do Betlejem!”
„Wszystko, co wiemy”
„Moc czytania”
„Polska Żydowska”
„Smak wolności”
„Zwierzenia zwierząt”
„Halo, tu Ziemia”.



ŚWIAT

ROCZNICA W RĘKACH OLIGARCHY

Decyzja, aby w Yad Vashem udzielić głosu prezydentowi Rosji,
ale odmówić tego prezydentowi Polski, to błąd.
Może zostać odebrana tak, jakby władze Izraela
stały po stronie Putina i jego historycznego rewizjonizmu.

OFER ADERET Z TEL AWIWU



GIL COHEN MAGEN XINHUA / EYEVINE / EAST NEWS

*Yad Vashem w Jerozolimie
przed obchodami Dnia Pamięci Ofiar
Holokaustu, 25 stycznia 2018 r.*

resy. Polityka wewnętrzna wspólnoty żydowskiej, utarczki dyplomatyczne, spory historyczne, gra o władzę i ego – wszystko to wmieszało się zwłaszcza w uroczystość w Yad Vashem. Choć należałoby oczekiwać, że upamiętnienie zbrodni o takiej skali nie powinno być zakłócanie przez sprawy, które nie są z tym związane.

Wiele znaków zapytania

Sygnałem, że zewnętrzne czynniki odcisną piętno na uroczystościach w Jerozolimie, mogła być niezwykła decyzja prezydenta Andrzeja Dudy, aby nie przyjąć zaproszenia na nią. Polski prezydent wyraził zdziwienie, dlaczego Yad Vashem organizuje międzynarodowe spotkanie, konkurencyjne – jak się wydaje – wobec zaplanowanych już obchodów na terenie KL Auschwitz. Oznajmił też, że nie weźmie w nim udziału, ponieważ organizatorzy odmówili mu możliwości wystąpienia obok innych zagranicznych przywódców.

Wyłączenie Dudy z listy mówców przez Yad Vashem dałoby się łatwiej wytłumaczyć, gdyby wszyscy inni mówcy byli wyłączeni ocalałymi z Holokaustu lub historykami II wojny światowej. Jednak do zabrania tam głosu zaproszono wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a, prezydentów Rosji, Francji, Niemiec i Izraela oraz brytyjskiego księcia Karola i premiera Beniamina Netanjahu.

Podane przez Yad Vashem wyjaśnienie, że wszyscy, którzy zabiorą głos, to „głowy państw, które przyczyniły się do uwolnienia świata spod nazistowskiej okupacji”, pozostawia wiele znaków zapytania. Gdyby naprawdę obowiązywała taka zasada, to podczas uroczystości nie zabraliby przecież głosu przedstawiciele Niemiec i Izraela. I jeśli faktycznie miałyby obowiązywać takie kryterium, wówczas nie byłoby też wcale jasne, czy akurat prezydent Francji – której rząd Vichy kolaborował z nazistami aż do lata 1944 r. – zasługuje na ten zaszczyt.

Tymczasem ówczesny polski rząd, przebywający na wygnaniu w Londynie, był częścią alianckiej koalicji, a polscy żołnierze walczyli z nazistowskimi Niem-

cami na wszelkich możliwych frontach tamtej wojny. Czy to nie jest wystarczający powód, żeby włączyć polskiego prezydenta na listę mówców podczas uroczystości upamiętniających wyzwolenie więźniów KL Auschwitz?

Wygląda na to, że przyczyna decyzji, aby nie pozwolić polskiemu prezydentowi na zabranie głosu, leży gdzie indziej. I może ona potencjalnie zaszkodzić uroczystemu charakterowi wydarzenia, który chcieliby mu nadać organizatorzy.

Kantor, człowiek Putina

Można by sądzić, że za wydarzeniem tej skali, z udziałem światowych przywódców, odbywającym się właśnie w Yad Vashem, stoi rząd Izraela. Ale w rzeczywistości doprowadził do niego ktoś nieznany większości Izraelczyków: to rosyjsko-żydowski miliarder Moshe Kantor, oligarcha stojący na czele Europejskiego Kongresu Żydów.

Jego ludzie chwalą się, że to on „zaproponował i zaplanował” całe wydarzenie i „odpowiada za program oraz za treść, która go wypełni”, i że to z tego powodu przybędzie kilkunastu światowych przywódców. Jeśli tak jest w istocie, to jaką rolę spełnia tutaj izraelski MSZ, kancelaria prezydenta, a także Yad Vashem – czyli instytucje wymienione jako współorganizujące spotkanie? Ludzie Kantora mówią, że „zaprzagli” on je do swoich planów. Nie trzeba dodawać, że nie wszyscy są zachwyceni takim obrotem spraw.

Czy jest jakiś związek między faktem, że Kantor jest bliski Kremlowi (do tego stopnia, że nazywają go „człowiekiem Putina”), a decyzją, aby pozwolić przemówić prezydentowi Putinowi, ale odmówić tego samego przywileju prezydentowi Dudzie? Nikt tego oczywiście otwarcie nie przyzna, lecz każdy, kto śledził dyplomatyczne napięcia między Rosją a Polską, których kulminacja nastąpiła niedawno, może się zastanawiać, kto ma w tym interes, aby stanąć w takiej chwili po stronie prezydenta Rosji i spostonować jego polskiego odpowiednika.

Uzasadnione oczekiwanie polskiego prezydenta

Już od kilku miesięcy Putin prowadzi jawnie antypolską kampanię – twierdzi np., że Polska przyczyniła się do wybuchu II wojny światowej i że kolaborowała z nazistowskimi Niemcami. Współpracę →

WNAJBLIŻSZYCH DNIACH, POD KONIEC stycznia, odbędą się dwie międzynarodowe uroczystości upamiętniające 75. rocznicę wyzwolenia więźniów KL Auschwitz. Pierwsza w Yad Vashem w Jerozolimie, a druga w Polsce – w miejscu, gdzie znajdował się ten obóz koncentracyjny. Na obie zaproszono światowych przywódców, ważne osobistości żydowskie oraz ocalałych z Holokaustu.

Organizowanie więcej niż jednej uroczystości poświęconej ważnej rocznicy nie byłoby samo w sobie dziwne. Ale w tym przypadku chodzi o coś jeszcze innego: za pragnieniem uczczenia pamięci ofiar kryją się inne, mniej chwalebne inte-

→ między Związkiem Sowieckim a Niemcami, która znalazła wyraz w niesławnym pakcie Ribbentrop–Mołotow – w konsekwencji dzielącym Polskę między dwóch okupantów – Putin przedstawia dziś jako coś nieuniknionego, co miało w rzeczywistości pomóc Polsce [patrz „TP” nr 3/2020, a także Obraz Tygodnia w tym numerze – red.].

Takie wypaczanie historii doprowadziło do uzasadnionych obaw ze strony Polski, że prezydent Rosji wykorzysta sposobność, jaką dostał w Yad Vashem, aby dalej głosić swój antypolski rewizjonizm – podczas gdy prezydent Polski będzie musiał bezradnie przyglądać się temu z widowni, bez możliwości zabrania głosu, aby bronić siebie, swojego kraju i historycznych faktów. Także i z tego powodu oczekiwanie Andrzeja Dudy, by go dołączyć do listy mówców w Yad Vashem, jest uzasadnione. Nawet jeśli będziemy mieć w pamięci, że również polskim władzom zdarza się wypaczać historię albo mieszać polityczne interesy do pamięci o II wojnie światowej.

Kiedy w czerwcu 2018 r. premierzy Izraela i Polski wydali wspólne oświadczenie, mające rozładować kryzys wywołany nowelizacją ustawy o IPN, najważniejsi historycy z Yad Vashem twierdzili (wbrew stanowisku dyrektora ds. historycznych tej instytucji, prof. Diny Porat, która kieruje też założonym przez Kantora i noszącym jego imię Centrum Badań nad Współczesnymi Żydami Europejskimi przy uniwersytecie w Tel Awiwie), że dokument ten zawiera „poważne błędy i przeinaczenia”, że wypacza historię i obraża pamięć ofiar Holokaustu. Kontrowersję wzbudził fragment oświadczenia, w którym mowa była o tym, że wielu Polaków pomagało ratować Żydów podczas Holokaustu, i że Polacy jedynie w mini-

Lepiej by było, gdyby
**Yad Vashem otwarcie
zakwestionował niedawne
twierdzenia Putina,**
dając też możliwość
polskiemu prezydentowi,
aby został on usłyszany.

malnym stopniu brali udział w prześladowaniu Żydów.

Polska nie zaprosiła Putina na uroczystości, które zorganizowała 1 września ubiegłego roku, z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zaproszono natomiast wtedy przedstawicieli USA i Niemiec, którzy zabrali głos i mówili o cierpieniach Polaków podczas tamtej wojny. Natomiast gdy idzie o zbliżające się obchody na terenie dawnego obozu Auschwitz, to – jak informuje nas Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau – ambasada rosyjska otrzymała zaproszenie (podobnie jak inne ambasad), i to sami Rosjanie zdecydowali, że na uroczystościach 27 stycznia ich kraj reprezentować będzie jedynie ambasador Rosji w Polsce, a nie prezydent. Można zatem przyjąć, że Putin sam świadomie zdecydował, że o ile będzie obecny w Jerozolimie, to nie będzie go w Auschwitz.

Dodajmy do tego – i tak skomplikowanego – równania wewnętrzną politykę świata żydowskiego, a zwłaszcza rywalizację między dwoma pretendencjami do przewodzenia prestiżowym instytucjom żydowskiej diaspory: Ronem Lauderem, przewodniczącym Światowego Kongresu Żydów, i Moshe Kantorem, który

stoi na czele Europejskiego Kongresu Żydów. Nie współpracują oni ze sobą: Lauder nie przyjedzie teraz na uroczystości w Yad Vashem, natomiast weźmie udział w uroczystościach w Auschwitz cztery dni później.

Lepiej by było, gdyby...

Jako najważniejsza na świecie instytucja chroniąca pamięć o ofiarach Holokaustu Yad Vashem ma obowiązek trzymać się jak najdalej od wpływów polityki i dyplomacji oraz powinna zadbać o to, aby w jej działaniach uwzględniano tylko czynniki profesjonalne, historyczne i związane z upamiętnieniem.

Tymczasem decyzja, aby przemówienie wygłosił Władimir Putin i żeby tego samego nie mógł uczynić Andrzej Duda, może zostać odebrana tak, jakby Yad Vashem i władze Izraela stanęły po stronie prezydenta Rosji. W dzisiejszym kontekście taki krok oznacza milczące wsparcie dla wypaczonej narracji Putina w kwestii rozbioru Polski przez Niemcy i Związek Sowiecki na początku II wojny światowej oraz obecnego wybielania sojuszu sowiecko-niemieckiego przez władze rosyjskie.

Lepiej by było, gdyby Yad Vashem trzymał się od tego wszystkiego z daleka – i gdyby otwarcie zakwestionował niedawne twierdzenia Putina, dając też możliwość polskiemu prezydentowi, aby został on usłyszany.

© OFER ADERET
Przetoczył PB

AUTOR (ur. 1981) jest publicystą izraelskiego dziennika „Haaretz”, w redakcji zajmuje się tematami historycznymi. Tekst ukazał się w „Haaretzu” 16 stycznia, przedrukujemy go za zgodą autora. Tytuł, lead i śródtytuły od redakcji „TP”.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 382/19, toczy się sprawa z wniosku Stanisławy Miemieć o stwierdzenie nabycia spadku po Agnieszce Wac, c. Piotra i Marii, której zwłoki znaleziono 12 września 2019 r. w Tychach, i której ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 350/19, toczy się sprawa z wniosku Anny i Henryka Jagiełło o stwierdzenie nabycia spadku po Rudolfie Józefie Góralczyku, s. Pawła i Franciszki, zm. 24 czerwca 2019 r. w Kobiórze, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Kobiór.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Korupcyjna ośmiornica

PATRYCJA BUKALSKA

Na Słowacji trwa proces oskarżonych o zlecenie i zabójstwo dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej.

PODCZAS PIERWSZEGO DNIA ROZPRawy głównej, w minionym tygodniu, Miroslav Marček przyznał się do winy. Były wojskowy jest oskarżony o zastrzelenie dwojga młodych ludzi. Jednak zanim się przyznał, Marček zwrócił się do obecnych w sądzie rodziców Jana i matki Martiny. „Chcę przeprosić za wyrządzoną krzywdę, nic tego nie wynagrodzi” – powiedział.

Kuciak i Kušnírová zginęli 21 lutego 2018 r. Od początku sądzono, że dziennikarz śledczy naraził się komuś swymi tekstami: pisał o powiązaniach biznesu z polityką, mafii, oszustwach. Ich śmierć wstrząsnęła Słowacją. Tłumy na ulicach żądały uczciwego śledztwa i moralnej przemiany kraju. Te największe od 1989 r. protesty doprowadziły najpierw do dymisji premiera Roberta Ficy, a w 2019 r. przyczyniły się do sukcesu Zuzany Čaputovej w wyborach prezydenckich. Wkrótce okaże się, czy wpłynęła też na wybory parlamentarne.

„Zginęła od razu”

Marček zeznał, co się stało: jak przyjechał ze współnikami do wioski Veľka Mača pod Bratysławą, gdzie mieszkał Kuciak. Jak czekał na niego, schowany w letniej kuchni. Było to drugie „podejście” – kilka dni wcześniej Ján był w domu z Martiną, więc Marček odłożył „akcję”. Teraz nie mógł dłużej czekać, zleceniodawcy naciśkali. Począł, aż Martina poszła do toalety. Zapukał do drzwi, a gdy Kuciak otworzył, strzelił. Chłopak upadł. Zjawiała się jednak Martina. Znowu strzelił. „Zginęła od razu” – zeznał. Wtedy zacięła się broń. Od-



Tomáš Szabó w drodze na salę sądową, Pezinok, Słowacja, 13 stycznia 2020 r.

blokował ją i zanim wyszedł, strzelił jeszcze raz do Kuciaka. Gdy to mówił, dokładnie i spokojnie, bliscy zabitych płakali.

Zdawało się, że po pierwszym dniu procesu kolejne nie przyniosą już nic bardziej przejmującego. A jednak każdy kolejny dzień zeznań oskarżonych i świadków oznacza kolejne wstrząsy, dla całej Słowacji.

Marček to drugi oskarżony, który się przyznał. Wcześniej, zaraz po zatrzymaniu w 2018 r., zrobił to Zoltán Andruskó. Był łącznikiem między wykonawcami i tymi, którzy chcieli pozbyć się Kuciaka. Teraz jest świadkiem. Wcześniej został już skazany na 15 lat więzienia.

Lawa oskarżonych

W sądzie waga się losy jeszcze trzech osób: Tomáša Szabó (kierowcy Marčeka) i domniemanych zleceniodawców, czyli biznesmena Mariana Kočnera (Kuciak miał mu się narazić artykułami) i jego znajomej Aleny Zsuzsovej, która miała zlecić Zoltánowi Andrusce zorganizowanie zabójstwa. Nikt z tej trójki nie przyznaje się do zarzutów.

Ale kwestia odpowiedzialności sięga poza tę krótką lawę oskarżonych. O powiązaniach Kočnera z politykami rządzącej partii Smer, w tym z premierem Ficą, pisano od dawna. W drugim dniu procesu Andruskó zeznał, że gdyby nie te związki, do morderstwa by nie doszło, bo nie wykonałby polecenia Zsuzsovej. „Nie byłbym się wtedy pójść na policję” – stwierdził.

Kolejnego dnia zeznawał Peter Tóth, kiedyś dziennikarz, potem szef kontr-

wywiadu, a ostatnio współpracownik Kočnera. Miał na jego zlecenie organizować śledzenie niektórych dziennikarzy. Twierdził, że sądził, iż chodzi o kompromitujące materiały, i że dopiero gdy Kuciak zginął, zrozumiał, iż cel zadania mógł być inny. Z jego ponad ośmiodziesięciu zeznań wyłania się obraz państwa, w którym skorumpowani są i politycy, i policja, i wymiar sprawiedliwości, i gdzie za sznurki pociąga ktoś taki jak Kočner, z poczuciem bezkarności. Skala tej korupcyjnej ośmiornicy, opartej na strachu i chciwości, jest porażająca.

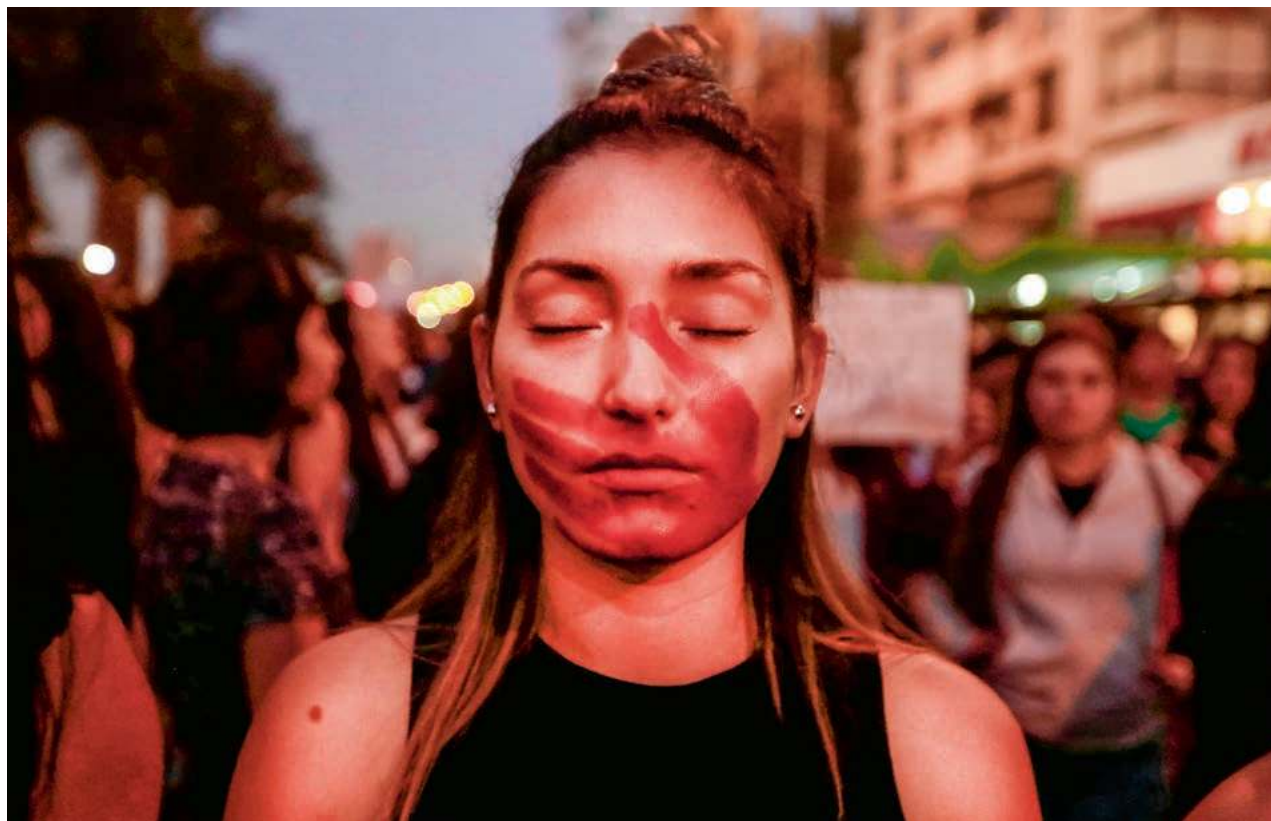
Ciąg dalszy trwa

Kočner miał mówić Tóthowi, że jeśli zginie jeden dziennikarz, reszta się wystraszy, a gdyby zabił jeszcze jednego, byłby w ogóle spokojny. Nie miał racji: mord stał się katalizatorem zmian w kraju. Zaplanowane na koniec lutego wybory parlamentarne mogą być ich kolejnym etapem. Ujawniane podczas procesu informacje o związkach polityków z przestępcami mogą zaszkodzić prowadzącej w sondażach partii Smer. Nie jest jednak pewne, czy przełożą się na większe poparcie dla sił liberalno-reformatorskich, których symbolem jest Čaputová. W niektórych sondażach drugie miejsce zajmuje skrajna prawica Mariana Kotleby.

Dla rodzin zamordowanych najważniejszy jest jednak proces, a on potrwa jeszcze wiele tygodni. „Mieliśmy szykować wesele, a posłaliśmy na pogrzeb – mówił ojciec Jána. – Teraz mam dziurę w sercu”.

Tego nic już nie zmieni.

©



IVAN ALVARADO / REUTERS / FORUM

Protesty kobiet w Santiago de Chile, 11 maja 2018 r.

Latynoskie piekło kobiet

MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

Ameryka łacińska to jeden z najgroźniejszych dla nich regionów świata: średnio co dwie godziny ginie tu kobieta, a wskaźniki dotyczące przemocy alarmująco rosną z roku na rok.

JEST LISTOPADOWE POPOŁUDNIE 2018 r. w Santiago de Chile. Jeden z największych placów w mieście, tuż obok Trybunału Sprawiedliwości, wypełnia się kobiecymi butami pomalowanymi na czerwono. Wyglądają, jakby były przypadkowo porzucone przez swoje właścicielki, które gdzieś zniknęły.

„Zapatos Rojos” – po hiszpańsku „Czerwone Buty” – to instalacja artystyczna, która po raz pierwszy ujrzała światło dzienne w 2009 r. Od tego czasu pojawiła się w kilkudziesięciu krajach na całym świecie. Zanim trafiła do Chile, dotarła m.in. do Argentyny, Peru, Ekwadoru, Stanów Zjednoczonych, Hiszpanii i Francji.

Jej autorką jest meksykańska artystka Elina Chauvet, która premierowo wysta-

wiała tę pracę w swym rodzinnym mieście Juárez. Na głównym placu rozłożyła 33 pary butów, które należały do zabitych lub zaginionych kobiet. Niektóre z nich zginęły z rąk własnych partnerów, inne zostały zamordowane przez obcych mężczyzn. Często to właśnie obuwie było jedynym elementem, po którym można było rozpoznać tożsamość zmasakrowanych ofiar.

Juárez i inne miejsca

Czerwony kolor butów w instalacji Chauvet może budzić wiele skojarzeń. Stanowi atrybut kobiecości i seksualności, ale przywołuje też na myśl krew, przemoc, śmierć. I choć przekaz tej przejmującej w swojej prostocie pracy

wyduje się uniwersalny, to kontekst jej powstania ma związek z osobistą historią autorki. Chauvet postanowiła zrealizować tę instalację wkrótce po tym, gdy jej siostra została zabita przez męża. W tym sensie rozrzucone buty są też intymnym znakiem żałoby. Śladem po przerwany życiu, symbolem braku i nieobecności.

Zamordowana siostra artystki była jedną z wielu ofiar męskiej przemocy w Juárez, które w latach 90. XX w. zaczęto określać „miastem martwych kobiet”. To właśnie wtedy zrobiło się o nim głośno za sprawą fali masowych, drastycznych zabójstw popełnianych na dorosłych kobietach, nastolatkach i dziewczynkach. Do dziś ten rejon Meksyku – pustynny i nieprzyjazny – uważa się za jeden z najniebezpieczniejszych w Ameryce Łacińskiej. Juárez stało się ponurym miastem symbolem, o którym nakręcono wiele filmów i napisano sporo książek.

Takich miejsc jest jednak w całej Ameryce Łacińskiej więcej. Właśnie ten region uznaje się za najbardziej niebezpieczny dla kobiet na świecie – jeśli nie liczyć obszarów objętych wojnami. W niektórych jego zakątkach przyjsię na świat jako dziewczynka może być przekleń-

stwem i zgubą. A bez wątpienia jest obciążone wysokim ryzykiem.

Kolumbijskie obyczaje

„Ryzyko” – to słowo pada także z ust Manuely, która pochodzi z Kolumbii, niewielkiego miasteczka położonego w pobliżu Bogoty.

Kiedy ją poznaje, mieszka od prawie dwóch lat w Santiago de Chile i pracuje w miejskiej pralni. Przyznaje, że tęskni za ojczyzną, przede wszystkim za przyjaciółmi i rodziną. Ale nie chciałaby wrócić do życia, które pozostawiła w swoim kraju. Jednym z powodów, dla których postanowiła wyjechać, była przemoc. Nie ta na ulicach, lecz ta, której regularnie doświadczała we własnym domu. Wiele razy, przez kilka długich lat. Z rąk partnera.

Manuela: – Miałam już coraz mniej siły. Nie mogłam spać w nocy, byłam wciąż smutna i zmęczona. Włosy wypadały mi garściami, zaczęłam pograżać się w depresji. Mój chłopak na początku naszej relacji był czuły, romantyczny. Ale jak tylko zaczęło robić się bardziej poważnie i zamieszkaliśmy razem, stał się agresywny.

Manuela mówi, że po raz pierwszy uderzył ją, gdy wróciła do domu nieco później, niż się umawiali. – Był bardzo zazdrosny, potrafił mnie bić z byle powodu – wspomina. – Jak tylko spojrzał na mnie inny mężczyzna, zawsze była to moja wina, musiałam potem ponosić za to karę. W Kolumbii tak jest: kobieta jest zwykle traktowana jak własność partnera. On może być niewierny, może cię źle traktować, ale ty będąc kobietą nie masz zbyt wiele do powiedzenia. Takie są zasady, a państwo nie stoi po stronie kobiet.

Dziewczyna ma wiele koleżanek, które są lub były bite przez partnerów. – Żadna z nich nigdy nie zgłosiła tego na policję, bo prawo antyprzemocowe jest fikcją, rzadko kiedy takie zgłoszenia są traktowane poważnie – przyznaje Manuela. Przez ostatnie dwa lata nauczyła się opowiadać swoją historię i zdołała już trochę ją ośwoić.

Czuje, że najgorsze ma za sobą: – Nie chciałam już tak dalej żyć. Wiedziałam, że będzie coraz gorzej. Opuściłam Kolumbię w tajemnicy przez moim chłopakiem. Bałam się, że jak się dowie, że planuję go zostawić, znów mnie pobije. I że tym razem nie wyjdę z tego żywa.

Śmierć motyli

Każdego dnia, średnio mniej więcej co dwie godziny, gdzieś w Ameryce Łacińskiej zostaje zabita kobieta. Statystyki CEPAL – Komisji Ekonomicznej ds. Ameryki Łacińskiej i Karaibów, będącej częścią ONZ – za rok 2019 wskazują, że w całym regionie z rąk mężczyzn, najczęściej własnego partnera, w latynoskich krajach straciło życie ponad 3500 kobiet.

Pomimo prób rozwiązania tego dramatycznego problemu – przez zaostrzenie prawa czy wprowadzanie kolejnych reform legislacyjnych, umożliwiających lepszą ochronę kobiet – liczby te w ostatnich latach wzrosły. Dane za rok 2018 mówiły o ok. 3200 ofiarach śmiertelnych, a za rok 2017 – o ok. 2500.

Niechlubną listę państw, w których ten problem ma najbardziej porażającą skalę, otwiera niewielki sześciomilionowy Salwador. Według najnowszych danych, ofiarą morderstw pada tam średnio 14 na 100 tys. kobiet. Tuż zaraz znajduje się Honduras (11 ofiar śmiertelnych na 100 tys.), a na kolejnych miejscach takie kraje jak Gwatemala (9 ofiar), Belize, Kolumbia i Wenezuela (średnio po 5 ofiar), Brazylia, Dominikana i Panama (średnio po 4 ofiary) oraz Meksyk (średnio 3 ofiary śmiertelne na 100 tys. kobiet w ciągu roku).

Przemoc na tle płci w latynoamerykańskich krajach – jak wszędzie na świecie – ma wiele twarzy: seksualną, fizyczną i psychiczną. W niektórych państwach, jak Meksyk czy Kolumbia, szczególnie powszechne są przypadki ataków na kobiety z użyciem kwasu. Ale to właśnie brutalne, często popełniane w domowym zaciszu morderstwa, stały się ponurą specjalnością regionu i zjawiskiem na tyle obecnym w latynoskim świecie, że doczekały się odrębnego terminu. Określa się je słowem *feminicidio*, czyli kobietobójstwo.

„To, co nienazwane, nie istnieje” – powiedziała Marcela Lagarde, meksykańska profesor antropologii i teoretyczka feminizmu, której przypisuje się popularyzację tego hasła. Nie istnieje w publicznym dyskursie, nie jest brane pod uwagę w planowanych reformach. „Tym, co charakteryzuje *feminicidio*, są sprzyjające okoliczności kulturowe, w których przemoc wobec kobiet jest akceptowana, usprawiedliwiana bądź bagatelizowana. Jednym słowem, funkcjonuje w warunkach społecznego przyzwolenia” – mówiła Lagarde w trak-

cie konferencji zorganizowanej kilka lat temu podczas obchodów Międzynarodowego Dnia przeciw Przemocy wobec Kobiet (wypada 25 listopada).

Ustanowiono go dla upamiętnienia trzech siostr: Minervy, Patrii Mercedes i Marii Teresy Mirabal. Były one działaczkami opozycji w okresie reżimu Rafaela Trujilla (1930-61) w Dominikanie. Wielokrotnie trafiały do więzienia i były torturowane, aż 25 listopada 1960 r. pobito je na śmierć. Wieść o ich zabójstwie poruszyła naród, co doprowadziło do aktywizacji ruchu walczącego z dyktaturą i obalenia jej kilka miesięcy później.

Siostry Mirabal przeszły do historii jako Las Mariposas, czyli „Motyle”. Na zawsze stały się figurami symbolicznymi – nie tylko walki z polityczną opresją, ale też szeroko pojętą opresją wobec kobiet.

Machismo i marianismo

Jedną z przyczyn, dla których wskaźniki dotyczące przemocy są w Ameryce Łacińskiej tak szokująco wysokie, jest wspomniany przez Lagarde model społeczno-kulturowy. Przez stulecia mocno zakorzenił się on w tej części świata.

Rozpowszechniony w krajach latynoskich wzorzec męskości opiera się na kulcie *machismo*, zgodnie z którym mężczyzna jest stawiany na pozycji władcy. Ma tym samym prawo do rządów „twardej ręki”, co często sankcjonuje jego agresję, a dominacja przybiera wymiar nie tylko symboliczny, ale też dosłowny. Z kolei według pochodzącego z kultu maryjnego ideału kobiety (*marianismo*) partnerka ma być łagodna, skromna i duchowo silna, a zarazem podporządkowana woli mężczyzny. Taki model społeczny często sprowadza się do uprzedmiotowienia kobiet i odebrania im praw – na koniec z prawem do życia włącznie.

– Pozycja mężczyzny w latynoamerykańskiej kulturze jest bardzo silna – mówi mi prof. Jorge Martínez Pizarro, pracownik CEPAL i wykładowca na Universidad Católica de Chile, zajmujący się migracją i prawami człowieka w Ameryce Łacińskiej. – To mężczyzna ma decydujący głos, a kobieta ma być uległą stroną i jest traktowana jak własność: najpierw ojca, potem męża. Ten wzorzec na przestrzeni lat zaczął się nieznacznie zmieniać, ważnym czynnikiem stał się rosnący poziom wykształcenia kobiet i ich większa obecność na rynku pracy. Ale nadal większość kobiet w krajach latynoskich nie pracuje →

⇒ i jest finansowo zależna od partnerów. Ta ekonomiczna zależność zwykle skutecznie ucisza głosy ofiar.

– Przemoc domowa, u której podstaw leży akceptacja dominującej roli mężczyzny, przez lata nie spotykała się w latynoskich krajach z żadnymi konsekwencjami, aż w końcu ewoluowała do ekstremalnych rozmiarów, przyjmując w niektórych miejscach postać pandemii – zauważa Martínez Pizarro.

Z pokolenia na pokolenie

Nic na razie nie wskazuje, aby walka z tą przemocą stawiała się z łatwiejsza.

Statystyki pokazują, że usprawiedliwianie męskiej agresji i bierność wobec niej, również w jej werbalnej postaci, są powszechne w młodszym pokoleniu. Według danych zebranych w 2019 r. przez organizację Oxfam wśród latynoskich nastolatków między 15. i 19. rokiem życia ok. 75 proc. ankietowanych uważa za normalne to, że mężczyzna zaczepia obcą kobietę na ulicy. Dalej, 62 proc. nastolatek i 72 proc. nastolatków twierdzi, że „porządna kobieta nie powinna ubierać się prowokacyjnie lub chodzić sama wieczorami”, a dla 51 proc. pytaných dziewczyn i 62 proc. chłopców to, że pijany mężczyzna staje się agresywny wobec kobiety, jest normalne.

I właśnie słowo „norma” wydaje się tu kluczowe. Przemoc wobec kobiet w krajach Iberoameryki jest normalizowana na wielu poziomach – również w języku czy w masowej kulturze. Przejawia się m.in. w niezwykle popularnych dźwiękach reggaetonu, który charakteryzuje się tekstami i wideoklipami silnie instrumentalizującymi kobiety.

Niektóre utwory tego nurtu są do tego stopnia wulgarne, że raz po raz od kilku lat powracają postulaty zakazu rozpowszechniania tego typu muzyki w radiu i telewizji. Jednak reggaeton jest masowo słuchany w całej Ameryce Łacińskiej i nie zapowiada się, aby jego popularność malała. Wielu socjologów twierdzi zresztą, że cenzura tylko pogorszyłaby sytuację, przysparzając mu więcej fanów.

„W tej muzyce, jak w zwierciadle, odbija się niestety nasze społeczeństwo – zauważył peruwiański socjolog Gabriel Calderón Chuquitaype w rodzimym dzienniku „El Comercio”. – Problemem są więc nie same piosenki, lecz stojący za nimi sposób myślenia. Trzeba przyjrzeć się nie efektom zjawiska, tylko jego głębszym

Brutalne, często popełniane
w domowym zaciszu
morderstwa stały się
zjawiskiem na tyle obecnym
w latynoskim świecie,
że doczekały się odrębnego
terminu. Określa się je
**słowem feminicidio,
czyli kobietobójstwo.**

przyczynom. A one leżą w wychowaniu i wzorcach, które są przenoszone z pokolenia na pokolenie”.

Muzyka protestu

Jest listopadowe popołudnie 2019 r., gdy jeden z głównych placów w centrum Santiago de Chile stopniowo wypełnia się kobietami.

Większość ma na oczach czarne opaski, niektóre – zakryte twarze. Na moment zapada cisza, którą wkrótce potem przecina fala kobiecych głosów łączących się w coraz potężniejszy chór: „*El Patriarcado es un juez / que nos juzga por nacer / y nuestro castigo / es la violencia que ya ves / Es feminicidio / Impunidad para mi asesino. / Es la desaparición / Es la violación*”. „Patriarchat jest jak sąd / Który nas skazuje od samych narodzin / A naszą karą / Jest przemoc, którą widzicie / Jest nią kobietobójstwo / Bezkarność dla mojego mordercy / Jest nią gwałt”.

Dokładnie rok po performansie Eliny Chauvet na tym samym placu wybrzmiewa *protest song* o patriarchalnym społeczeństwie normalizującym i usprawiedliwiającym przemoc wobec kobiet. Potem będzie zaśpiewany także w czterech kolejnych punktach stolicy – w tym pod pałacem prezydenckim.

Manifest skomponowała grupka czterech artystek z chilijskiego Valparaíso: Paula Cometa, Lea Cáceres, Sibila Sotomayor i Dafne Valdés. Ich zespół nazywa się Las Tesis (czyli dosłownie: Tezy), co wiąże się z tym, że – jak przyznają dziewczyny – chcą one przekładać bliskie sobie feministyczne teorie na język performansu, aby je popularyzować.

Sama piosenka powstała jako część większego projektu, którego premierę Las Tesis planowały na koniec 2019 r. Po-

stanowiły jednak zmienić jego formułę i wystawić go wcześniej w związku z sytuacją, w jakiej Chile znalazło się od jesieni tamtego roku.

Bo okazuje się, że także w kontekście masowych – i nieustających do dziś – protestów [patrz „TP” 45/2019 oraz na powszechne.net/protesty – red.] wiele mówi się o przemocy ze strony policjantów wobec kobiet biorących udział w protestach (w tym przemocy seksualnej). Właśnie te szokujące informacje stały się dla artystek zapalnikiem do zorganizowania pierwszych występów.

Najnowsze dane o przypadkach gwałtów i molestowania są jednak tylko wierzchołkiem góry lodowej: choć Chile ma lepsze statystyki niż większość państw regionu, to przemoc – głównie seksualna – nadal jest tu problemem poważnym i w znacznym stopniu przemilczanym. Szacuje się, że tylko jeden na osiem przypadków gwałtu lub molestowania jest zgłaszany na policję, a średnio nie więcej niż 8 proc. zgłaszanych przypadków doczeka się wyroku w sądach.

Protest song obiega świat

Przekaz tekstu skomponowanego przez Las Tesis okazał się na tyle uniwersalny, że wiele kobiet na całym świecie się z nim utożsało, traktując go jako swoją osobistą pieśń sprzeciwu.

Wkrótce po pierwszych występach w Santiago, *protest song* rozlał się z prędkością światła po całym Chile, a potem – po większości krajów Ameryki Łacińskiej, trafiając do Meksyku, Nikaragui, Kolumbii, Wenezueli, Peru czy Brazylii. Niedługo później podbił świat. Szacuje się, że od początku grudnia 2019 r. odśpiewano go w co najmniej sześćdziesięciu krajach na pięciu kontynentach, w tym w Polsce.

W tak krótkim czasie piosenka stała się manifestem masowego sprzeciwu wobec praktyk normalizujących przemoc wobec kobiet. Gestem niezgody na usprawiedliwianie gwałtu czy molestowania ubiorem ofiary lub okolicznościami. A także gestem solidarności z kobietami na świecie, które stają się ofiarami.

Często, jak w wypadku Ameryki Łacińskiej, niemal zupełnie niewidzialnymi.

© MAGDALENA BARTCZAK

Autorka, polska dziennikarka, mieszka na co dzień w Chile, o którym opowiada wydana w 2019 r. jej książka reporterska „Chile południowe. Tysiąc niespokojnych wysp”.



EAST NEWS

Emeryt z Walmarta

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

Popularne przekonanie głosi, że amerykańscy seniorzy podróżują po świecie i cieszą się życiem. To prawda, ale pod jednym warunkiem: że mają pieniądze. Zwłaszcza mileniałsi odkładają myślenie o emeryturze na plan dalszy.

BIAŁA WYPRASOWANA KOSZULA, ŻÓŁTA kamizelka, beżowe spodnie i nienagannie ułożone włosy. Thomas Coomer musi dbać o dobrą prezencję, bo w supermarkecie Walmart pracuje jako „pozdrawiacz” (ang. *greeter*).

Jak nazwa wskazuje, dzień Thomasa Coomera upływa na witaniu klientów. Jeśli ma akurat szczęście, kierownik dla odmiany każe mu stanąć przy wyjściu. Coomer sprawdza wtedy, czy klienci opuszczający supermarket z zakupami mają paragon. W wywiadzie dla dziennika „Washington Post” pracownik Walmarta przyznaje, że to zajęcie łatwe i przyjemne. Jest tylko jeden warunek: co go-

dzinę musi usiąść na 10 minut. Coomer cierpi na dotkliwe bóle pleców wywołane przez stenozę, czyli zwężenie wewnątrz kanału kręgowego.

Można też dodać, że ma 81 lat, niespłaconą hipotekę i żonę chorą na cukrzycę. W supermarkecie pracuje od dziewięciu lat. Nie dlatego, że chce. Po prostu musi.

Emerytura w teorii

Jego życie miało wyglądać zupełnie inaczej. W fabryce samolotów w Tulsie w stanie Oklahoma Coomer pracował 29 lat. Trzymał się jednej firmy, bo liczył na wcześniejszą emeryturę, która

przysługiwała pracownikom tej fabryki już po 55. roku życia.

Aby uzyskać prawo do wypłaty świadczeń, trzeba było tam przepracować co najmniej trzy dekady. Coomerowi prawie się to udało. Pech chciał, że w 1994 r., kilkanaście miesięcy przed uzyskaniem przez niego prawa do zakładowej emerytury, ogłoszono zamknięcie fabryki. Z dnia na dzień został bez pracy, a po jego marzeniach o spokojnej starości pozostało raptem 300 dolarów emerytury. Tylko tyle udało mu się wywalczyć od pracodawcy, który w ramach zakładowego planu emerytalnego odprowadzał dla niego składki. Mężczyzna musiał pożegnać się z fabrycznymi stawkami, wynoszącymi 20 dolarów za godzinę. Jako bezrobotny 56-latek po podstawówce mógł teraz liczyć tylko na kiepsko płatne zajęcia.

Choć od tamtego momentu minęło ćwierć wieku, Coomerowi już nigdy nie udało się zaoszczędzić wystarczająco dużo pieniędzy na starość. Mężczyzna nie wierzy, że kiedyś przestanie pracować.

Plan, rachunek, fundusz

Thomas Coomer padł ofiarą tradycyjnych planów emerytalnych (*defined benefit*),

→ które były niegdyś powszechne w amerykańskich firmach. W nagrodę za lojalność pracownicy mogli liczyć na opłacane w całości przez pracodawcę składki emerytalne. Gdy okazało się jednak, że Amerykanie żyją coraz dłużej – jeszcze w latach 50. XX w. mężczyźni osiągalni średnio wiek 65,6, a kobiety 71,1, natomiast w 2016 r. już 76,4 i 81,4 – atrakcyjne pakiety okazały się dla firm zbyt kosztowne.

Dziś większość zatrudnionych najczęściej oszczędza pieniądze w ramach tzw. pracowniczych planów 401(k). Do comiesięcznych składek zazwyczaj dokłada się pracodawca. Jeśli np. pracownik chce przeznaczyć 6 proc. pensji na przyszłą emeryturę, firma dorzuca drugie tyle od siebie. Według danych US Census Bureau z tego rodzaju pracowniczych planów emerytalnych korzysta jedna trzecia wszystkich zatrudnionych w USA. Natomiast ci, którzy nie mają takiej możliwości w miejscu pracy lub prowadzą własną firmę, mogą otworzyć w banku indywidualny rachunek emerytalny (IRA).

A co w przypadku, jeśli przeciętnego Amerykanina zwyczajnie nie stać na odkładanie pieniędzy na starość? Wtedy pozostaje mu żyć tylko z emerytury wypłacanej przez federalny fundusz Social Security. Świadczenia te przysługują obywatelom, którzy przepracowali co najmniej 10 lat i odprowadzali w tym czasie podatki na ten fundusz.

Istnieje jednak spore ryzyko, że żyjący tylko na państwowym garnuszku emeryt będzie musiał zaciskać pasa. Na początku tego roku średnia wysokość świadczeń z Social Security wynosiła 1,4 tys. dolarów miesięcznie. Tylko ci, którzy mieli odpowiednio duże zarobki, mogą liczyć na świadczenie wynoszące maksymalnie 2,8 tys. dolarów. Najwięcej na państwowym systemie emerytalnym ugrają Amerykanie, którzy wstrzymają się z wypłatą świadczeń do 70. roku życia. Mogą wówczas otrzymać nawet 3,7 tys. dolarów. Nie jest to scenariusz nieprawdopodobny – już co piąty obywatel USA powyżej 65. roku życia pozostaje aktywny zawodowo.

To sporo – tym bardziej że obecnie na wcześniejszą emeryturę można przejść w wieku 62 lat. Pełny wymiar świadczeń przysługuje osobom po 66. roku życia. Natomiast w przypadku Amerykanów urodzonych w 1960 r. lub później wiek emerytalny wynosi 67 lat.



Don Malucky, październik 2019 r.

Grafik na ochronie

Don Malucky, 84-latek z San Diego, nie bawi się w typowe dla Amerykanów uprzejmości.

Gdy zagaduję go pod rezydencją dla osób starszych przy Park Boulevard, przyznaje od razu, że dostaje tylko tysiąc dolarów państwowej emerytury. Po opłaceniu rachunków za telewizję i telefon, kupieniu leków i jedzenia, na wynajem mieszkania zostaje mu tylko 450 dolarów. W San Diego, gdzie nawet za zapytania kawalerkę trzeba zapłacić trzy razy więcej, to kwota nierealna. Na szczęście Malucky zakwalifikował się do federalnego programu dla niezdolnych seniorów i dostaje dopłatę do wynajmu. Gdyby nie pomoc ze strony państwa, zostałby bez dachu nad głową.

On woli jednak podkreślać, że mógł zostać miliarderm. Jak twierdzi, w latach 50. pracował jako grafik przy produkcji disneyowskiej animacji „Śpiąca królewna”. Dziś nie może sobie wybaczyć, że po zakończeniu zdjęć nie starał się o kolejne zlecenia przy produkcji filmów. – To był wtedy niepewny biznes – tłumaczy. – Nie dostawaliśmy wysokich stawek, a praca przy animacji trwała nawet trzy lata. Byłem świeżo po ślubie i zależało mi na lepiej płatnej pracy. Skąd mogłem wiedzieć, że produkcje Disneya będą kiedyś przynosiły miliardowe zyski? – opowiada Don, który przez całe życie specjalizował się w projektach graficznych dla korporacji. Wylicza, że pracował m.in. dla sieci stacji benzynowych Arco, projektował latające dyski frisbee dla firmy produkującej latające dyski frisbee i robił zlecenia dla korporacji handlującej materiałami biurowymi. W żadnym z tych

miejsz nie korzystał z pracowniczych planów emerytalnych.

– Dużą część domowego budżetu pochłaniała wysoka rata kredytu za hipotekę – tłumaczy. – Do tego po kilku latach małżeństwa urodził nam się syn. Przy pensji grafika i zarobkach nauczycielskich żony nie było nas stać na odkładanie na starość. Zresztą kto mógł przewidzieć, że będziemy kiedyś żyli oddzielnie? – mówi ze smutkiem, nawiązując do rozwodu. W wyniku podziału majątku żona zachowała prawo do domu.

Po przejściu na emeryturę w wieku 64 lat mężczyzna zamieszkał ze schorowaną matką. Aby dorobić do skromnych świadczeń z Social Security, zatrudnił się jako ochroniarz w muzeum. Pracował osiem godzin dziennie, aż do 74. roku życia.

– Na prawdziwą emeryturę odszedłem dopiero po śmierci matki – opowiada Don. – Razem z dwójką braci sprzedaliśmy rodzinny dom i podzieliliśmy się pieniędzmi. To moje jedyne oszczędności. Teraz zostało mi kilka tysięcy dolarów. Jak sobie poradzę, gdy te środki się skończą?

Milenialsi nie odkładają

Według danych Rezerwy Federalnej [odpowiednik NBP – red.] co czwarty Amerykanin nie ma dodatkowych oszczędności emerytalnych, a co trzeci odłożył na starość mniej niż 5 tys. dolarów. Problem ten dotyczy szczególnie milenialsów: ludzi urodzonych w latach 80. i 90. XX wieku. Aż 66 proc. z nich nie korzysta z pracowniczych planów emerytalnych ani nie odkłada środków w ramach indywidualnych kont oszczędnościowych.

Co sprawia, że milenialsi spychają myślenie o emeryturze na dalszy plan? Jedną piątą przyznaje, że winne są temu pożyczki studenckie. W Stanach nawet na uczelniach publicznych studia kosztują ok. 10 tys. dolarów rocznie. Przeciętnego studenta na czesne po prostu nie stać i musi wziąć na ten cel pożyczkę. Absolwent kończy uczelnię ze średnim długiem w wysokości 37 tys. dolarów. W oszczędzaniu na starość nie pomaga też zadłużenie na kartach kredytowych: statystyczny milenials ma do spłacenia 4,7 tys. dolarów. Ci, którym nawet udało się zebrać emerytalne oszczędności, niekiedy muszą nimi regulować bieżące zobowiązania. Robi tak co czwarty młody Amerykanin korzystający w pracy z planu emerytalnego 401(k).

Optymizmem nie napawają też prognozy, według których środki wypłacane z federalnego funduszu Social Security mogą skończyć się do 2035 r. Jeśli Kongres nie podejmie działań zaradczych (np. nie podwyższy wieku emerytalnego), obywatele mogą spodziewać się obniżenia świadczeń nawet o jedną piątą.

To, co o swojej przyszłości myślą młodzi Amerykanie, pokazuje jesienią burza na Twitterze. We wpisach opatrzonych hashtagiem #MillennialRetirementPlans (plany emerytalne milenialsów) liczni internauci narzekali, że nigdy nie odłożą na starość. Użytkownik „Nhun-twalker” pisał: „Czy jest jakiś inny plan niż śmierć przy biurku?”. Internautka „bbyspoon” nie wierzyła, że „kiedykolwiek będzie mogła odpocząć”. Allen Fan ma z kolei nadzieję, że „umrze przed 65. rokiem życia”. Użytkowniczka Michelle Guido stwierdziła natomiast, że „większość milenialsów umrze przedwcześnie ze względu na brak systemu powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego”. Jej zdaniem ci, którzy przetrwają, będą pracowali w kilku miejscach, by spłacać jeszcze długi studenckie.

Wyrwany ząb

Dla Robin Epley, 29-latkę z Chico w północnej Kalifornii, odkładanie pieniędzy na emeryturę to na razie abstrakcja. Zajmuje ją głównie to, czy starczy jej do końca miesiąca. Jako dziennikarka w lokalnej gazecie zarabia 1,8 tys. dolarów. W sam raz, by zapłacić za wynajem pokoju, rachunki, jedzenie i paliwo. Z tym ostatnim jest jednak czasem krucho. Wystarczy, że Robin musi jechać dalej niż tylko w tę i z powrotem do pracy. Właściwie nie ma miesiąca, aby nie była na debecie. Jeśli wypłaci z konta dodatkowe

100 dolarów, bank naliczy jej 30 dolarów odsetek i całą należną kwotę ściągnie z następnej pensji. Wtedy zaczyna się gimnastyka.

– Tak bardzo stresuję się finansami, że czasem budzę się w nocy z atakiem paniki – mówi Robin. – Od tego wszystkiego nabrałam się stanów depresyjnych. Bo jak tu się wyluzować, skoro nie stać mnie nawet na dentystę? W zeszłym roku musiałam wyrwać dwa zepsute zęby, bo nie miałam 2 tys. dolarów na ich leczenie. Staram się ograniczyć wydatki do minimum. Jem głównie warzywa, nie kupuję kawy na mieście. Unikam wychodzenia do restauracji – wlicza Robin, która ma też do spłaty 30 tys. dolarów pożyczki. To za studia licencjackie z dziennikarstwa na California State University, które skończyła w 2012 r. Do tej pory nie uregulowała ani jednej raty kredytu.

Choć kocha dziennikarstwo, coraz częściej myśli o zmianie zawodu. Jak mówi, marzy jej się bardziej stabilna kariera wykładowcy. Tylko że najpierw musiałaby pójść na studia magisterskie, a to kolejny wydatek rzędu 30-40 tys. dolarów. Ostatnio Robin pojechała nawet na spotkanie otwarte na University of California w Berkeley. Na weekendowy wypad do oddalonej o 250 km uczelni wydała 200 dolarów. Po powrocie zostało jej na koncie 100 dolarów. Za tę kwotę musiała utrzymać się przez kolejne dwa tygodnie.

Królowa autostrad

Lindsay Pettee z pozoru ma wszystko, o czym marzy Robin. Trzydziestolatka z Coronado w południowej Kalifornii wykłada angielski na uczelni, nie ma kredytów studenckich (za edukację zapłacili rodzice), a na emeryturę odłożyła „już” 5 tys. dolarów.

Trzeba jednak dodać, że większość tej kwoty zaoszczędziła, gdy prowadziła zajęcia jednocześnie na dwóch uczelniach. Jak wspomina, pracowała po 60 godzin tygodniowo. Do tego trzeba doliczyć łącznie dziewięć godzin w tygodniu na dojazdy między oddalonymi od siebie o 70 km kampusami.

– Nie miałam wtedy na nic czasu – mówi Lindsay. – Jadłam w biegu, nie spotykałam się ze znajomymi, byłam ciągle zmęczona. Zaciskałam jednak zęby, bo wierzyłam, że tylko w ten sposób będę miała szansę na pełen etat. Wiesz, że ma go tylko jedna czwarta wykładowców na moim wydziale? Reszta dorabia na kilku uczelniach i krąży między kampusami. Niektórzy nazywają nas *freeway flyers*.

Od wiosny 2019 r. Lindsay prowadzi tylko jedno zajęcia. Wszystko zmieniło wprowadzone przez władze stanu Kalifornia prawo ograniczające liczbę obowiązkowych zajęć z angielskiego, jakie muszą zaliczyć studenci dwuletnich studiów na *community college*. Pensja Lindsay stopniała z 4 tys. do 950 dolarów brutto. Z tej kwoty musi opłacić jeszcze polisę zdrowotną (150 dolarów), bo uczelnia nie zapewnia jej wykładowcom bez etatu. Aby się utrzymać, Lindsay dorabia przy organizacji festiwalu muzycznych i obsłudze wycieczek turystycznych odwiedzających słoneczne San Diego. Coraz mniej wierzy w karierę uniwersytecką. Jest tak zdesperowana, że zaczęła szukać stałej pracy przy organizacji eventów.

– Mam tego dość, że nie stać mnie na wynajem kawalerki i od sześciu lat mieszkam z rodzicami – dodaje Lindsay. – Jak mam myśleć poważnie o przyszłości, skoro wciąż żyję jak dziecko?

© MARTA ZDZIEBORSKA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 519/18, na wniosek Prokury Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego we Wrocławiu toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Sylwestrze Franciszku Gadomskim, zm. 2 września 2019 r. w Pruszkowie, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sad wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Zofii Skoczek, pod sygnaturą I Ns 333/18, postępowanie o stwierdzenie zasiedlenia własności nieruchomości położonej w Mińsku Mazowieckim, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 5091, o powierzchni 0,1002 ha, dla której prowadzona jest księga wieczysta S11M/00003103/8.

Sad wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Alfredy Miensak, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedlenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

POPIÓŁ W KAWIE

Nie jestem świadkiem przypadku,
losowego wahnięcia w gwałtowności australijskich pożarów.
Zamieszkałem w epicentrum mozolnie konstruowanej
katastrofy klimatycznej.

SZYMON DROBNIAK Z SYDNEY

OSTATNI ODWIEDZAJĄCY TO MIEJSCE TURYSTA właśnie wyszedł – wreszcie jesteśmy sami. Turystów zresztą nie było wielu. Kilka wtajemniczonych osób lub wytrwałych przeszukiwaczy Google’a, którzy trafili do tego tunelu położonego na uboczu najpopularniejszych szlaków. Teraz zostaliśmy tylko my. Za naszymi plecami ciągnie się kilkaset metrów ciemnego korytarza. Na jego końcu jarzy się – stąd ledwo widoczny – dzień, rozświetlający wejście do tunelu. Przed nami – też światło. Powódź światła, ale znacznie subtelniejszego. Tunel ciągnie się bez końca, jego dno kilkanaście metrów od naszych stóp ginie pod powierzchnią wody. Dalej już nie pójdziemy – ale nie musimy. To miejsce wystarczy.

Przyzwyczajone do absolutnej ciemności oczy bez problemu rejestrują teraz to, co łatwo można by wziąć za misterną kopię Drogi Mlecznej. Niewiele jest na tej planecie widoków równie zaskakujących: sufit i ściany tunelu usłane są setkami tysięcy jarzących się niebieskich gwiazd. Niektóre wolno przygasają, by chwilę później znów rozbrzysnąć błękitnym blaskiem. Ginący daleko w ciemności rój lśniących punktów odbija się w stojącej na dnie wodzie. Trudno oprzeć się przyzwyczajeniu, ludzkiej tendencji do szukania wzorców. Mój mózg łączy więc punkty światła w gwiazdozbiory, szuka znajomych kształtów. A przecież to

nie jest moje niebo. To prywatny kosmos niezliczonych, świecących w ciemności swoim zimnym, biochemicznym światłem larw owadów zwanych „jarzącymi się robakami” (*glowworms*). Zwisając ze sklepienia tunelu, wabią one swoim nikiem, turkusowym blaskiem inne owady w sidła gęstych, przypominających miniaturowe sople sieci.

Ja jednak nie myślę o historiach, jakie mogą być zapisane w tych obcych, owadzych konstelacjach. Tunel, który odwiedzamy, leży nieopodal ogromnego Królewskiego Parku Narodowego, przepięknego miejsca na południe od Sydney, zamkniętego obecnie ze względu na ekstremalne zagrożenie pożarami buszu, które od początku listopada pożerają kolejne hektary wschodniej Australii. Bliźniaczy – ale znacznie krótszy tunel – znajduje się na płaskowyżu Newnes, niecałe 20 km od granic Parku Narodowego Wollemi – miejsca, gdzie 30 października rozpoczął się pożarowy koszmar Nowej Południowej Walii. Całe Newnes, podobnie jak Parki Narodowe Wollemi (niemalże w całości) i Gór Błękitnych (ogromna większość) – to obecnie zwęglone połacie księżycowego krajobrazu, pożartego przez ogień podsycany tygodniami przez podmuchy gorącego wiatru, karmiony ekstremalną suszą – i samobójczą biochemią wszechobecnych eukaliptusów, pełnych łatwopalnych olejków eterycznych i żywic. Szanse są spore, że tamtejsza po-



KIRAN RIDLEY / POLARIS



SZYMON DROBNIAK

pulacja świecących „robaków” może już być historią: wtłoczone do ich tunelu gorące powietrze i duszący dym nie mogły pozostawić ich bez szwanku. Australijskie *glowworms* (na zdjęciu powyżej) są endemitami tego kontynentu, podobnie jak tysiące innych gatunków występują tylko tutaj, na tym unikatowym



W pobliżu miasteczka Tumbarumba w Górach Śnieżnych, 11 stycznia 2020 r.

skrawku naszej planety. A te z Newnes – i te, na które patrzę teraz – występują tylko w trawionej ogniem Nowej Południowej Walii. Endemizm oznacza wyjątkowość, ale też zabójczą podatność na każdy kataklizm.

Gwarantuję, że kiedy myślimy „pożar”, nie jesteśmy nawet w stanie wtłoczyć naszego myślenia w skalę odpowiednią do opisanego kataklizmu, jakiej teraz jesteśmy świadkami w Australii. Do 10 stycznia spłonęło we wschodniej części kontynentu 1700 domów. Zginęły 23 osoby. Straciło życie ponad miliard kregowców (o tym więcej dalej). Ogień pochłoniął 10,7 mln hektarów ziemi. Gdybyśmy stworzyli kwadrat o takiej powierzchni i umieścili go na tle Polski, dotykając jego lewym dolnym rogiem Krakowa – jego prawy dolny róg sięgałby do Lwowa, a górna krawędź do Białegostoku. Albo inaczej: to tak, jakbyśmy spalili wszystkie lasy w Polsce i na Słowacji.

Wszystkie kolory słońca

Nie było łatwo oswoić się na nowo z Sydney przemienionym pożarami. Pachnącym dziwnie i dziwnie działającym – jak mechanizm nagle dotknięty całą masą losowych usterek. Zaskakująco cichym – bo nagle pojawiły się dni, gdzie krzykliwe papugi i australijskie wrony przedstawiały się odzywać. Ale katastrofa ekologiczna, która tego lata dotknęła Nową Południową Walię, Terytorium Stołeczne i Wiktorię, oraz ich największe miasta – w tym Sydney, Canberę i Melbourne – nie jest jakimś okrutnym zrzędzeniem losu, tylko nieuchronną, skwapliwie wypracowaną i skrupulatnie przewidzianą oczywistością.

Powinienem być zawiedziony. Zły, że akurat teraz, akurat to lato, musiało okazać się tym ponadprzeciętnie ognistym, i że na własne życzenie akurat teraz musiałem znaleźć się w samej stolicy tego zadymionego kataklizmu. Ale każdy ko-

lejny dzień przynosił coraz silniejsze poczucie bycia we właściwym miejscu i czasie. Jako biolog i ekolog, badacz tego, jak środowisko i klimat wpływają na każde życie, zdałem sobie sprawę, że mam rzadką okazję siedzenia w pierwszym rzędzie na pokazie *live* traileru naszej przyszłej, planetarnej katastrofy.

Sydnejczycy szybko przyjęli nowe nawyki i nowy słownik codzienności. Takie słowa jak „dym”, „zamglenie” czy „zapylenie” stały się normalnym elementem porannych pogaduszek w pracy i na stacji metra. Prognozy pogody upstrzyły nowe piktogramy, na czele ze słoneczkiem przesłoniętym czarnymi kropkami symbolizującymi zadymienie. Obrazkowy język nowej rzeczywistości. No i nowe rytuały.

Pierwszy nawyk: wężanie nieba. Tak przynajmniej to wygląda, gdy każdego ranka z okolicznych okien wychylają się ostrożnie głowy, a następnie lustrują →

→ nieboskłon – i ostrożnie wciągają do nosa próbkę miejskiego powietrza. Tak naprawdę już sam kolor nieba wystarcza. Jeśli jest kiczowato niebieskie, jaskrawo lazurowe – jak na rajskie Sydney przystało – wszystko w porządku. Można otworzyć okna, wyszarpnąć zwinięte ręczniki popychane w szparach pod balkonowymi drzwiami – i wypuścić powietrze do domu. Problem pojawia się, gdy błękit ma kolor źle rozmieszanej farby, jakby ktoś chciał namalować niebo, ale nieopatrznie dotknął pędzlem brudnej ochry. Tu zaczyna się cała skala: od „idź do pracy, nie oddychaj zbyt głęboko” (kolor nieba: sprany morski, podbiegnięty beżem, słońce ciągle jeszcze jaskrawe, ale już żółtawe, a nie białe), do „ogranicz wszelką aktywność na zewnątrz do minimum” (kolor nieba: trupiosiwie, niżej nad horyzontem czerwono-ochrowe – ze słońcem zamienionym w zimny bordowy krążek, naklejkę umieszczoną nie wiedzieć czemu na odbarwionym nieboskłonie). To w takie dni człowiek budzi się, czując węglisty smak pożarów na języku i to, że zaskoczone płuca nie mogą wziąć pełnego, oczyszczającego wdechu.

W najgorsze dni Sydney zamienia się w surrealistyczne miasto-widmo. Nieliczni odważni – albo ci, którzy nie mają wyjścia – przeslizgują się między warstwami dymu po pustych ulicach. Niektórzy, ciągle jeszcze niezręcznie i jakby z zakłopotaniem, zakładają na twarze przeciwpylowe maski. Jeszcze kilka miesięcy temu byłiby odprowadzani zaskoczonymi spojrzniętami przechodniów – teraz stają się normalnym elementem krajobrazu. Zamiast indeksu UV lokalna prognoza pogody wyświetla stężenie pyłu PM_{2.5}, nowy kod definiujący dzień za dniem, przydatność zewnątrz do joggingu, spaceru z psem, wyprawy po zakupy – do zwykłego życia.

W budynkach też nie jest idealnie. W klimacie podzwrotnikowym nie uszczelnia się okien tak, jak w umiarkowanej Europie. Dym wślizguje się więc do hal i biur, czuć go wszędzie – w kafeteriach, centrach handlowych, w szkołach i przedszkolach. Ogłupiałe alarmy przeciwpożarowe uruchamiają się w najgorsze dni co kilkadziesiąt minut. Tak żyje się w najbardziej zadymione dni w Sydney: w zasłonie żółtawo-sinego dymu, w kakofonii przeciwpożarowych syren, w zimnym blasku brudnoczerwonego słońca. Pod dyktando światowych

rankingów zanieczyszczenia powietrza w miastach, gdzie Sydney skacze jak szalone między zielonym wonderlandem miast pozwalających na pełny oddech a neonowo czerwonym szczytem listy. Top 10 powietrznej hańby – tu Sydney wpada co parę dni, wprost pomiędzy Pekin, Nowe Delhi, Islamabad i Meksyk. Wszystko zależnie od tego, w którą stronę zawieje wiatr, ciągnąc za sobą morderczy całun eukaliptusowego dymu.

Kiedy pytam ludzi, czy czują się dotknięci tym kryzysem – wszyscy odpowiadają, że tak. Że to trudne – ale szybko dodają, że to OK. Bo tu, w mieście, i tak mamy tylko dym. A tragedia dzieje się 30 mil dalej, gdzie płonący pierścień coraz ciśniej zaciska się na ostatnich skrawkach buszu porastających Góry Błękitne. Równie jednogłośnie jest odpowiedź, gdy zapyta się sydneyczyków o politykę. O to, jak z tym kryzysem Australia radzi sobie jako kraj. Jakiś czas temu australijskie media obieżył artykuł z „New York Timesa”, nazywający aktualną politykę tego kraju „klimatycznym samobójstwem”. Roseanne, właścicielka kawiarni, gdzie czasem wypijam poranną kawę, powiedziała mi kiedyś: „Ja nigdy tego nie wybrałam, nie podjęłam takiej decyzji. Samobójstwo? Chyba raczej zabójstwo”.

Dwa prania to za mało

Australia dosłownie roztapia się i spala. Od początku ery industrialnej świat ogrzał się – dzięki aktywności człowieka i napędzanej nią emisji gazów cieplarnianych – o 0,8°C. Może się wydawać, że to ułamek niczego. Różnica w temperaturze, której nasza ciepła skóra pewnie nawet nie wychwytuje. Ułamek niczego staje się jednak wszystkim, gdy dotyczy planety, z bagażem 4 miliardów lat swojej historii i zestawem precyzyjnie dostrójonych parametrów klimatycznych. Wiele państw świata podejmuje wysiłki, by ograniczyć ten wzrost tak, by nie przekroczył 2°C – granicy, powyżej której nie będziemy już w stanie odwrócić klimatycznej katastrofy. Aktualnie jesteśmy na doskonałej drodze do tego, by w 2100 r. nasza planeta była cieplejsza o całe 3 stopnie w stosunku do poziomu przedindustrialnego.

Australia jest w czołówce tego piekielnego wysiłku. Rok 2019 był rekordowym, gorętszym od średniej przedindustrialnej o 1,6°C! 17 grudnia był najgorętszym dniem w historii australijskich pomia-



rów meteorologicznych, ze średnią temperaturą ponad 41°C. Co więcej, Australia zmagą się z najpoważniejszym kryzysem wodnym od dziesięcioleci. W Nowej Południowej Walii spada o połowę mniej deszczu niż w przeszłości. Ikoniczny australijski outback – pustynny habitat pokrywający większość kontynentalnego interioru – połyka kolejne obszary, przesuwając się ku wybrzeżom. W Nowej Południowej Walii ogłoszono tego lata drugi stopień alarmu wodnego po tym, jak poziom wody w zbiornikach retencyjnych spadł do 50 proc. Nie można już używać węży ogrodowych do podlewania grządek czy mycia samochodów, a długość każdego prysznica należy ograniczyć do 4 minut.

A będzie jeszcze gorzej: wyższa temperatura i więcej słonecznych dni przedłuża sezon wegetacyjny drzew, które mają dzięki temu więcej czasu w roku na wysysanie wody z gleby i odparowanie jej do atmosfery. Sytuacja jest tym gorsza, że tzw. Dipol Oceanu Indyjskiego (cykliczny proces klimatyczny wpływający na rokroczne oscylacje pogody w Australii, przywoływany przez sceptyków wpływu zmian klimatu na pożary buszu) wszedł już w fazę, w której sucha i bezdeszczowa pogoda powinna ustąpić. Nic takiego jednak się nie dzieje.



JUSTIN MCMAHUS / GETTY IMAGES

Ewakuacja z Mallacooty w stanie Victoria, 3 stycznia 2020 r.

Czy te wszystkie czynniki kogokolwiek w Australii zaskakują? Zwykłych obywateli – nie. Wśród losowych przechodniów przepytanych na ulicy zdecydowana większość bez wahania przyznaje, że czują zmianę australijskiego klimatu. Z reguły też nie mają problemu z połączeniem monstrualnej suszy, piekielnych temperatur i silnego wiatru z nadzwyczajną aktywnością pożarów buszu tego lata. Jednak jako państwo Australia jest już mniej klimatycznie konsekwentna. Jej aktualny premier, Scott Morrison, stał się ikoną klimatycznego negacjonizmu, otwarcie zaprzeczając związkowi pomiędzy aktualnym kryzysem pożarowym a zmianami klimatu wywołanymi działalnością człowieka.

Konsekwentnie prowadzi też prowęglową politykę, działając pod dyktando australijskiego lobby węglowego (które jest jednocześnie jednym z głównych „producentów” antynaukowych treści w niektórych australijskich mediach, zaprzeczających związkowi pomiędzy spalaniem paliw kopalnych i ocieplaniem się klimatu). Morrison zasłynął m.in. cynicznym potraktowaniem Porozumienia Paryskiego (zobowiązującego państwa świata do ambitnego ograniczenia swoich emisji cieplarnianych) deklarując,

że jedynie 10 proc. redukcji emisji w Australii będzie realnym ich ograniczeniem. Cała reszta deklarowanego celu zostanie osiągnięta za pomocą tzw. „kredytów z przeniesienia”, zaliczających nadwyżki w redukcjach, jakich dokonała Australia w ramach starszego porozumienia – Protokołu z Kyoto – na rzecz ustaleń z Porozumienia Paryskiego. Co więcej, australijski rząd otwarcie prowadzi kreatywną księgowość klimatyczną, np. modyfikując metodykę historycznych wyliczeń emisji CO₂ w Australii tak, by dyskredytować czasy rządów Partii Pracy i pokazywać proklimatyczny charakter działań aktualnie rządzącej Koalicji Konserwatywnej.

Dostajemy więc dość zaskakującą mieszankę: denializm klimatyczny najwyższych władz, cynizm w klimatycznych relacjach z resztą świata i groteskowy egoizm ignorujący współodpowiedzialność za stan ziemskiego klimatu, a jednocześnie – akceptującą, merytoryczną postawę Australijczyków, w większości doskonale świadomych tego, co dzieje się z ziemską atmosferą. Stałem kiedyś w kolejce do kiosku z gazetami, którego sprzedawczyni strofowała klientkę, gdy ta przyznała się do poirytowania na twarzy, że musi pracować po trzy, cztery razy, żeby pozbyć się „smrodu zadymionego miasta”. Rze-

czowy i spokojny wykład o tym, ile wody zużywa nawet najwyższej klasy pralka, zwłaszcza uruchamiana kilka razy pod rząd – był jedną z najbardziej zaskakujących przemów, jakie usłyszałem w czasie tych kilku ostatnich tygodni w Sydney.

Miliard ofiar

Wszystkie takie myśli, dyskusje, polityczne zagrywki giną w głowie biologa, szczególnie w takich momentach jak ten, kiedy człowiek spotyka się z życiem wyjątkowym, w dodatku tak zjawiskowo pięknym. Jaskiniowe „gwieździste niebo” stworzone przez jedyne w swoim rodzaju organizmy to tylko przykład lokalnej bioróżnorodności. Australia ma takich niezwykłości na pęczki: miliony lat izolacji i kontynentalnego dryfu poza geologicznym mainstreamem zrobiły swoje. Eksterminacja Australii oznaczałaby solidne przyszczytanie drzewa życia o nigdzie indziej niespotykane gałązki, nie mówiąc o całkowitym odrąbaniu kilku okazałych konarów, m.in. wielu grup torbaczy czy prawie wszystkich stekowców.

Tym bardziej szokujące i działające na wyobraźnię były oszacowania opublikowane przez badaczy z Uniwersytetu w Sydney, którzy w listopadzie ogłosili, że pół miliarda zwierząt zostało poszkodowanych przez pożary. Liczba ta przetoczyła się przez większość australijskich mediów, a za granicą kontestatorzy wykorzystali ją do umniejszania skali australijskich pożarów (bo to tylko oszacowanie, bo nieprecyzyjne, bo nierealistyczne, bo zbyt ogólne). Prawdą jest, że było to tylko wyliczenie, oparte na konkretnych założeniach i parametrach, zupełnie niebiorące pod uwagę faktu, że w czasie pożaru wiele zwierząt może schronić się przed ogniem lub uciec, unikając spalania żywca. Zresztą – historyczne pożary buszu wielokrotnie pokazywały, jak kreatywne mogą być zwierzęta. W wielu spalonych lasach znajdowano żywe i zdrowe walabie czy lirogony, które chroniły się np. w starych norach wombatów (takiego zachowania nigdy nie zaobserwowaliśmy poza okresem pożarów).

Tegoroczne pożary są jednak inne. Zapomnijmy na chwilę o ich społecznym wymiarze, o postapokaliptycznej scenografii, jaką przyniosły do Sydney. Zapomnijmy o tym, że usłudźni negacjonści podsuwają nam wyrwane z kontekstu wycinki starych gazet, okraszone naukową nieścisłością rewelacje o Dipolu →

→ Oceanu Indyjskiego czy statystyki historycznych pożarów australijskiego buszu – wszystko po to, żeby pokazać „normalność” i „standardowość” tego, co dzieje się teraz w Australii. To nie jest normalne i standardowe. Owszem – busz australijski płonął zawsze i każdego roku. Taka jest jego natura i biologiczna kolej rzeczy. Pożary w takich ekosystemach są integralną częścią ich cyklu życiowego, pozwalającą na odnowienie drzewostanu – dobrze zresztą przygotowanego na przetrwanie naturalnego, krótkotrwałego ognia. Jednak to, co stało się tego lata, nie ma precedensu. Pożary objęły nie tylko standardowo podatne na ogień, sawannowe połacie roślinności – ale przede wszystkim normalnie niepłonące wilgotne lasy, ciągnące się wzdłuż wybrzeża Australii. Ten fakt – spalanie się zielonych połaci australijskich lasów – przyczynił się do monstrualnego zadymienia Sydney przez dużą część wiosny i lata.

Trawiąc te najbardziej produktywne ekosystemy, ogień uderzył w samo serce australijskiej bioróżnorodności. Listopadowe pół miliarda szybko ustąpiło kolejnemu szacunkowi z końca roku. Miliard zwierząt – tym razem nie tyle „poszkodowanych” przez pożary, ile zabitych przez ogień. To tak, jakby eksterminować wszystkie hodowane na świecie krowy. To oszacowanie wybrzmiało znacznie mocniej jako bardziej realistyczne, najpewniej zaniżone – i wcale nie finalne. Lasy w końcu płoną nadal – a wraz z nimi najzasobniejsze w osobniki populacje koali. A także habitaty rzadkich zwierząt, występujących tylko w Australii i tylko w liczbie kilkuset osobników – jak np. ekstremalnie zagrożonego podgatunku kakadu, żałobnicy brunatnej czy grubogonika z Wyspy Kangura, doszczętnie spustoszonej przez ogień. Krytycznie zagrożona jest też populacja żywej skamieniałości, wolemii szlachetnej – drzewa iglastego uznawanego za wymarłe, i odkrytego w 1994 r. w postaci kilkuset osobników na bardzo ograniczonym obszarze Parku Narodowego Wollemi (tego

Eksterminacja Australii
oznaczałaby przyszczytanie
drzewa życia o nigdzie
indziej niespotykane gałązki
i odrabianie kilku okazałych
konarów, m.in. wielu
grup torbaczy czy prawie
wszystkich stekowców.

samego, który rozpoczął marsz niszczącego ognia w Górach Błękitnych). Wolemia jest tak krytycznie zagrożona, że nawet lokalizacja jej rosnących okazów jest utrzymywana w tajemnicy. Ogień nie musi jednak pytać o drogę.

I wreszcie – ten zatrważający miliard to tylko ułamek faktycznego pogromu. Nikt nie mówi o owadach, które stanowią fundament wielu procesów ekologicznych – a które zginęły w pożarach w liczbach o rzędy wielkości większych. Wielu ich gatunków pewnie nawet nie zdążyliśmy odkryć, zarejestrować w naszych spisach i podsumowaniach, dodać jako liście na drzewie życia. Poza tym gdy wreszcie dogasną pożary, zwierzęta, które przetrwają, będą skazane na tygodnie i miesiące głodu i wyczerpania, próbując przeżyć w księżycowym krajobrazie pogorzelsk. Symboliczny miliard już teraz jest najpewniej przytłaczająco nieprawdziwy, boleśnie zaniżony – a smutny rachunek jeszcze bardziej wzrośnie.

Ugotowane żaby

Taka właśnie czeka nas rzeczywistość. Australijskie 1,6°C jest teraz przedsmakiem tego, co wydarzy się na naszej planecie – jeśli dalej stosować będziemy taką retorykę, jaką stosuje premier Morrison. Powiedział on nie tak dawno, że australijskie emisje CO₂, stanowiąc ułamek emisji światowej, nijak się mają do kryzysu pożarowego – a ich zmniejszenie niczego by nie zmieniło. Jednocześnie pozostał głuchy na pytania o to, jak Australia, jeden z hot spotów bioróżnorodności, kraj rzekomo wspierający światowe dążenia do zapobieżenia zmianom klimatu, może jednocześnie być czołowym eksporterem węgla i gazu, ciągle windującym wskaźniki sprzedaży paliw w górę. Jednym zdaniem zaprzeczył idei współpracy klima-

tycznej i solidarności w dążeniu do poprawienia kondycji naszej planety.

Czy będziemy mieli wystarczająco dużo rozsądku i samozaparcia, żeby przez taką odgórną retorykę się przebić i potencjalnie zmienić ją naszymi decyzjami wyborczymi, a – co najważniejsze – codziennymi wyborami? Pewnego grudniowego dnia, jednego z tych gorszych – kiedy Sydney spowijała żółtawa, toksyczna mgła – siedziałem na dachu Muzeum Sztuki Współczesnej, robiąc zdjęcia zalanych ochrowym światłem drapaczy chmur. Dookoła mnie dziesiątki ludzi przy kawiarnianych stolikach. Wesoły gwar rozmowy. Mimo że powietrze dałoby się kroić na lepkie, półprzezroczyste plasty. Czy wszyscy wokół mnie poruszali się jakby w zwolnionym tempie, podświadomie wlokąc swoje ramiona i głowy przez gęste powietrze? Czy to tylko moje wrażenie, usłużny mózg podrzucający odpowiedni filtr, dodający całej scenie koszmarności? To, co mnie uderzyło – to spokój tych ludzi. Uprzejme potakiwania, wybuchy śmiechu – typowe miejskie popołudnie. Nagle z nieba zaczął spadać czarny śnieg. Leniwe płatki wirowały dookoła, opadały na stoliki, na ludzi. Wpadały do kawy. Jeden wylądował na moim przedramieniu. Czarno-szary, lekki jak nic, zwęglony kawałek eukaliptusowego liścia. Przygnany tutaj gdzieś spoza Sydney razem z dymem i zapachem apokalipsy.

Obserwowałem tę scenę, spokój tych ludzi, popiół lądujący na nich i w ich kawie, ledwo widoczny most portowy, ikonę Sydney – teraz bardziej jak fragment scenografii z „Blade Runnera”. Zaczęłam kalkulować – co musiałoby spaść z tego nieba, żeby ci ludzie wstali i coś zrobili? Jest taka metafora: żaba może dowolnie dać się ugotować żywcem, jeśli zamiast wrzucać ją do wrzątku zostawimy ją w powoli ogrzewającej się wodzie – nawet nie zauważy, kiedy będzie za późno...

Znajomy meteorolog kilkanaście dni temu wrzucił do internetu montaż zdjęć satelitarnych pokazujących skalę tego, co dzieje się w Australii. Warkocz dymu z eksplozywnego pożaru, który szalał tam w czasie okołoświątecznej fali upałów, był tak długi, że przesłonił Nową Zelandię, i otarł się o krawędź kontynentu antarktycznego. Jesteśmy prawie ośmioma miliardami żab, tkwiącymi w powoli podgrzewanym naczyniu. Najwyższy czas zacząć coś z tym robić. Realnie.

© SZYMON DROBNIAK



SZYMON DROBNIAK
będzie gościem Agnieszki
Lichnerowicz
w Światopodglądzie

Radia TOK FM w piątek 24 stycznia o godz. 15.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

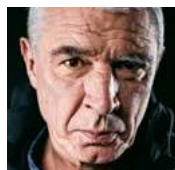
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

ANDRZEJ

Stasiuk: O pochodzeniu królestw



BYŁO ZIMNO, MOKRO, DOPIERO ŚWITAŁO, ale pojechałem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia popatrzeć, jak wygląda mój kraj. Kraj, który się dobrze zna, lepiej oglądać, gdy jest pusty. Ludzie jeszcze śpią i można spokojnie podziwiać wystawione przez nich dzieła. W szarym grudniowym świetle domy wyglądają jak pakistańskie ciężarówki wynurzające się z mgły. Nie wszystkim chce się gasić cuda rozpięte na płotach, balkonach, przyciętych krzewach, na ścianach, więc płoną nieruchomym, martwym blaskiem. Nawet jak migają, to jak przepalone. Albo jakby miały mrugać do końca świata, do ostatniego człowieka, do ostatnich świąt. Ale renifera ktoś odłączył i stał jak biedny szkielet na bujnej trawie. Żał mi się go zrobiło. Uprowadzony z rodzinnych stron i zaryty gdzieś w gminie Sękowa za siatkowym ogrodzeniem i nawet śniegu nie miał ani mrozu, tylko ten buri grudzień, stabilne zero i wilgoć. Renifery chyba umierają od czegoś takiego. Och, nie wyglądał nawet na renifera, bo rogi przypominały zwisłe uszy. Osiołek bez stajenki, bez szopki, porzucony, same druki uformowane w niezgrabny kształt.

Tak jechałem i patrzyłem. Na wschód sobie jechałem. Od ruchowo. Nie chciałem przecież wylądować w Nowym Sączu. Tam to dopiero musiała się skraplać bożonarodzeniowa melancholia. Już wolałem Jasło, które nigdy niczego za bardzo nie udawało. Bo co miałyby udawać Jasło? No ale ja zawsze jeżdżę na wschód i jakby ten Sącz leżał na wchodzie, tobym pewnie pojechał popatrzeć na elektryczne gwiazdy oraz choinki z Chin, zawieszane na latarniach na rynku niczym ofiary jakiejś rewolucji. W końcu jednak wybrałem najmniej zurbanizowany wariant i pojechałem w stronę Dukli. W stronę tej miejsciny, w której wiele lat temu zakochałem się i następnie rozślawiłem jej imię na cały świat. Dał się przekonać, że serce

mojego kraju bije właśnie tam. I nie jest to bynajmniej przekonanie bezpodstawne. Tak w każdym razie dowodzą wybory mojego narodu w ostatnich latach.

No ale nawet się nie zatrzymałem, ponieważ moja miłość nieco ostygła. Stałem tylko na pustym Orlenie i wziąłem podwójne espresso i hot doga. Samotne, świąteczne śniadanie. W jakiś sposób pasowało do tego dnia, do pakistańskich ciężarówek w półmroku nagich ogrodów, do reniferzych szkieletów i wisielców na latarniach. Zjadłem, wypilem i pomyślałem: „Ach, odwiedzę świętego Jana z Dukli. To tylko parę kilometrów na południe, w stronę Barwinka”.

Wokół parkingu stało parę bud: „kiełbasa”, „pamiątki”. Wszystkie zamknięte na głucho, podupadłe i jakby zbuteviały. Ruszyłem asfaltową ścieżką przez piękny las, ale zaraz musiałem się zatrzymać, ponieważ na skraju bukowego lasu stała „M-ka z ołtarza papieskiego w Krośnie. 10 06 1997”. Tak było napisane na blaszanej tabliczce przykręconej do żółtego monstrum. Wyglądało jak kawałek jakiejś kratownicy, przeszło mostu albo fragment dźwigu budowlanego. Przynajmniej cztery na trzy metry albo i więcej. Nieco już oblaży szkieletor na ośmiu łapach porządnie zabetonowanych w ziemi. Na skraju pięknego bukowego lasu. Pomyślałem, że nasza religia nie zna litości dla niczego.

I wtedy przypomniał mi się tamten czerwiec 1997 r. Byłem wtedy w Dukli. Papież błogosławił świeżo postawiony krzyż. Chyba z mosiądzu. Parometry. Z pionowej belki wystawało kilkadziesiąt ludzkich dłoni. Wyglądały jak ucięte. Przywodziło to na myśl dawną Azję, Tamerlana z jego upodobaniem do ekstrawaganckich trofeów. Kiedy msza się skończyła, do krzyża podchodzili klerycy, może chłopcy z nowicjatu. Dotykali świeżo poświęconego monumentu i potem ten dotyk wmasowywali sobie w czoła. Jakby wcielali krem. Ten obraz był niebywały w swoim po- gaństwie. Cieleśny i dziki. Oto duch bezpośrednio zamieniał się w materię.

I teraz ta kanciasta stał wbity na skraju pięknego bukowego lasu. Tu i tam zaczynała spod żółtej farby wylazić rdza. Wyobrażałem sobie, jak wiosną zjawia się ekipa i odmala- wuje kratownicę. Metodycznie, spokojnie niczym ławkę w parku albo metalowe ogrodzenie. Wracając do auta, też osiągnąłem pewien rodzaj spokoju płynący z przekonania, że nasze królestwo jest jednak z tego świata. ©

REKLAMA

Miasto Gdańsk oraz Instytut Kultury Miejskiej
zapraszają na

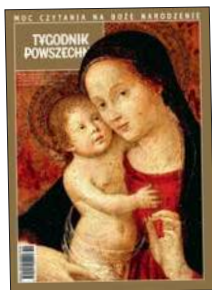
Międzynarodowy Festiwal Literatury Europejski Poeta Wolności

19 — 22.
03.2020

Poznaj tomy nominowane do Nagrody Literackiej
Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności.
Dostępne w sprzedaży na:

www.europejskipoetawolnosc.pl





„TP” 51-52 / 2019

Wyobrażenie Boga

Tekst prof. Jana Woleńskiego „Gdyby istniał” z dodatku do bożonarodzeniowego „TP” daje okazję, by oczyścić nasze wyobrażenie Boga. Przykład matki nieskutecznie błagającej o ocalenie córki, który przytacza autor, ma na celu wykazanie, że przymioty Boga (wszechmoc, wszechwiedza i wszechdobroć) są wątpliwe. Niewiele jednak mówi o Bogu wiary chrześcijańskiej. Czy różni się idea Boga Woleńskiego od Boga wiary biblijnej? Po pierwsze przymioty Boga wbrew temu, co twierdzi autor, mówią również wiele o świecie. Bóg w swojej wszechmocy i dobroci stworzył świat jako dobry, posiadający względną autonomię (Bóg nie ingeruje bezpośrednio w prawa natury) i skończony, co wynika z faktu, że świat jest stworzeniem. Przykład

matki modlącej się za córkę, owszem, respektuje atrybuty Boga, ale nie uwzględnia autonomii i ograniczeń świata. Bóg, jak słusznie wskazuje autor, „nie był zdeterminowany żadnym uprzednim stanem jakiejkolwiek rzeczywistości poza swoim własnym”, *ergo* mógłby spełnić prośbę matki. Ta konstrukcja nie uwzględnia jednak, że wyrazem Jego własnej rzeczywistości jest właśnie autonomia świata, w tym wolność człowieka. Autonomia i wolność nie uwalniają od śmierci ani nie gwarantują powszechnej szczęśliwości, ale objawiają Boga, który jest miłością, i sprawiają, że miłość jest możliwa. Po drugie, pominięte z *credo* wyznanie wiary w Chrystusa i Krzyż, które prof. Woleński uznał za niemające znaczenia, jest dla obrazu Boga chrześcijan kluczowe. Autonomia świata i wolność człowieka znajdują swoje dopełnienie w słowach *credo*: „Ukrzyżowany... za nas...”. Nie da się bez tej historii, która faktycznie nic nie mówi o Bogu filozofów, wypowiedzieć całej prawdy o Bogu wiary Abrahama, Izaaka, Jakuba, Jezusa. O Bogu, który wchodzi w historię, wszak nie według naszych oczekiwań i marzeń. Krzyż otwiera całkiem nowy horyzont,

wprowadza nadzieję tam, gdzie po ludzku wszystko się kończy, gdzie świat okazuje się kruchy, zawodzi, boli, traci sens. Bóg wiary nie chroni przed śmiercią, ale przez miłość nadaje życiu sens. Idea Boga w ciągu tysiącleci się doskonaliła, była nieustannie poddawana krytyce i się oczyszczała, tak jak teraz dokonuje się to w konfrontacji ze współczesnym ateizmem.

MICHAŁ RYCHERT

„TP” 1-2 / 2020

Noworoczne podziękowania

Powracam do przypowieści mojego dziadka (a takowe wypełniały moje dzieciństwo), że aby ocenić drugiego, należałoby pokonać drogi, które on przeszedł, góry, na które się wspiął, i rzeki, które przekroczył. W zestawie, który ratuje mnie z nastroju minionego roku, umieszczam troskę Barbary Engelking czy czułość Olgi Tokarczuk, ale też uważność z tekstu autorstwa Adama Zagajewskiego w noworocznym wydaniu „TP”. Chcę wyrazić wdzięczność. Nie tylko dla Laureatki Medalu św. Jerzego czy Noblistki, za ich humanistyczne działania

i przesłania, ale też dla tych, którzy mimo życiowej „przegranej” potrafili przetrwać, zrozumieć lub podjąć trudną decyzję, coś przy tym ratując, komuś otwierając drzwi do szczęścia. Tak jak bohaterka poruszającego i ważnego dla mnie reportażu Przemysława Wilczyńskiego „Matka naszej córki”. Ta historia wzbudza nie tyle współczucie, co zrozumienie i wrażliwość na los drugiego człowieka. To jest słowo o godności ludzkiej ponad uwikłaniami życia. „Ciężar czasu przeszłego może i powinien nas wszystkich uczyć pokory i powstrzymywać od potępiania bliźnich” – pisze ks. Adam Boniecki w bardzo osobistym edytoriale. Za takie teksty, czytane po nocy, od których nie można się oderwać, a potem zasnąć, „Tygodnikowi” u progu kolejnego roku dziękuję. Za możliwość zadumy nad „Gorzkiemi winogronami” Anny Dziewit-Meller, za budzące zainteresowanie konkretnym człowiekiem rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej. Choćby za ten wart zatrzymania się na chwilę „Skok w Nowy Rok” z Justyną Bargielską. No i oczywiście za mianowanie Marty Titaniec Człowiekiem Roku 2019 w polskim Kościele! JOANNA RÓZGA

TP Kluby „TP” zapraszają na spotkania

GDAŃSK

■ **czwartek, 23 stycznia, godz. 18.30**

„Pojednanie – czy wrogowie mogą zostać przyjaciółmi?”. Gościem będzie Edward Ćwierz. Miejsce: Hospicjum im. Ks. E. Dutkiewicza (ul. Kopernika 6).

KRAKÓW

■ **piątek, 24 stycznia, godz. 19.00**

„Bolesław Chrobry» Gołubiewa – archetyp powieści historycznej?”. Gośćmi będą prof. Aleksandra Chomiuk oraz

Maciej Gablankowski. Prowadzenie: Paweł Stachowiak. Miejsce: sala konferencyjna Herbowa (ul. Lubelska 29).

■ **niedziela, 26 stycznia, godz. 14.30**

„Obywatel Turowicz”. Gościem będzie Janusz Poniewierski. Miejsce: sala konferencyjna Herbowa (ul. Lubelska 29).

ZIELONA GÓRA

■ **czwartek, 30 stycznia, godz. 18.00**

„Decentralizacja Polski: przeszłość i przyszłość”.

Gościem będzie prof. Antoni Dudek.

Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 04/2020

AUSCHWITZ: pytania o pamięć



Pytania o pamięć

MAREK ZAJĄC

Przeszłość nieubłaganie oddala się i stygnie, zmienia w suchą wiedzę. Z reguły jeszcze tylko pokolenie wnuków ma emocjonalny stosunek do historii dziadków.

Prawnuki wiedzą, ale mało ich to obchodzi. Czy pamięć o Auschwitz i Zagładzie też to czeka?

Strach przed zubożeniem i niepamięcią narasta. Może dlatego od kilkunastu lat do oświęcimskiego muzeum spływają dziesiątki pomysłów, które w przekonaniu ich autorów ożywią, uwspółcześnią, poruszą młodzież, pozwolą na nowo odczytać... Jedni chcieli usypać tuż przy drutach Auschwitz gigantyczny kopiec. Inni – ustawić w pustych przestrzeniach Birkenau 6 milionów macew, symbolizujących 6 milionów ofiar Holokaustu. Pewna artystka proponowała, by zwiedzający komorę gazową czuli zapach gorzkich migdałów, charakterystyczny dla cyklonu B. Ktoś inny, by na rampie w Birkenau zainstalować głośniki, z których dochodziłoby szczekanie psów, krzyki esesmanów i jęki deportowanych. Trzeba działać na wszystkie zmysły – tłumaczyli pomysłodawcy.

A co zrobimy, gdy zabraknie świadków? Za oceanem już toczą się prace nad awatarami byłych więźniów. To nie jest odległa przyszłość ani żart. Usiądziesz przed hologramem, który z detalami opowie o swoim życiu: od dzieciństwa, przez transport do obozu w bydłącym wagonie i rozdzielenie z matką na rampie, ogolenie całego ciała i wytatuowanie numeru,

niewolniczą pracę, głód i bicie, aż po wolność i syndrom obozowy. Naszpikowany danymi algorytm odpowie na twoje pytania, również te o koszmarnie wspomnienia zatruwające Ocalałym noce. Przy tym błędną nawet powtarzane od lat jak mantra żądania, by dotykowe ekrany z materiałami audio i wideo poumieszczać wszędzie, gdzie się da: w barakach, latrynach, w bloku i bramie śmierci.

Ale nie tędy droga.

I

Mówimy: fabryka śmierci. To nie jest przerośnięta, to trzeba brać dosłownie. Chodzi o miejsce, które naprawdę działało według reguł industrialnych: wyprodukować jak najwięcej, po jak najniższych kosztach, osiągając jak najwyższy zysk. Tyle że nie produkowało aut, piełuch czy gwoździ, lecz śmierć.

Za dowód niech posłuży „U nas w Auschwitzu” – słynne opowiadanie Tadeusza Borowskiego, przez dekady lektura szkolna. Finałowa scena przedstawia spotkanie z Abramkiem, Żydem z Sonderkommando, palaczem z krematorium w Birkenau, od którego narrator dowiaduje się, że „wykombinowali my nowy sposób palenia w kominie”. A miano-

wicie taki, że „bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht”.

Czy to literacka fikcja, inspirowana wprawdzie życiem, lecz stosująca wyostrzenia, parbole i symbole? Czy może zdarzyło się to naprawdę? Otóż tak: to czysta prawda o obozie. Żeby to pojąć, trzeba sięgnąć do pierwszego książkowego wydania „U nas w Auschwitzu” z 1946 r. Twardą okładkę wystylizowano na pasiak; limitowane, kolekcjonerskie egzemplarze oprawiono w autentyczny materiał powycinany z więźniarskich ubrań. Drukiem wyszła w Monachium, wydana przez Oficynę Warszawską na obczyźnie. Co ciekawe, to zbiór opowiadań nie jednego, ale trzech autorów. Obok Borowskiego (numer obozowy 119198) są to Janusz Nel Siedlecki (numer 6643) i Krystyn Olszewski (numer 75817). Całość nosi tytuł „Byliśmy w Oświęcimiu”. W krótkim wstępie od wydawcy Anatol Girs (numer 191250) zastrzega: „Na pewno książka ta nie jest potrzebna jako czyn artystyczny. Lecz jako dokument jest ona bardzo charakterystyczna”. Przedstawia bowiem „fragmenty tego, co autorzy jej sami przeżyli i co widzieli na własne oczy”.

Tory kolejowe i brama główna obozu
KL Auschwitz II-Birkenau, 29 maja 1945 r.

Scena z Abramkiem dobrze oddaje realia fabryki śmierci. Jak w każdym cyklu produkcyjnym, Auschwitz-Birkenau też miało słabsze ogniwo, wąskie gardło. Gazowanie w komorach trwało krótko. Setki, tysiące uśmiercano w 20 minut, maksymalnie pół godziny. Trudności nastręczało spalanie, a przyczyna była banalna: ponad połowę objętości ludzkiego ciała stanowi woda. Zachowały się dzieśiątki relacji i dokumentów ukazujących, że niemal przez cały okres istnienia obozów zagłady Niemcy zmagali się z tym problemem.

Do budowy nowoczesnych pieców krematoryjnych przyczynił się skuteczny marketing przedsiębiorstwa „Topf i Synowie” z Erfurtu. W piśmie z 28 czerwca 1943 r. zapewniano, że w pięciu krematoriach kompleksu Auschwitz-Birkenau, w ciągu 24 godzin nieprzerwanego cyklu produkcyjnego, spali się 4756 osób. Jednak SS nieustannie usiłowało podnieść wydajność. Leon Cohen – żydowski kupiec z Salonik, zmuszony do pracy w Sonderkommando – wspominał: „Jeśli nie były to zwłoki otyłego człowieka, to mieszciliśmy w piecu cztery do pięciu ciał. Zwłoki układano w następującej kolejności: dwóch mężczyzn i trzy kobiety”.

Skąd ta proporcja? Tłuszcz podsyca spalanie. Ze względu na budowę ciała kobiety mają przeciętnie więcej tłuszczu niż mężczyźni, za to mniej mięśni. Tymczasem palenie w krematorium musi przebiegać płynnie. Temperatura w piecu powinna być równomiernie wysoka.

Inny sposób zapamiętał Jaakov Silberberg (urodzony w Zakrocymiu, rocznik 1918, także wcielony do Sonderkommando): „Niemcy wymyślili specjalny system. Stwierdzili, że mężczyźni są szczuplejsi, kobiety mają więcej tłuszczu, a dzieci są miękkie, dlatego mężczyźni, kobiety i dzieci trzeba palić razem. Spalanie jest wtedy skuteczniejsze. Kazali kłaść dziecko pomiędzy mężczyznę a kobietę. Dziecko było – jak mówili Niemcy – jako cula” („cula” to obozowy żargon, słowo pochodziło od niemieckiego *Zulage*, dodatek).

Na czym polegała metoda, którą opisał Abramek z opowiadania Borowskiego? Być może jego grupa robocza, na rozkaz SS, wykorzystywała niemowlęta i dzieci

jako rozpalkę. Podobnie jak mniejszych szczapek używamy do rozpalenia ogniska.

Ten przykład – jeden z wielu – odzwierciedla kluczową prawdę: pamięć przetrwa dopóty, dopóki zdobywać się będziemy na wysiłek dotknięcia samego jądra ciemności. Dopóki będziemy szukać autentyzmu, a nie pożywki dla moralizowania, dydaktycznych banałów i kwiecistych metafor. Auschwitz i Zagłady nie wolno redukować do symboli i pomników, do politycznych czy publicystycznych sloganów, nawet wzniośle motywowanych. Pamięć przetrwa, o ile będziemy gotowi zmierzyć się z tamtą do bólu konkretną opowieścią palaczy z Sonderkommando.

II

Nigdy więcej – powtarzano przez długie lata, gdy tylko pojawiał się wątek Auschwitz, Zagłady i katastrofy II wojny światowej. Dobrze wiemy, że to szlachetne hasło pozostało pobożnym życzeniem. I nie trzeba tu sięgać po przywoływane (już nieco rytualnie i rutynowo) przykłady Srebrenicy czy Rwandy.

Na podorędziu mamy świeższe wydarzenia. W Syrii do władzy triumfalnie wraca Baszar al-Asad i trudno się spodziewać, by kiedykolwiek poniósł odpowiedzialność za wymordowanie gazami bojowymi niewinnych dzieci, kobiet i mężczyzn. Zamiast stanąć przed międzynarodowym trybunałem – z uśmiechem pozuje do zdjęć, ściskając dłoń swego sojusznika Władimira Putina.

Ile czołówek europejskich gazet poświęcono tragedii muzułmańskich Rohingów, mordowanych i wypędzanych z Mjanmy (zwanej niegdyś Birmą)? Na razie prawnicy i dyplomaci wiodą definicyjny spór, czy była to (tylko) czystka etniczna, czy (aż) ludobójstwo. Ciekawe, czy gdy w 2022 r. będziemy ekscytować się walką polskich skoczków o medale XXIV Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, nadal będą trwały prześladowania ponad 11 mln Ujgurów z regionu Sinciang? Czy ujgurskie kobiety wciąż będą sterylizowane, a dzieci odbierane rodzicom?

Żeby było jasne: przywoływanie tych przykładów nie ma na celu wywołać w czytelniku poczucia winy czy bezradności, ani też nie jest moralną naiwnością. Oczywiście, że świat to skomplikowany system naczyni połączonych,

a polityka – zwłaszcza międzynarodowa – rządzi się własnymi prawami, nie wykluczając bolesnych i nadgniętych kompromisów. Ale tu chodzi o coś zupełnie innego.

Wtedy, w obliczu tragedii Auschwitz – obozu założonego w 1940 r. dla polskich więźniów politycznych, od 1942 r. stanowiącego ośrodek zagłady Żydów i Romów – zawiodło wszystko. Zawiodły europejska cywilizacja i tradycja, chrześcijańskie Kościoły i oświecony humanizm, kultura, prawo i demokracja. A skoro zawiodły raz, to znaczy, że historia będzie się powtarzać.

W przedmowie do wspomnianego zbioru „Byliśmy w Oświęcimiu” trzech autorów podkreślało, że w obozie wszystkich więźniów – „żywych i umarłych, złych i dobrych” – wiązała „mistyczna wiara w lepszy, sprawiedliwszy świat”. Ale już w 1946 r. wiedzieli, że nic z tego. Pisali: „My, którym dane było przeżyć, patrzmy na ten dobry, sprawiedliwy świat z ogromną goryczą. Spalono nam dom rodzinny, wymordowano przyjaciół, zniszczono kraj. Ale nie to nas boli. Boli nas, że w świecie, który miał być dla nas wyzwoleniem, panują te same reguły życia, które tak zniechęcałyśmy w obozie: rozbój, kradzież i oszustwo”.

III

Wtedy zawiodło wszystko, ale to nie znaczy, że wszyscy zawiedli. Nie ma bowiem tak potężnego zła, które byłoby w stanie pozbawić człowieka możliwości dokonywania indywidualnych wyborów. Nawet w obozowym piekle każdego dnia każdy decydował: uderzyć czy podzielić się chlebem?

Naiwnością byłoby wierzyć, że świat po Auschwitz i Zagładzie stanie się lepszy; że już nigdy nie spłynie krwią niewinnych albo nie będzie milcząco przyzwalał na zło i niesprawiedliwość. Jednak my możemy stać się lepsi. O ile odwagę, z mądrością i wrażliwością będziemy wciąż spoglądać w otchłań wygasłych krematoriów.

Również dlatego warto podejmować wysiłek, by pamięć o tej przeszłości nie ostygła, nie zamieniła się w suchą encyklopedyczną wiedzę. © MAREK ZAJĄC

MAREK ZAJĄC jest przewodniczącym Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau. Przez 12 lat był sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej.

Biografia jako argument

MAŁGORZATA GWÓŹDŹ

Rola byłych więźniów niemieckich kacetów w świadczeniu o historii jest nieoceniona, by nie powiedzieć – fundamentalna.

Przez ostatnie 30 lat to na ich barkach spoczywała pedagogika pamięci. Zofia Posmysz, August Kowalczyk, Henryk Mandelbaum, Kazimierz Albin, Wilhelm Brasse, Tadeusz Sobolewicz, Marian Tur-ski, Halina Birenbaum, Kazimierz Smoleń, Józef Paczyński, Tadeusz Smreczyński, Tadeusz Szymański i wielu innych podjęli to wyzwanie.

„Jesteś moim bratem”

Akces niektórych z nich do tej działalności wcale nie był początkowo oczywisty. Trauma ciążyła im w postaci KZ-syndromu, objawiającego się w postaci nocnych koszmarów czy nieumiejętności ułożenia relacji międzyludzkich. Wielu, czując nienawiść do oprawców, długo nie mogło się przełamać. Inni milczeli latami, bo musieli znaleźć sposób na poradzenie sobie z „demonem”: swego rodzaju terapię, którą często stawiała się twórczość – literatura (w przypadku Zofii Posmysz), sztuki plastyczne („Klische pamięci” Mariana Kołodzieja) czy teatr (monodram „6804” w wykonaniu Augusta Kowalczyka: zapis jego przeżyć, z którym w ciągu ponad 30 lat odwiedził tysiące szkół).

Byli i tacy, którzy od początku angażowali się w proces upamiętnienia. Kazimierz Smoleń był współtwórcą i długoletnim dyrektorem Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Tadeusz Szymański i Stanisław Hantz zaraz po wojnie przyjechali na teren obozu, by wraz z innymi ratować materialne ślady i zachować je dla następnych pokoleń.

Na fali rozliczania nazizmu i chęci zadośćuczynienia, z czasem do pracy w obszarze pamięci dołączyli Niemcy. Wielu, jak ci z berlińskiej Akcji Znak Pokuty/Śłużby dla Pokoju, stało się inicjatorami powstania miejsc, które miały pomóc w budowaniu nowych relacji młodzieży polskiej i niemieckiej – i znalazło tu pomocników w osobach byłych więźniów.

W takich okolicznościach w latach 80. rodzi się przyjaźń Tadeusza Szymańskiego z Volkerem von Törne. Z jednej strony Polak ocalony z Auschwitz, z drugiej młody poeta, syn oficera SS, świadomy czynów ojca. Obaj dotknięci historią, która jednak zbliżyła ich – i doprowadziła do powstania Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w najtrudniejszym miejscu, czyli Oświęcimiu.

Architektem Domu był Helmut Morlok, w latach 1941-45 uczeń Szkoły Adolfa Hitlera dla młodych nazistów. A jego współpracownikiem, oddelegowanym przez Stowarzyszenie Architektów Polskich, Alfred Przybylski – więzień Auschwitz, Gross-Rosen i Buchenwaldu. „Jesteś moim bratem” – powiedział kiedyś Alfred do Helmuta. I tak zostało.

Takich przyjaźni było więcej. Znaleźcie się w bliskiej relacji z osobą reprezentującą stronę dawnego wroga i poczucie, że w Polsce i Niemczech jest zapotrzebowanie na świadectwa, wyzwoliło w wielu Ocalonych odwagę, by to zrobić.

Fenomen spotkania

Wachlarz propozycji edukacyjnych o Auschwitz jest szeroki: seminaria, wystawy, dyskusje, różne warsztaty, pogłębione zwiedzanie Muzeum... A jednak gdy uczestnicy podsumowują takie projekty, niezmiennie podkreślają, że najważniejszym punktem była dla nich możliwość spotkania z byłym więźniem.

Nic nie zastąpi spotkania ze świadkiem historii. Ocaleni zabierają głos jako eksperci – i są też ekspertami własnej biografii. To, że przeżyli, traktują w kategoriach cudu, ale i zobowiązania. Przekazują swoje doświadczenia i jednocześnie starają się uporać z nimi, uporządkować, znaleźć sens. Szczególne są relacje tych, którzy w obozie byli jako dzieci. Wtedy nie uświadamiali sobie w pełni sytuacji. Dopiero potem, rosnąc, mogli znaleźć język i kontekst, by mówić o tym, czego doświadczyli.

Świadek mówi też za innych: opowiada historie tych, którzy nie przeżyli. Postrzega siebie jako ich reprezentanta, czuje się w obowiązku mówienia o nich i w ich imieniu. To jak wypełnianie nie-pisanego testamentu, którego celem jest zachowanie pamięci – i ostrzeganie przed ideologią, która potrafi zmanipulować człowieka tak, by stał się mordercą.

Podczas spotkań, trwających nawet kilka godzin, świadkowie często „słyszą” ciszę i skupienie młodych odbiorców. Czują presję ich oczekiwań. Młodzież chłonie każde słowo, słucha z ciekawością, niemal z namaszczeniem. To nie wiedza książkowa. Tu przeszłość z impetem wdziera się i staje przedmiotem interakcji, w której uczestniczą obie strony – świadek i słuchający.

Dwustronna wymiana

Na początku jest szok, trudno jest rozmawiać. Usłyszana historia boli i paraliżuje, wywołuje lzy i poczucie bezsilności wobec bestialstwa, którego nie da się cofnąć ani naprawić. Młodzi ludzie zostają obciążeni tym, co usłyszeli.

Powoli odblokowują się emocje. Z każdym pytaniem młodzi zbliżają się do losów wiekowych już ludzi, którzy stoją przed nimi. Uświadamiają sobie, że przecież byli oni wtedy tak samo młodzi, pełni nadziei, z planami na przyszłość. To nowe doświadczenie, najbliższe możliwe „dotknięcie” tematu Auschwitz. Re-kolekcje. Przypomnienie sobie o tym, co naprawdę ważne, i spojrzenie z tej perspektywy na swoje życie. Co to jest normalność? Poranne wstawanie, nauka, praca, spotkania z przyjaciółmi, miłość... Za taką normalność trzeba było wtedy oddawać życie?!

Wzruszenie i podziękowania układają się we współodczuwanie. A to więcej niż współczucie.

Młodzież często zadaje trudne pytanie: Dlaczego pan przeżył, a inni nie? Czy



Spotkanie Zofii Posmysz (z prawej) z młodzieżą w MDSM w Oświęcimiu.

nienawidzi pan Niemców? Jak pani mogła wybaczyć? Czy po tym można wierzyć w Boga? W ludzi? Proszą o pokazanie obozowego numeru. Dotykają medalika wykonanego w Auschwitz, który Zofia Posmysz nosi na szyi do dziś. Halina Birenbaum napisała kiedyś: „Tego się nigdy nie opowie do końca”. Słuchacze mogliby pewnie odpowiedzieć: „Tego nie da się zapomnieć”. Może nie zmienili tym spotkaniem świata, ale zmienili siebie.

A co z tych spotkań otrzymują Ocaleni? „Nie czuję, że moje życie jest jałowe i puste. Przekonuję się, że mam jeszcze do zrobienia coś pożytecznego” – mówi Zofia Posmysz. Takie spotkania nadają sens ich cierpieniu, wynikającemu z utraconej młodości. Czują się potrzebni. Mają poczucie misji i dlatego się nie oszczędzają. Mimo wieku i dolegliwości zdrowotnych rzadko odmawiają spotkań. A młodzi słuchacze, przez swoją empatię, zwracają im jakby tę część człowieczeństwa, którą odebrali im kiedyś naziści.

„Już od dawna przyjeżdżam do Oświęcimia nie jak do Auschwitz, lecz jak do swojego drugiego domu, ponieważ wiem, że są tu ludzie, których kocham i którzy, mam nadzieję, mnie lubią. Auschwitz zabrał mi młodość i zmienił moje życie, jednak Oświęcim w ostatnich latach nadał temu życiu nowy sens, może ważniej-

szy niż to, co straciłam przez Auschwitz” – mówi Zofia Posmysz.

Świadkowie po świadkach

Dziś świadkowie odchodzą. Właściwie niemal już odeszli. Wśród tych, którym stan zdrowia pozwala jeszcze na spotkania, są Zofia Posmysz, Marian Turski, Waclaw Długoborski, Hanna Ulatowska, Lidia Maksymowicz, Walentyna Nikodem, Anna Szałaśny, Zdzisława Włodarczyk... Tym samym pojawia się nowe zagrożenie: wkrótce brak świadków i dystans czasowy sprawią, że łatwiej będzie relatywizować, manipulować historią.

W historycznych instytucjach edukacyjnych już od lat tworzone są centra dokumentacji, zawierające spisane, a zwłaszcza sfilmowane świadectwa. Takie centrum posiada też MDSM i dzięki temu w pracy pedagogicznej opiera się na własnych materiałach. Film dokumentuje nie tylko prawdę historyczną – pokazując spotkanie Ocalonego z młodzieżą, przekazuje też dynamikę uczuć, które temu towarzyszą. A emocje, z punktu widzenia edukacji, są najsilniejszym nośnikiem treści.

Wśród edukatorów pojawiają się też „świadkowie po świadkach”: ci, którym udało się nawiązać długą i głęboką relację ze świadkami. Po ich śmierci osoby te próbują „wypełniać testament” – czy to

w postaci książki, czy spotkań. Niosąc ze sobą indywidualność swego bohatera, starają się przekazać część emocji, które towarzyszyły tej relacji.

Przykładem zapoczątkowana w MDSM przyjaźń między 18-letnią wtedy uczennicą z Niemiec Katariną Bader i 80-letnim Jurkiem Hronowskim. Rozmowa podczas warsztatów zmieniła życie obojga. Samotny Jurek chciał komuś zostawić swą opowieść. Przez pierwszych 20 lat po wojnie milczał, przez kolejnych 40 lat – opowiadał nieprzerwanie. Tak powstała osobista książka Katariny, zapis przyjaźni pt. „Życie po ocaleniu. Testament Jurka”.

Co dalej?

Głównym argumentem w pedagogice pamięci pozostaje biografia. W MDSM udało się stworzyć cykl warsztatów pt. „Argument – Biografia. Wartości humanistyczne w świecie odczłowieczonym”, poświęconych kilku Ocalonym. Przywołam tu wspólny projekt (jeden z wielu), realizowany wraz z Fundacją Konrada Adenauera w Polsce. W ramach jubileuszu 25-lecia MDSM Zofia Posmysz podarowała Domowi swoje opowiadanie „Chrystus oświęcimski”, które stało się podstawą warsztatów. Na ich potrzeby nagrano dwa filmy, w których autorka czyta swój utwór po polsku i niemiecku. Uczestnicy dostają teczkę zawierającą ilustrowaną biografię Zofii Posmysz i Tadeusza Paolone-Lisowskiego, także więźnia (przekazywanie pamięci o nim pisarka uważa za swe zobowiązanie), i tekst opowiadania.

W czasie zajęć uczestnicy nie mają do czynienia z wykładem. Widzą świadka. Podczas pracy w grupach uświadamiają sobie znaczenie wartości: wiary, nadziei, miłości i wolności – wtedy w obozie i także dziś, we własnym życiu.

Niektórzy twierdzą, że przyszłość pedagogiki pamięci będzie należeć do techniki multimedialnej. Czy czekają nas hologramy więźniów, którym będzie można zadać pytania? Czy zamiast odwiedzenia miejsca pamięci będziemy przenosić się w wirtualną rzeczywistość obozu? Cokolwiek to będzie, należy się wystrzegać banalizacji. ©

MAŁGORZATA GWÓŹDŹ jest teatrolożką i nauczycielką języka polskiego, od lat współpracuje z MDSM w Oświęcimiu. Autorka scenariusza warsztatów „Argument – Biografia”.



PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

Zofia Bator-Stępień, portret Marii Ślisz wykonany w KL Auschwitz w 1944 r.

Uspokoić sen

PATRYCJA BUKALSKA

**Im są starsi,
tym silniej nękają ich
nocne koszmary.
Byli więźniowie obozów
czasem boją się zasnąć.**

Minęło niemal 30 lat od II wojny światowej, gdy pewien więzień Auschwitz napisał: „Przykro to stwierdzić, ale nasze noce nie należą do nas. Nasze sny pozostały nadal w tamtych latach i te straszne, przeżyte sceny męczą nas nadal i nie dają zasłużonego odpoczynku. Jesteśmy ludźmi, którym tamta rzeczywistość stoi co noc prawie przed oczami i zmienia sen w nieustające przeżywanie coraz to innych alternatyw

naszej okrutnej śmierci, jakiej uniknęliśmy swego czasu”.

Relacja była anonimowa, na życzenie autora. Ale znamy jego numer obozowy: trzycyfrowy, a więc zapewne przybył do Auschwitz z pierwszym transportem w 1940 r. Mimo że przeżył i opuścił obóz – obóz nie opuścił jego. Podobnie jak wielu innych. Wracają do niego nocami, czasem do końca życia.

Ankieta

Stanisław Kłodziński, student medycyny, trafił do Auschwitz jako więzień nr 20019. Był sierpień 1941 r. Wcześniej mężczyzna pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej (jedynej polskiej organizacji o charakterze charytatywnym, na której legalną działalność zgodziły się władze okupacyjne). Pomagał aresztowanym w krakowskim więzieniu na ul. Montelupich, starał się o żywność i leki dla nich. Aż do lata 1941 r., gdy Niemcy przechwycili skierowany do niego gryps i nastąpiło aresztowanie.

W obozie został sanitariuszem, potem medykiem na bloku 20. To dawało mu pewne możliwości, podobnie jak znajomość niemieckiego: włączył się w obozową konspirację, mógł pomagać więź-

niom, chronić ich, kierując na blok za każdym (gdzie mogli odpocząć).

Po wojnie dalej pomagał. Załatwiał byłym więźniom leczenie, sanatoria. Stał się dla nich człowiekiem-institucją. Rozumiał, czego im trzeba. O ich doświadczeniach publikował prace naukowe: o gruźlicy, eksperymentach, samobójstwach, o „bulionie” z mięsa ludzkiego. Pisał jako lekarz i jako były więzień.

W 1973 r. postanowił o coś więźniów zapytać. Może podpowiadała mu to intuicja, a może własne doświadczenie: do 561 osób (402 mężczyzn i 159 kobiet), o których wiedział, że przeszły Auschwitz, wysłał ankietę z pytaniami o ich sny. Sny przed obozem, obozowe i te potem (były to osoby żyjące w PRL; ankieta poza Polską nie była wtedy możliwa). Odpowiedziało tylko 147 osób, ale niektóre relacje to kilkadziesiąt stron. Widać, że niektórzy pisali w emocjach, jakby chcieli szybko mieć to za sobą (jedną z osób, które odpowiedziały, był też anonim z trzycyfrowym numerem).

W 1977 r. Kłodziński razem z dwoma współautorami opublikował analizę „Sny więźniów obozu oświęcimskiego” w piśmie „Przegląd Lekarski Oświęcim” („Przegląd”, poświęcony medycyną,

psychologicznym i społecznym aspektem doświadczeń więźniów niemieckich obozów, to światowy fenomen: wydawało go Towarzystwo Lekarskie Krakowskie w latach 1961-91, a Kłodziński był jednym z jego twórców).

Syndrom

„Z lekarskiego punktu widzenia sen jest zwykle wielkim obciążeniem u większości byłych więźniów jako składnik tzw. KZ-syndromu” – napisał we wstępie do tego wydania „Przeglądu” prof. Józef Bogusz (chirurg, uczestnik powstania warszawskiego, po wojnie założyciel „Zeszytów Oświęcimskich”). Także zdaniem Kłodzińskiego nie można było opisać tego syndromu bez uwzględnienia sfery snu – choć tak trudna jest ona do ujęcia naukowo.

Syndrom KZ, choroba poobozowa: przewlekła, postępująca, aktywująca się także u kolejnego pokolenia. Czasem uniemożliwiająca normalne życie, czasem „tylko” prowadząca do izolacji, będąca źródłem udrczenia.

Pisał o nim np. Adam Szymusik w „Przeglądzie” (nr 2/1962), w analizie „Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu”. Wyliczał, że tylko 21 proc. więźniów z analizowanej grupy nie miało żadnych objawów nerwicy czy innych zaburzeń. Osób z zaburzeniami przewlekłymi było aż 44 proc. (wliczano w to psychozy i alkoholizm). Obóz „stanowił zespół tak silnych i długotrwałych bodźców, że przekraczają one normalny pułap wydolności każdego systemu nerwowego. Ci nawet, którzy przeżyli obóz, wyszli z niego z tak osłabionym systemem nerwowym, że nawet w normalnych warunkach życiowych reagowali na sytuacje życiowe nerwicą, psychozą lub popadali w nałogowy alkoholizm” – pisał Szymusik.

Przebudzenia

Dzień w obozie był walką o przetrwanie, o każdą kolejną godzinę życia. Nieustającym napięciem i lękiem. Noc powinna przynosić ulgę, ale nie przynosiła: spało się na zatłoczonej pryczy, w brudzie i wilgoci, w baraku, gdzie zawsze było za gorąco lub za zimno. Spało się snem czujnym: bo może wpaść kapo, bo ktoś może ukrąść schowany kawałek chleba.

Więźniów, zwłaszcza w pierwszych tygodniach pobytu w obozie, dręczyły też koszmary: w snach jeszcze raz prze-

żywali to, czego świadkami byli za dnia. W snach planowali ucieczkę, w snach dotykała ich własna śmierć.

Czasem jednak było inaczej i noc przynosiła chwilę ukojenia – wtedy, gdy przenosiła więźniów na wolność. Śnili wtedy o bliskich, o życiu przed obozem. Albo o jedzeniu. „Po obudzeniu było mi smutno, że to tylko sen. Zamykałam oczy i chciałam dalej widzieć te pełne stoły. Zupełnie tak jak w bajce »Dziewczynka z zapłakami«. Pożywienie nasze składało się z obierek, jarmuży i czasem brukwi. Do dziś na te produkty nie mogę patrzeć” – pisała była więźniarka w ankiecie.

Inna wspominała, że w ciągu dnia marzyła o wolności, a w nocy jej się śniło: „Miałam często przepiękne kolorowe sny. Widziałam siebie w górach, w słońcu, zawsze byłam tam sama i bardzo szczęśliwa. Widziałam siebie w polu pokrytym dojrzałym złotym zbożem, a w zbożu były bajecznie kolorowe maki i chabry. Widziałam zielony las, błękitne niebo i słyszałam śpiew ptaków. We śnie płakałam ze szczęścia. Przebudzenie było bardzo smutne”.

I jeszcze jedna relacja: „W okresie pobytu w obozie miałem dwa razy sen (będę to pamiętał całe życie), mianowicie że jestem w domu wśród siostr i rodziców. Sen ten był tak realistyczny, że z chwilą usłyszenia »górne łóżka aufstehen« [niem. wstawać – red.] to zawołanie jakoś do mnie nie dotarło, dopiero gong przywrócił mnie do rzeczywistości obozowej; płakałam jak bóbr”.

Przebudzenie oznaczało powrót do rzeczywistości. Nie chcieli się budzić: „Jedno jest pewne, że w ciągu całego okresu mego pobytu w Oświęcimiu, naj-

gorszy, najstraszniejszy – bez względu na to, czy mi się coś śniło, czy też nie – był codzienny moment mego budzenia się rano, zawsze żywy, zawsze straszny do ostatniego dnia mojej tam węgotacji”.

Sennik

W obozie sny spełniały jeszcze jedną ważną rolę: mogły dawać nadzieję. Gdy sen był dobry, gdy można go było interpretować jako dobry znak, podnosiło to na duchu.

O znaczeniu snów rozmawiano. Niektórzy wyspecjalizowali się we wróżeniu z nich. Ich znaczenia dociekali ci, którzy na wolności mieli racjonalne przekonania.

„Sny najczęściej mówiły, snów się bano, ale też oczekiwano ich. Ryby i mięso zapowiadały chorobę, krwawe mięso – chorobę przez pobicie, doły, piwnice, ziemniaki, tunele, piasek, glina – mówiły o śmierci kogoś bliskiego, biada tym, którym się to wyśniło, a mieli kogoś z rodziny w więzieniu” – pisał uczestnik ankiety.

Ponieważ nocne znaki były tak ważne, Kłodziński zwracał uwagę, iż wśród osób tłumaczących ich znaczenie obowiązywały pewne zasady: „Najważniejszą była lekarska zasada *primum non nocere*. Mówiło się ludziom to, na co czekali, co chcieli usłyszeć, a więc najczęściej przepowiadano odzyskanie wolności, ocalenie, powrót do zdrowia, szczęśliwy los, nadzieje paczki, rozwiewano obawy o najbliższych itd.”.

„Było moralnym przestępstwem źle wróżyć ze snu. Trzeba było tak wytłumaczyć zainteresowanej jej sen, ażeby odeszła zadowolona i z nadzieją, że przeżyje Oświęcim, a jeśli chodziło o jej rodzinę, to naturalnie, że wszystko jest tam w porządku” – wspominała była więźniarka.

Nadzieja – to jej szukano w snach, ona była najważniejsza. Jeden z więźniów wspominał, jak śnił mu się kwitnący sad w słońcu i on w tym sadzie: „Wstałem pod wrażeniem tego snu i zaraz go zacząłem opowiadać koledze; opowiadania tego słuchał szrajber komanda Bauhof, kolega Józef Schmidt, Czech (...). On skomentował ten sen: »Kazek, ty obóz przeżyjesz i wyjdiesz na wolność, będziesz długo żył«”. Schmidt, który tak optymistycznie sen wyjaśnił i dał koledze nadzieję, zmarł wkrótce na tyfus.

Czasem nadzieja wyrażała się w sposób upiórnie przewrotny. „Śniło mi się, że wynoszę z domu własnego trupa na plecach – pisał jeden z ankietowanych. →

Obraz „Na zgłiszczach obozu” byłego więźnia Jerzego Potrzebowskiego z 1961 r.



PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

→ – Zmęczony w odległości około 500 metrów od domu posadziłem go, opierając o płot. Wtedy trup przemówił do mnie: »Zenon, nie martw się, będziesz żył«.

Później

Po wojnie sny najpierw przycichały, a potem, np. po kilkunastu latach, wracały. Po tem znów mogły stać się mniej dokuczliwe, zniknąć niemal. Ale czasem zostawały na zawsze. A czasem na nowo wywoływała je choroba, jakieś silne przeżycie.

„W okresie obozowym: niespokojny, lekki, czujny. W okresie poobozowym: twardy, męczący, niespokojny. W okresie obecnym [czyli w 1973 r. – red.]: niespokojny, czujny mimo środków nasennych (...); dużo godzin nocnych bezsennych” – rzeczowo scharakteryzował w ankiecie swoje problemy były więzień.

Z badań dr. Kłodzińskiego wynikało, że tylko niewiele ponad 15 proc. „oświęcimaków” nie miało dolegliwości związanych ze spaniem i snami. Ponad 76 proc. miało poważne zaburzenia. Lepiej sypiały kobiety, mężczyźni złe sny czy bezsenność dręczyły bardziej. Kłodziński sądził, że można to tłumaczyć większą odpornością kobiet na stres obozowy i większą zdolnością do regeneracji.

Dodajmy, że złe sny to było więcej niż dyskomfort – to problem, który mógł uniemożliwić normalne życie. Jak czytamy w analizie, takie sny „wywołują przerażenie, przynębienie i w konsekwencji sprzyjają nastrojom depresyjnym w ciągu dnia. Prowadzi to do powstawania lękliwości, poczucia zagrożenia, a także do bezsenności (niemożność powtórne uśnięcia po przebudzeniu), do patologicznej obawy przed zaśnięciem, że koszmary się powtórzą – w konsekwencji do permanentnego zmęczenia i uczucia niewyspania”.

Bezsenna jest najczęściej wymienianym objawem wśród zaburzeń snu byłych więźniów. Jedna w więźniarek pisała, że tak bała się jednego powracającego snu, że spała tylko na wpół siedząc i przy zapalonym świetle lub w dzień. Inny więzień brał środki nasenne i uspokajające, ale i tak zasypiał dopiero nad ranem. Wówczas dopadał go koszmar: „śni mi się wtedy, że leżę na stosie trupów; na piersi mam wypisany ołówkiem chemicznym numer. Jest mi bardzo zimno i nie mogę oddychać. Coś żalania mi usta. (...) Okazuje się, że jest to zimna ręka jednego z trupów. Nie mam siły, by zepchnąć ją na

bok. Jestem jak sparalizowany. Czuję coraz większy ucisk na piersi. Całego przynika mnie strach. Umieram...”.

Mężczyzna pisał, że z tego snu budził się zlany potem, z dreszczami i bijącym szybko sercem. Często musiał wzywać w nocy pogotowie ratunkowe.

Powrót

Co pojawiała się najczęściej w tych powojennych koszmarach? Przede wszystkim, znacznie częściej niż u zdrowego człowieka były to powtarzające się motywy. Zdaniem Kłodzińskiego świadczyło to o „sile urazu obozowego i niemożliwości usunięcia z pamięci drastycznych (...) przeżyć, których w takim nasileniu, tak często i tak dotkliwie nie doznawało się w innych warunkach niż obozowe”.

Jednym z takich stałych wątków był nieoczekiwany powrót do obozu.

Ankietowana więźniarka przytoczyła sen, który miała dosłownie kilka dni wcześniej, a zatem po ok. 30 latach: „Otrzymałam polecenie – skąd, od kogo, nie wiem – natychmiastowego powrotu do obozu w Oświęcimiu. Popadłam w rozpacz. Nigdy, za nic tam nie wrócę. Trzeba się ukryć. Wcisnęłam się między wklebienie dwu jakichś metalowych maszyn. Gdzieś w połowie drogi ściany tych maszyn zaczęły razić mnie prądem. (...) Z boku, na jakimś placu budowy, rumowisko z żelastwa. Już nie idę, ale czołgam się (...) tak, aby mnie widać nie było. Dotknęłam ręką jednej z płyt, a ta zaczęła się żarzyć, parząc boleśnie. Znikąd ratunku. Krzycząc, obudziłam się”.

Inne relacje o powrocie we śnie do obozu zawierają to samo przerażenie, zgrozę. Jak w tej relacji: „Rozpaczam, krzyczę, pytam się, dlaczego znowu tam jestem. Poznaję niektórych więźniów, byłych kolegów. Widzę numery bardzo wysokie (ja miałem nr 4668). Zwracam się do »kapy« i staram się go przekonać, że jestem tu drugi raz”.

Ktoś ujął to krótko: „W obozie zwidywało mi się, że jestem na wolności, obecnie zwiduje się obóz”.

Matki

Niekiedy w snach dawne zagrożenia łączyły się z nową powojenną już sytuacją. Widać to w snach więźniarek, które po wojnie zostały matkami. Lęk o dziecko to naturalna obawa młodych matek, ale to było coś więcej: w ich koszmarach obóz pochłaniał ich dzieci.

„Po powrocie do domu (...) moje sny były ciągle złe i pełne obozowych koszmarów. Bałam się nocy i tych snów. Macierzyństwo w pewnym stopniu przezwyciężało ten nieustający lęk. Ale kiedy moje dziecko chorowało, (...) a ja drżałam o jego życie, moje sny były znowu pełne grozy. Gestapowiec topił je w wiadrze z zimną wodą albo rozrywał, albo też wbijał wielką igłę do serduszka. I znowu zrywałam się ze szlochem i krzykiem i siedziałam już przy łóżeczku do rana” – opisywała swoje przeżycia jedna z kobiet. Inna w snach widziała swoje dzieci (urodzone po wojnie), jak są wysyłane do gazu. Jeszcze inna – starała się ze śnie osłonić własnym ciałem córeczkę (urodzoną w 1948 r.); biegła, ale czuła, że nie ma już sił, by ją uratować.

Teraz

„Czekamy cierpliwie na prawdziwy, spokojny sen na zawsze w naszej ukochanej ziemi, nad Wisłą” – napisał były więzień. Nie wiemy, czy udało mu się zostawić za sobą obóz. Możliwe, że nie, bo jak mówi geriatra Alicja Klich-Rączka, która prowadzi od lat w Krakowie przychodnię dla byłych więźniów, z wiekiem problemy ze snem się nasilają.

– Im jesteśmy starsi, tym mniej wchłaniamy bieżących bodźców, ale to nie znaczy, że nasz mózg próżnuje. Starsi ludzie często mają kłopot z pamięcią krótkotrwałą, ale świetnie pamiętają np. dzieciństwo – wyjaśnia dr Klich-Rączka. – W pewien sposób wracamy wtedy do najbardziej intensywnych przeżyć.

To typowe dla starzejącego się mózgu. Tyle że w przypadku byłych więźniów doświadczeniem, które najmocniej wbiło się im w pamięć, był okres obozowy. – Te wspomnienia nie bledną – mówi dr Klich-Rączka.

Dlatego jej pacjenci często wciąż boją się nocy. – Muszą brać leki nasenne. Nie jest to dobre rozwiązanie, ale bez nich nie są w stanie funkcjonować – mówi geriatra. – Nocami wracają koszmary senne. Czasem wywołuje je jakieś skojarzenie w ciągu dnia: dym z komina przypomina krematorium, szczekanie psa esesmanów. W dzień dają sobie z tym jakoś radę. Noc jest najgorsza. ©© PATRYCJA BUKALSKA

Korzystałam z roczników „Przeglądu Lekarskiego Oświęcim” i książki P.M.A. Cywińskiego „Sny obozowe w pamięci ocalałych z Auschwitz”. Tytuł tekstu nawiązuje do tytułu obozowych wspomnień Kazimierza Tymińskiego.



INSTYTUT PILECKIEGO

Zdjęcia osób, które otrzymały fałszywe paszporty, na prezentacji materiałów archiwalnych z publikacji „Lista Ładosia”, Warszawa, 12 grudnia 2019 r.

Fałszerze z Berna

JAKUB KUMOCH, WSPÓŁAUTOR KSIĄŻKI „LISTA ŁADOSIA”:

**Każdy z członków grupy miał pomocników, a ci swoich.
Gdyby uwzględnić wszystkie kręgi wtajemniczonych,
w tę sprawę angażowały się setki ludzi.**

AGNIESZKA KAMIŃSKA: W 2016 r. został Pan ambasadorem w Bernie. Co wiedział Pan wtedy o Aleksandrze Ładosiu, grupie berneńskiej i akcji pod kryptonimem „sprawy paszportowe”?

JAKUB KUMOCH: Nie znałem ani tej postaci, ani tych wydarzeń. Historia przyszła do mnie, gdy poznałem Markusa Blechnera, konsula honorowego RP w Zurychu. On opowiedział mi o Ładosiu. Jakiś czas później, podczas wizyty w siedzibie IBM w Zurychu, poznałem Moshe Rapporta. Ciekawa postać, ortodoksyjny żyd, geniusz matematyczny. Zaprosiłem go na obchody 3 maja. Wchodząc do ambasady, miał łzy w oczach. Mówił, że to dla niego święte miejsce, w którym zawsze chciał się znaleźć. To zdarzenie spowodowało, że nie mogłem zostawić tej sprawy. Dzień później zacząłem szukać w internecie i trafiłem na odtajnione depesze MSZ Szwajcarii. To był początek badań, które trwały prawie dwa lata.

Wcześniej pracował Pan w mediach – zaangażował się Pan w tę sprawę jako dyplomata czy jako dziennikarz?

Ona dotyczy mojego poprzednika, więc uważałem, że to mój obowiązek. Poza tym, to sprawa fascynująca dziennikarsko, ale też naukowo, gdyż okazało się, że dotychczasowe opracowania na jej temat nie oddawały w pełni tej historii. Powodem jest m.in. to, że nie przejrano całości archiwów szwajcarskich.

Odtworzenie tzw. listy Ładosia to dzieło wielu osób i instytucji zaangażowanych w dotarcie do nazwisk posiadaczy fałszywych latynoskich paszportów. Które źródła były kluczowe dla tych poszukiwań?

To dzieło wielu ludzi. A najbardziej cennymi źródłami były tu listy Żydów na wymianę [za Niemców internowanych w Ameryce Łacińskiej – red.] z 1944 i 1945 r. Przykładowo taka jedna lista z obozu Bergen Belsen, którą posiada Mu-

zeum Holokaustu w Waszyngtonie, liczy 646 nazwisk, przy czym nie wszyscy oni mieli paszporty Ładosia. Są też listy ludzi, którzy po wojnie deklarowali obywatelstwo państw latynoskich, bo innego nie mieli. Kolejne ważne źródło to tzw. lista Silberscheina: kilkaset stron odręcznie spisanych danych osób, które dostały lub miały dostać paszporty. Prócz tego pojedyncze nazwiska pojawiały się w świadectwach ludzi, którzy do nas pisali. Natomiast żadnej listy nie prowadził sam Ładoś, choć wielokrotnie był proszony przez polski rząd na uchodźstwie o przedstawienie takowej. Może jako konspirator nie zrobił tego z ostrożności, chcąc chronić ambasadę przed zamknięciem, czego domagali się Niemcy.

Wśród ocalonych na tzw. liście Ładosia są kronikarz z getta warszawskiego, jeden z założycieli państwa Izrael, późniejszy minister spraw zagranicznych PRL i późniejszy premier →

→ Francji, ale też ludzie, których losy nie są znane. Łączy je dramatyczna historia. Czy coś jeszcze?

Bardzo często pokrewieństwo. Jeśli dziś tę listę widzi Żyd np. z Holandii czy Niemiec, to odnajduje na niej nie tylko rodziców, ale też swoich krewnych, o którym to pokrewieństwie nie mieliśmy pojęcia. To łatwe do wytłumaczenia. Wiedza o paszportach była rozpowszechniana z ust do ust, dlatego powiązania rodzinne między ich posiadaczami są normą. Można też zauważyć powiązania organizacyjne. Paszporty z listy Silbersteina często były kierowane do organizacji syjonistycznych i kibuców, z kolei Chaim Eiss ratował w dużej mierze elity ortodoksyjne. Wielu znalazło się na liście, bo miało rodziny w Szwajcarii albo powiązania z jednym z dwóch żydowskich organizatorów akcji.

To była też operacja finansowa.

Skąd pochodziły środki?

To był olbrzymi transfer pieniędzy. Ceny za paszport [płacone przez „grupę berneńską” latynoskim dyplomatom i konsulom honorowym – red.] zaczynały się od 500 franków, a wiemy, że powstały ich tysiące. Na początku, w 1940 czy 1941 r., prawdopodobnie płacił Skarb Państwa. Ale podczas wojny, gdy polskie państwo nie miało możliwości ściągania podatków, umówiło się z organizacjami żydowskimi, że sfinansują one część operacji. Ponadto stworzono kanał finansowania przez Londyn. Można było wpłacać pieniądze na paszport w minister-

stwie finansów w Londynie, a następnie były one wypłacane w Bernie z wykorzystaniem przypisanego Polsce złota, zdeponowanego w banku centralnym Szwajcarii. Część pieniędzy pochodziła z darowizn organizacji żydowskich, później dołączyli żydowscy zbieracze funduszy. Niestety poza jednym sprawiedliwym, żaden konsul honorowy – a byli to w większości bogaci przedstawiciele szwajcarskich elit prawniczych – nie pracował za darmo. Polacy i Żydzi wręczali im ogromne łapówki.

W książce wydanej w grudniu 2019 r. przez Instytut Pileckiego znajdziemy dużo liczb, informacji o źródłach, metodologii. Nie ma ludzkich historii.

Nie ma, bo nie taki był jej cel. Odtworzyliśmy listę 3262 nazwisk i liczymy, że jej opublikowanie przyczyni się do tego, że zgłoszą się kolejne osoby. Według naszych szacunków pełna lista powinna liczyć 8-10 tys. osób, brakuje więc 5-7 tys. nazwisk.

Posiadanie takiego paszportu to był potencjalny ratunek, ale też ryzyko. Czy dokument mógł zaszkodzić posiadaczowi?

Mógł. To zależało od miejsca i czasu. W Holandii paszporty Ładosia niemal wyłącznie ratowały. Niestety w okupowanej Polsce ich legenda została użyta przez Gestapo i kolaborantów w gettach oraz poza nimi do wywabiania ludzi z ukrycia. Przykładem afera Hotelu Polskiego w Warszawie i mniej znana pro-

wokacja będzińska. Podkreślam: paszporty nie ratowały. One zwiększały prawdopodobieństwo przeżycia. Poza tym dawały ich posiadaczom dodatkowe koło ratunkowe, zwiększały wolę przetrwania. Ludzie starali się o te dokumenty nawet już w ukryciu, w 1943 i 1944 r. Szacujemy, że 15-20 proc. posiadaczy paszportów w okupowanej Polsce ocalało. W Holandii to ok. 60 proc. W tych obu głównych krajach objętych operacją to znacznie więcej niż odsetek ocalałych tam Żydów bez paszportów. Nie twierdę, że wszystkich „uratował Ładosi”.

Dodać jednak należy, że Ładosi stworzył metodę, którą po nim kontynuowali inni. Gdy jego kontrahenci zostali zwolnieni po donosie jednego z nich i gdy zmarł Chaim Eiss, jego sukcesor Isaac Sternbuch znalazł jeszcze jednego dostawcę: żydowskiego pracownika konsulatu Salwadoru. Był rok 1944 i metoda Ładosia ożyła. Tym razem była jeszcze skuteczniejsza. Promes salwadorskich używał Carl Lutz, szwajcarski konsul w Budapeszcie, nadawanie fikcyjnego obywatelstwa Szwecji było jedną z metod ratowania stosowaną przez Raula Wallenberga. Szwajcarzy, którzy w 1944 r. jednak stanęli po stronie ofiar i udzielili im pomocy, skorzystali z wiedzy, którą prawdopodobnie posiadli szpiegując ludzi Ładosia.

Neutralni Szwajcarzy przymykali oko na to, co się działo w polskiej ambasadzie?

Na początku tak to interpretowałem. Ale Żydowskie Muzeum Szwajcarii w Ba-

Lista Ładosia

NAZYWANI SĄ DZIŚ „GRUPĄ BERNEŃSKĄ” lub „grupą Ładosia”:

polscy dyplomaci z Poselstwa RP w Bernie (odpowiednik dzisiejszej ambasady) i współpracujący z nimi działacze żydowscy, którzy w latach 1941-43 zajmowali się nielegalnym zakupem i sporządzaniem paszportów oraz poświadczali obywatelstwa państw Ameryki Południowej i Środkowej (Paragwaju, Hondurasu, Haiti i Peru) oraz działaniami na

rzecz ich uznania. Fałszywe dokumenty trafiały do Żydów, dając im większe szanse na przeżycie, gdyż ich posiadacze jako „obcokrajowcy” mogli być umieszczani przez władze niemieckie na listach osób do wymiany oraz kierowani do obozów przejściowych dla internowanych, zamiast do obozów zagłady. W ścisły skład grupy wchodził: Aleksander Ładosi, poseł RP (tj. ambasador) w Bernie, jego zastępca Stefan Ryniewicz, wicekonsul Konstanty Rokicki, attaché polskiego poselstwa Juliusz Kühl oraz dwóch

przedstawicieli organizacji żydowskich: Abraham Silberschein (Światowy Kongres Żydów, RELICO) i Chaim Eiss (z organizacji Agudat Israel). Początkowo paszporty wysyłano na teren okupowanej Polski, z czasem operacja ratowania w ten sposób Żydów rozszerzyła się na Holandię, a także Francję, Belgię, Słowację, Włochy, Niemcy i Austrię (w dwóch ostatnich krajach ratowano tak Żydów pozbawionych obywatelstwa). W wydanej w grudniu 2019 r. przez Instytut Pileckiego książce „Lista Ładosia”

– to efekt kilkuletniej pracy zespołu ludzi, której motorem był Jakub Kumoch, ambasador RP w Szwajcarii – prawdopodobną liczbę posiadaczy tych paszportów szacuje się na 8-10 tys. osób, z których mogło przeżyć 2-3 tys. W wyniku badań zidentyfikowano dotąd tożsamość 30-40 proc. Żydów, których próbowała ratować „grupa berneńska”. Spis ustalonych z nazwiska ludzi, dla których wystawiono paszporty latynoskie, opublikowano pod nazwą „Lista Ładosia”.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

z Berna

zylei zwróciło mi uwagę, że to, co uważałem za świadome milczenie, mogło być tylko urzędniczą inercją. Grupa Ładosia i żydowskie organizacje, które z nią współpracowały, były stale śledzone. Pojawiały się postulaty ukrócenia całej akcji, ale z jakiegoś powodu Szwajcarzy nie reagowali. Być może kierowali się zasadą, że dopóki pewne działania nie uderzają bezpośrednio w interesy ich kraju, lepiej nie robić nic. Rolę szwajcarskiego państwa w tej sprawie określiłbym jako wieloznaczną.

Natomiast jednoznacznie negatywnie oceniana jest rola tutejszej policji, zwłaszcza przejęcie przez nią części dokumentacji, w tym zdjęć paszportowych kilkuset osób. Jednak byli też szwajcarscy policjanci, którzy usiłowali sabotować śledztwo. Prawdopodobnie wiedzieli, co jest stawką. Są na nich skargi, niestety – niestety z dzisiejszego punktu widzenia – niewymieniające nikogo z nazwiska. Pozytywny jest udział wielu Szwajcarów i Szwajcarów, również nie-Żydów, w pozyskiwaniu paszportów dla wielu osób. Oni też współfinansowali akcję.

Nazwa „Lista Ładosia” sugeruje, jakoby całą tę machinę wymyślił jeden człowiek. Ale prócz ambasadora i jego współpracowników także wielu innych ludzi ryzykowało, fałszując, transportując i sprzedając paszporty. Czy da się oszacować skalę tej operacji?

Nazwa nie zawiera sugestii, że Ładoś wymyślił tę operację, ale stwierdzenie, że ją przeprowadził. Bez zgody ambasadora w ambasadzie nie dzieje się nic, a Ładoś akcję aprobował, popierał, bronił jej i rozpoczął interwencję na rzecz uznania paszportów. Nikt od ambasadora nie oczekuje, by wykonywał prace konsularne. Ma od tego ludzi. Gutta Sternbuch, wielka bohaterka żydowska, której znaczna część historyków przypisywała bycie współorganizatorką akcji paszportowej, napisała, że bez Ładosia nie uratowałyby się prawie nikt. Każdy z liczącej sześć osób tzw. grupy Ładosia miał pomocników, a ci z kolei swoich ludzi. Gdyby uwzględnić wszystkie kręgi wtajemniczonych, to w sprawę angażowały się setki osób. Ale wystarczyłoby, żeby Ładoś w pewnym momencie powiedział: „Nie, to zbyt duże ryzyko”, i to wszystko by się nie odbyło.

Tak samo działał każdy, kto w czasie Holokaustu ratował na masową skalę.

ZBIGNIEW POPADIUCH / WIKIPEDIA.ORG



Członkowie „grupy berneńskiej” (z góry od lewej): Aleksander Ładoś, Juliusz Kühl, Konstanty Rokicki, Stefan Ryniewicz, Abraham Silberschein i Chaim Eiss.

Lutz miał swoich ludzi i Wallenberg też, i Chiune Sugihara [japoński konsul w Kownie – red.]. Zresztą okazuje się, że fałszowanie dokumentów to tylko niewielka część działalności Ładosia. On umożliwił Żydom korzystanie z kanału przesyłania informacji niejawniej. W ten sposób przez Berno przeszła właściwie znaczna część historii Holokaustu. Opublikowałem wszystkie depesze Ładosia na swojej stronie na Facebooku. Wiem, że to niekonwencjonalne, ale historycy mieli dziesiątki lat, by to wydać. Nie zrobili tego. Jedynym, kto o depeszach Ładosia napisał wyczerpująco, był niedawno izraelski dziennikarz Eldad Beck.

Ładoś mawiał, że „w polityce najważniejszy jest rezultat”. Co Pan jako dyplomata sądzi o jego metodach?

Chciałbym, stojąc przed podobnym wyborem, dokonać takiego, jakiego on dokonał. Zdaję sobie jednak sprawę, że dziś łatwo nam tak mówić. W roku 1940 nie było precedensu, by dyplomaci zajmowali się fałszerstwem. Ktoś, kto w dyplomacji podejmował się na własną rękę działalności przestępczej, brał na siebie olbrzymie ryzyko. Ładoś nie zasłaniał się rządem RP. Gdyby wpadł, odpowiedzialność byłaby wyłącznie jego. Wiele ryzykował. Mógł zostać natychmiast wyrzu-

cony ze Szwajcarii. Uważam go za bohatera światowej skali. Tymczasem on i jego grupa są niedoceniani. Dziwi mnie, że do dziś nikt nie wpadł na to, by poświęcić Ładosiowi czy Konstantemu Rokickiemu choćby ulicę. Polska szkoła im. Ładosia w Bernie to dotychczas jedyna instytucja nazwana jego imieniem.

Dziennik „Frankfurter Allgemeine” nazwał operację grupy Ładosia „jedną z największych akcji ratowania Żydów z Holokaustu”. Jakie znaczenie mają dziś takie historie jak ta grupy berneńskiej?

Przede wszystkim przywracają pamięć o ludziach, którzy na to zasługują. Lektura depesz Ładosia pokazuje też w innym świetle historię Polski i Zagłady. Zadać kłam przekonaniu, że polski rząd nie traktował Żydów jak swoich obywateli. I przekonaniu, że Żydzi na Zachodzie nie robili nic, by ratować innych Żydów. Historia grupy Ładosia to bardzo pozytywna historia polsko-żydowska. Podkreślam: polsko-żydowska.

Hanna Krall powiedziała kiedyś, że w historiach ratowania Żydów dla Polaków najważniejsi są Polacy.

Dla Polaków najważniejsi są Polacy, dla Francuzów – Francuzi, a dla Żydów →

→ – Żydzi. W dotychczasowych opracowaniach na temat Berna, takich jak „Heroine of Rescue” o Gutcie Sternbuch, czy w opracowaniach na temat Silberscheina lub Eissa, Polacy w zasadzie nie występują, najwyżej są tłem. Pierre Mendès France [premier Francji w latach 1954-55 – red.] podziękował za paszport panu Riegnerowi ze Światowego Kongresu Żydów, ale zapomniał podziękować konsulowi Rokickiemu, który mu ten paszport sfałszował. Zresztą w biografiach France’a Rokicki nie ma imienia – występuje jako „polski konsul”. Z kolei szwajcarskie media i instytucje historyczne usiłują dowodzić, że Ładoś jest nieważny, lecz ważni są ci Szwajcarzy, którzy go wspierali...

Niedawno prezentował Pan książkę „Lista Ładosia” w Warszawie. Z jakimi reakcjami się Pan spotkał?

Reakcje historyków i badaczy Zagłady są bardzo pozytywne. Cieszę się szczególnie z opinii historyków z Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz z reakcji, które otrzymałem z Izraela i od przedstawicieli diaspory żydowskiej. Jest to projekt międzyinstytucjonalny, obecnie przyłączają się do niego żydowscy genealodzy. Najważniejsze jest teraz odnalezienie brakujących tysięcy nazwisk.

Niedługo opuszcza Pan Berno. Będzie się Pan dalej angażował w te badania?

Moja rola jest chyba zakończona, będę się jej przyglądał jako kibic. Ale ludzi, którzy badają teraz sprawę Ładosia, jest wielu. Cieszy mnie, że jest sporo historyków, którzy analizują dokumenty, odkrywają nowe wątki. Czekam jeszcze na odważnego scenarzystę i reżysera, który przeniesie tę niezwykłą historię na ekran.

© Rozmawiała w Bernie
AGNIESZKA KAMIŃSKA

JAKUB KUMOC (ur. 1975) był w latach 2016-20 ambasadorem RP w Szwajcarii, wkrótce obejmie ambasadę w Turcji. Z wykształcenia turkolog i politolog, wcześniej pracował jako analityk Ośrodka Studiów Wschodnich i Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, a także dziennikarz, m.in. korespondent PAP w Moskwie.

Dorwać katów

FILIP GAŃCZAK

Trwający w Hamburgu proces byłego strażnika z KL Stutthof to jeden z ostatnich akordów sądowych rozliczeń z Holocaustem. Ich bilans pozostawia duży niedosyt.

Bruno Dey, rocznik 1926, porusza się na wózku inwalidzkim. Od ponad trzech dekad jest emerytem, przedtem pracował jako piekarz, kierowca ciężarówki i urzędnik bankowy. Jeszcze wcześniej, w latach 1944-45, jako młody strażnik z SS służył w niemieckim obozie koncentracyjnym Stutthof koło Gdańska. I to właśnie ta odległa przeszłość dopadła go u schyłku życia. Prokuratura zarzuca mu współudział w zamordowaniu 5230 osób, w tym zwłaszcza Żydów, którzy pod koniec wojny stanowili już większość więźniów KL Stutthof. Proces przed Sądem Krajowym w Hamburgu ruszył 17 października ubiegłego roku.

„Nikogo bym nie zastrzelił” – broni się oskarżony. Nie ma, jak dotąd, dowodów na to, że osobiście zabijał lub maltretował więźniów. Zdawał sobie jednak sprawę, co dzieje się w obozie. Przesłuchiwany jeszcze przed procesem, przyznał, że widział setki ciał i słyszał krzyki dobiegające z komory gazowej. Jako strażnik miał pilnować, by więźniowie nie zbiegli, nie wszczęli buntu. Według prokuratury był więc „trybikiem w maszynie mordu” – niezbędnym do jej sprawnego funkcjonowania.

Dziś, 75 lat po II wojnie światowej, w Niemczech toczy się jeszcze prawie 30 postępowań w sprawie zbrodni nazistowskich. Nie można jednak wykluczyć, że proces Deya okaże się ostatnim. Chodzi oczywiście o zaawansowany wiek i zły stan zdrowia osób, które znalazły się pod lupą prokuratorów, a w niektórych przypadkach także o problemy ze zgromadzeniem przekonujących dowodów. Czas więc powoli na bilans sądowych rozliczeń ze zbrodniami III Rzeszy – na czele z zagładą ok. 6 mln europejskich Żydów.

Początki

Już w czasie wojny przywódcy koalicji antyhitlerowskiej zapowiadali ukaranie

niemieckich zbrodniarzy wojennych. Mówiła o tym m.in. wspólna deklaracja Wielkiej Brytanii, USA i Związku Sowieckiego z 1 listopada 1943 r. Symbolem triumfu sprawiedliwości nad złem stał się proces czołowych dygnitarzy nazistowskich przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze w latach 1945-46. Zapadło wówczas 12 wyroków śmierci, w tym wobec Hansa Franka, generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich. Pomniejszych procesy – już nie tak głośne – toczyły się w poszczególnych strefach okupacyjnych Niemiec. W sumie alianci skazali w nich prawie 9 tys. Niemców i Austriaków – podaje amerykański historyk prof. Devin Pendas.

Podjeżdżani byli też wydawani innym państwom. Polsce w latach 1946-50 przekazano ponad 1,8 tys. osób. Paradoksalnie, niemieccy zbrodniarze mogli tu liczyć na uczciwsze procesy niż polscy przeciwnicy reżimu komunistycznego: z dokumentów wynika, że liczono się m.in. z obecnością obserwatorów zagranicznych na procesach. Także dlatego prestiżowe dochodzenia powierzano nie brutalnym ubekom, lecz zdolnym prawnikom z przedwojennym doświadczeniem – jak krakowski sędzia śledczy Jan Sehn. Przesłuchiwany przezeń Rudolf Höß pisał w pożegnalnym liście do żony: „Dopiero tu, w polskich więzieniach, poznałem, co to jest człowieczeństwo. Mnie, który jako komendant Oświęcimia sprawiłem narodowi polskiemu tyle bólu i wyrządziłem tyle szkód (...), okazywano ludzką wyrozumiałość, co mnie bardzo głęboko zawstydzalo”.

W przypadku Hößa wyrok śmierci nie budził żadnych wątpliwości: był on komendantem KL Auschwitz, w którym wymordowano ponad 1,1 mln osób (w ogromnej większości byli to Żydzi). Na szubienicy zawiśli też m.in. komen-



AXEL HEIMKEN / EAST NEWS



ARCHIWUM IPN

Z lewej: Bruno Dey przed sądem w Hamburgu, 15 listopada 2019 r. Z prawej: egzekucja Rudolfa Hößa na terenie Auschwitz, 16 kwietnia 1947 r.

dant KL Plaszow Amon Göth i Jürgen Stroop, odpowiedzialny za stłumienie powstania w getcie warszawskim. Szeregowych esesmanów, którym nie potrafiono udowodnić konkretnych zbrodni, często skazywano jedynie na 3-4 lata więzienia z powodu przynależności do NSDAP i SS.

Ekstradycje do Polski wyraźnie wyhamowały po 1947 r. W obliczu narastającej zimnej wojny alianci zachodni coraz mniej chętnie wydawali niemieckich zbrodniarzy państwowym, które znalazły się w sowieckiej strefie wpływów. Sami – zajęci konfliktem z blokiem komunistycznym i szukający sojuszników przeciw Moskwie – też coraz mniej gorliwie ścigali katów spod znaku swastyki. Owszem, w bawarskim Landsbergu Amerykanie jeszcze do połowy 1951 r. wykonywali na nich wyroki śmierci. Ostatnim egzekucjom towarzyszyły jednak w Niemczech liczne protesty społeczne. Pomstowano na *Siegerjustiz*, czyli „sprawiedliwość zwycięzców”, rzekomo mściwą i niehumanitarną. O darowanie życia skazanym apelowali wpływowi politycy i duchowni. W końcu dopięli swego.

Niemieckie klimaty

Rozliczenie zbrodni nazistowskich stopniowo przechodziło w ręce niemieckich prokuratur i sądów – z korzyścią dla sprawców. Dla młodej Republiki Federalnej Niemiec, utworzonej w 1949 r. z zachodnich stref okupacyjnych, priorytetami były odbudowa gospodarcza kraju oraz integracja milionów uchodźców i wysiedleńców z dawnych ziem wschodnich Rzeszy. Społeczeństwo opłakiwało własne ofiary – poległych żołnierzy Wehrmachtu albo cywilów zabitych w alianckich nalotach – i nie było gotowe na narodowy rachunek sumienia. Impuls z góry zaś nie przychodził. W wymiarze sprawiedliwości RFN roilo się od byłych członków NSDAP, a nawet SS. Nie lepiej było w świecie polityki. Hans Globke, współtwórca norymberskich ustaw rasowych, został szefem Federalnego Urzędu Kanclerskiego w Bonn.

O klimacie do rozliczeń nie mogło być mowy: – Prokuratura zwykle zaczynała działać dopiero wówczas, gdy wpłynęło zawiadomienie od poszkodowanych. Panowała sprawiedliwość od przypadku do przypadku – tłumaczy „Tygodnikowi”

dr Hans-Christian Jasch, prawnik i współautor (z Wolfem Kaiserem) książki „Der Holocaust vor deutschen Gerichten” (Holokaust przed niemieckimi sądami) z 2017 r.

Systematyczne ściganie brunatnych przestępców stało się możliwe dopiero po 1958 r., gdy w Ludwigsburgu powstała Centrala Krajowych Zarządów Wymiaru Sprawiedliwości ds. Wyjaśnienia Zbrodni Narodowosocjalistycznych. Jednak sprawców Holokaustu nadal sądzono w RFN na podstawie starego kodeksu karnego z 1871 r. – pisanego w czasie, gdy nikt nie mógł przewidzieć przemysłowego mordu na milionach ludzi. I tak, „zwykłe zabójstwo” z czasów II wojny światowej przedawniało się po 8 maja 1960 r., czyli 15 lat po kapitulacji Rzeszy.

Po burzliwych debatach Bundestag najpierw odsuwał, a następnie zniósł przedawnienie morderstw – czyli zabójstw szczególnie perfidnych i okrutnych. Jednak nawet człowiek, który oświadczył, że zabił w komorach gazowych lub zastrzelił setki ludzi, mógł liczyć na łagodny wyrok, powołując się na rozkazy. Tylko jeśli sprawcy dopuszczali się ekscesów, →

→ tzn. wykraczali poza rozkazy i okazywali szczególną gorliwość, a nie tylko służyli jako trybiki maszyny zagłady, byli skazywani na dożywotnie więzienie – wyjaśnia Jasch.

Taka interpretacja była korzystna dla osób nieobecnych na miejscu zbrodni, w tym tzw. morderców zza biurka. W efekcie sadystyczny więzień funkcyjny, czyli obozowy kapo, był traktowany surowiej niż wpływowy pracownik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Ten ostatni odpowiadał co najwyżej za „pomocnictwo w morderstwie” – przedawniające się, o ile nie udowodniono, że działał „z niskich pobudek”.

Przełamywanie

Mimo to w RFN – inaczej niż w Austrii – doszło do spektakularnych procesów o zbrodni nazistowskie, które kończyły się wyrokami skazującymi. Jasch wymienia proces w Ulm członków Einsatzgruppen z 1958 r. (odpowiedzialnych za masowe egzekucje Żydów na zapleczu frontu), pierwszy frankfurcki proces oświęcimski z lat 1963-65 i proces załogi Majdanka, toczący się od 1975 do 1981 r. w Düsseldorfie.

– Spotkały się one z zainteresowaniem mediów, wstrząsnęły powojennym społeczeństwem i w istotny sposób przyczyniły się do tego, że w ogóle skonfrontowało się ono ze zbrodniami nazistowskimi – mówi Jasch. Pomogły też głośne produkcje filmowe, jak fabularny „Holocaust” Marvina Chomsky’ego (1978) i dokumentalny „Shoah” Claude’a Lanzmanna (1985).

Wcześniej w przełamywaniu zmywu milczenia obywateli i elit RFN ważną rolę odegrali ci, którzy nie bali się iść pod prąd dominujących nastrojów. Jedną z takich osób był Fritz Bauer, w latach 1956-68 prokurator generalny landu Hesja. Ten prawnik żydowskiego pochodzenia miał wielki udział w przygotowaniu frankfurckich procesów oświęcimskich, a przedtem – w ujęciu w 1960 r. w Argen-

tynie i postawieniu rok później przed izraelskim sądem Adolfa Eichmanna, nazywanego architektem Zagłady.

„Proces ten został przez izraelski wymiar sprawiedliwości zainscenizowany jako wydarzenie medialne, jako rozprawa z Holocaustem, która zerwała z dotychczas na ten temat panującym milczeniem w społeczeństwie” – pisze Ronen Steinke, autor biografii „Fritz Bauer. Auschwitz przed sądem” (wyd. polskie 2017). Znamienne, że Bauer kontaktował się z Izraelczykami bez pośrednictwa zachodnioniemieckich służb, dobrze wiedząc, że w przeciwnym razie Eichmann zostałby ostrzeżony przez życzliwych mu urzędników. „W aparacie państwowym dawni funkcjonariusze reżimu narodowosocjalistycznego utworzyli nie tylko pojedyncze siły; wręcz udało im się stworzyć szeroki front” – zauważa Steinke.

Po drugiej stronie muru

Ten stan rzeczy chętnie piętnowała Niemiecka Republika Demokratyczna – komunistyczne państwo utworzone w 1949 r. na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej. NRD, od początku ustępująca RFN pod względem gospodarczym i w dziedzinie praworządności, starała się przekonać świat, że jest moralnie lepsza, bo odwołuje się do dziedzictwa walki z faszyzmem, podczas gdy Republika Bońska to niejako przypudrowana III Rzesza.

Wschodnioniemiecki przekaz propagandowy miał jednak niewiele wspólnego z rzeczywistością – przekonuje Henry Leide, autor monografii „Auschwitz und Staatssicherheit” (Auschwitz i służba bezpieczeństwa NRD), która ukazała się w 2019 r. W sowieckiej strefie, a później w NRD żyło około półtora miliona byłych członków NSDAP. Byli tolerowani, o ile wykazywali się lojalnością wobec nowego reżimu. Niektórzy z nich – jak ich koledzy w RFN – robili kariery w urzędach, a nawet zasiadali w parlamencie.



„Niemieckie państwo robotników i chłopów” bardzo niekonsekwentnie ściagało brunatnych zbrodniarzy. Zdarzały się drakońskie wyroki, które miały udowodnić, że NRD poważnie traktuje rozliczenia z dyktaturą Adolfa Hitlera. Przykładem mogą być tzw. procesy waldheimskie, odbywające się w 1950 r. przed specjalnymi izbami karnymi Sądu Krajowego w Chemnitz. Oskarżono w nich ponad 3,4 tys. osób i prawie wszystkie skazano – bez prawa do uczciwej obrony. Byli w tym gronie ludzie faktycznie głęboko uwikłani w narodowy socjalizm – jak Ernst Heinicker, zastępca komendanta obozu koncentracyjnego Hohnstein – ale też niewinni lub tylko biernie wspomagający brunatną dyktaturę.

Tymczasem wielu bezspornych zbrodniarzy, w tym esesmanów z załogi Auschwitz, znalazło w NRD bezpieczną przystań. Jeśli niektórzy z nich stawali przed są-

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 4/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn, Jacek Taran
Na okładce: zwiedzający w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. | FOT. WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit



STANISŁAW ŁUCZKO / ARCHIWUM IPN

Sędzia śledczy Jan Sehn (w kapeluszu, trzeci z prawej) na ruinach II krematorium i komory gazowej na terenie KL Auschwitz II-Birkenau, maj 1945 r. Wkrótce Sehn będzie przesłuchiwać komendanta obozu Rudolfa Hößa.

dem, to często działo się tak wówczas, gdy dalsze zamykanie sprawy pod dywan groziło międzynarodowym skandalem. Hans Anhalt, który w Auschwitz brał udział w selekcjach i gazowaniu ludzi, dopiero w 1964 r. zasiadł na ławie oskarżonych, choć już kilkanaście lat wcześniej władze znały jego przeszłość. Proces był tajny – zapewne po to, by uniknąć zarzutów o opieszałość. Pokazowy charakter miał za to późniejszy o dwa lata proces lekarza SS Horsta Fischera. Szybko wykonana kara śmierci mogła sugerować, że w sprawie zbrodni nazistowskich wymiar sprawiedliwości NRD jest szybszy i surowszy niż jego zachodniemiecki odpowiednik. Okazją do porównań był tu toczący się równoległe drugi frankfurcki proces oświęcimski, w którym zapadł tylko jeden wyrok dożywotniego więzienia.

Ścigani po świecie

Gdy Fischer był ścinany na gilotynie w lipskim więzieniu, w Ameryce Południowej od lat skutecznie ukrywał się Josef Mengele, inny lekarz SS z Auschwitz – niesławny „Anioł Śmierci”. Żył na wolności do 1979 r., gdy utonął podczas kąpieli w oceanie. Aribert Heim, „Doktor Śmierć” z obozu Mauthausen, zmarł w 1992 r. w Kairze. Alois Brunner, zwany „prawą ręką Eichmanna”, prawdopodobnie jeszcze na początku XXI w. żył w Syrii.

Opieszalych prokuratorów i polityków niechętnych rozliczeniom próbowali niekiedy wyręczać indywidualni łowcy nazistów, jak Szymon Wiesenthal czy Beate i Serge Klarsfeldowie. Bywało, że ich wysiłki pomagały dopaść zbrodniarzy. Franz Stangl, komendant obozów zagłady Sobibor i Treblinka, został w 1967 r. aresztowany w Brazylii, wydany RFN i trzy lata później skazany na dożywocie. Taki sam wyrok usłyszał „rzeźnik z Lyonu” Klaus Barbie, w czasie wojny szef tamtejszego gestapo. Osądzono go w 1987 r. we Francji po tym, jak został wytropiony w Boliwii.

Wielu zbrodniarzy szukało po wojnie schronienia także w USA. Stany poważnie zajęły się ich tropieniem dopiero w 1979 r., gdy utworzono Biuro Dochodzeń Specjalnych (OSI) Departamentu Sprawiedliwości. OSI zdołało doprowadzić do pozbawienia obywatelstwa i/lub deportowania ponad stu osób. W niektórych przypadkach otworzyło to drogę do procesów w innych państwach. Przykładem John (Iwan) Demianiuk, który najpierw, w latach 80., był sądzony w Izraelu, aż wreszcie w 2011 r. został skazany w Monachium na 5 lat pozbawienia wolności.

Nowa interpretacja

Sprawa Demianiuka – byłego żołnierza Armii Czerwonej, który w niewoli prze-

szedł na stronę III Rzeszy – interesowała media nie tylko dlatego, że przed niemieckim sądem odpowiadał za zbrodnie nazistowskie cudzoziemiec. Była to sprawa precedensowa, gdyż zwyciężyła w niej rygorystyczna interpretacja prawna, jaką postulował już w latach 60. – wtedy bezskutecznie – Fritz Bauer (iż każda służba w obozie zagłady to pomocnictwo w mordowaniu). Choć więc nie było dowodów, że Demianiuk, były strażnik w obozie zagłady Sobibor, bezpośrednio brał udział w zabijaniu, to niemiecka prokuratura zarzuciła mu, że przyczynił się do zamordowania prawie 28 tys. ludzi.

Dawniej niemieckie sądy żądałyby twardych dowodów. Tymczasem teraz ścieżkę do osądzenia Demianiuka przetarli... jeden z procesów po zamachach terrorystycznych w USA z 11 września 2001 r. Marokańczyk Mounir al-Motasadeq został w 2007 r. skazany w Niemczech na 15 lat więzienia za pomocnictwo w zamordowaniu 246 osób. Nie uczestniczył bezpośrednio w zamachach, ale – zdaniem sądu w Hamburgu – „na najniższym szczeblu hierarchii” brał udział w ich przygotowaniu.

Na podobnej zasadzie sąd w Monachium uznał, że Demianiuk był „częścią maszyny zagłady” i współodpowiadał tym samym za jej sprawne funkcjonowanie. „Jego przypadek stanowi dla niemieckich sądów precedens w postępowaniu z coraz mniejszą liczbą podejrzanych o zbrodnie w czasie II wojny światowej” – pisze Andrew Nagorski w książce „Łowcy nazistów” (2016). Rzeczywiście, w kolejnych latach wyroki skazujące usłyszeli m.in. „księgowy z Auschwitz” Oskar Gröning i Reinhold Hanning, który w tym samym obozie pełnił służbę wartowniczą. Teraz może do nich dołączyć Bruno Dey.

Kraj, który długo zaniedbywał ściganie brunatnych sprawców, stara się pokazać jako ten, który nie wypiera się odpowiedzialności za przeszłość.

Dwojaka вина

– Za mało, za późno – kwituje te wysiłki Hans-Christian Jasch. Według niego bilans rozliczeń ze zbrodniami III Rzeszy →

→ nie jest – niezależnie od ostatnich procesów – zadowalający.

Dziś szacuje się, że tylko w Holokauście bezpośrednio uczestniczyło 200-250 tys. Niemców i Austriaków. Do tego należy doliczyć obcokrajowców, którzy dobrowolnie lub pod przymusem pomagali w „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”. Większość z nich uniknęła sprawiedliwości.

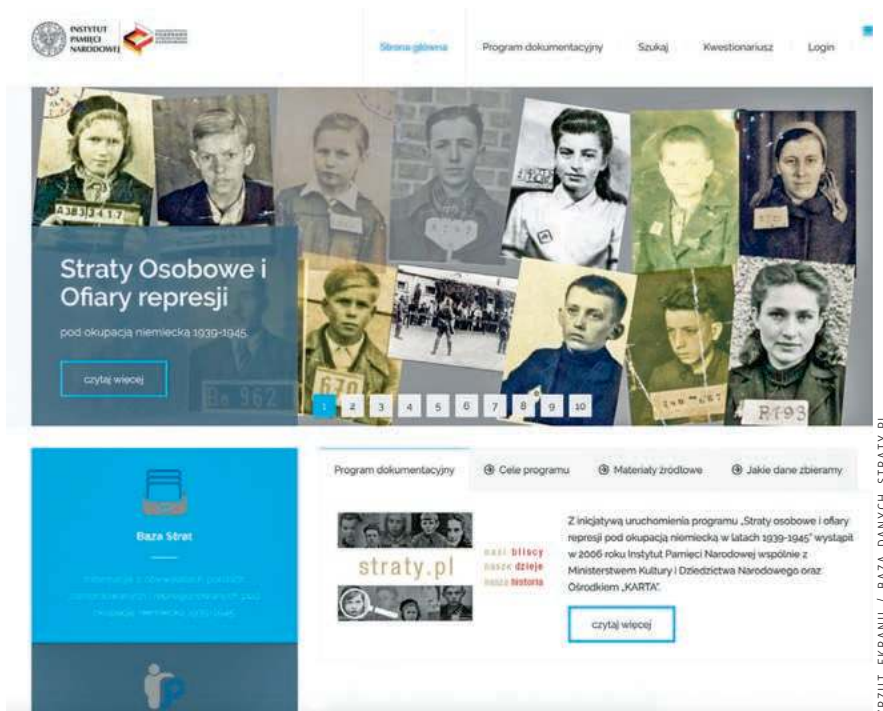
Dobrze to widać na przykładzie Auschwitz. Wspomniany już Henry Leide podaje, że wojnę przeżyło ok. 6,5 tys. członków załogi tego obozu. Do odpowiedzialności pociągnięto ok. 800 z nich (większość w Polsce w pierwszych latach powojennych). Ralph Giordano, nieżyjący już niemiecki publicysta o żydowskich korzeniach, w książce wydanej w 1987 r. nieprzypadkowo pisał o „drugiej winie” Niemców. Pierwszą był Holokaust, drugą – jego kolektywne wyparcie i pobłażliwość dla sprawców w imię społecznego pokoju.

Wkrótce sądowe rozliczenia ze zbrodniami III Rzeszy będą rozdziałem definitywnie zamkniętym. W 2010 r. zapytałem Efraima Zuroffa, znanego izraelskiego tropiciela nazistów, co będzie robił za kilka lat, gdy umrą ostatni sprawcy. – Już teraz coraz bardziej koncentruję się na walce ze zniekształcaniem historii Holokaustu – odpowiedział.

Gdy odejdą ostatni świadkowie Zagłady, ich miejsce jako strażnicy pamięci będą musieli zająć historycy, dziennikarze, edukatorzy. Dziś na szczęście mają do dyspozycji ogromny materiał archiwalny: niemiecką korespondencję urzędową, protokoły z powojennych wizji lokalnych, z przesłuchań katów i ich ofiar. Znaczna część tej dokumentacji została zgromadzona w toku dochodzeń przeciwko zbrodniarzom.

Nawet więc te postępowania, które nie doprowadziły do wyroków skazujących, odegrały pożyteczną rolę dla przyszłych pokoleń. © FILIP GAŃCZAK

DR FILIP GAŃCZAK jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Autor książek: „Polski nie oddamy: władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980–1981”, „Filmowcy w matni bezpieczeństwa”, „Erika Steinbach: piękna czy bestia?”. Wkrótce ukáže się jego nowa książka „Jan Sehn. Tropiciel nazistów”.



ZRZUT EKRANU / BAZA DANYCH STRATY.PL

Trzydzieści milionów danych

PIOTR LITKA

Wiele materiałów o więźniach obozów – oraz szerzej: o ofiarach II wojny światowej – jest dziś dostępnych w internecie. Przedstawiamy krótki przewodnik.

Jeszcze kilkanaście lat temu byłoby to niemożliwe: poszukiwania archiwalne bez wychodzenia z domu. Dziś coraz więcej materiałów, niegdyś dostępnych jedynie w czytelnich, jest zdigitalizowanych i udostępnianych online. Także tych dotyczących II wojny światowej. Gdzie zatem szukać informacji o krewnych, którzy zginęli w obozie? Jakich danych potrzebne są do poszukiwań osób, które przeżyły?

Na stronach internetowych wielu miejsc pamięci i archiwów można odnaleźć konkretne informacje dotyczące takich poszukiwań. Najczęściej zadawane – wciąż! – pytania dotyczą losów ludzi. Czasem możemy szukać sami (ogląda-

jąc skany dokumentów), a czasem musimy przesłać mailem pytania i cierpliwie czekać na odpowiedź. Przedstawimy tu wybór kilku stron muzeów lub miejsc pamięci, a także kilka baz danych archiwów.

Auschwitz

Na stronie Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau naszą kwerendę możemy ograniczyć do wpisania w muzealną wyszukiwarkę nazwiska osoby, której losy chcemy poznać (auschwitz.org/muzeum/informacja-o-wiezniach). Możemy też szukać dokładniejszych informacji przez tzw. formularz zapytania o więźnia (w języku polskim lub angielskim).

skim). Wpisujemy tam m.in. cel poszukiwań, stopień pokrewieństwa z osobą poszukiwaną, jej imię i nazwisko, datę urodzenia i aresztowania, numer obozowy i ewentualnie datę opuszczenia obozu. Formularz przesyłamy elektronicznie. Czas oczekiwania na informację zwrotną wynosi obecnie ok. 4 tygodni.

Stutthof

Jak czytamy na stronie Muzeum w Sztutowie, dzięki zachowanej częściowo dokumentacji KL Stutthof ustalono nazwiska blisko 75 proc. więźniów. Archiwum wystawia zaświadczenia, potwierdzające pobyt więźniów w tym obozie. Aby taki dokument otrzymać, ze strony głównej muzeum (stutthof.org) przez zakładkę „Poszukiwania b. więźniów” wchodzimy do formularza tzw. karty poszukiwań. Wypełniamy ją, wpisując dane personalne poszukiwanego, datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców (ew. współmałżonka), datę i miejsce aresztowania oraz datę przyjęcia do KL Stutthof, obozowy numer oraz informacje dotyczące przybliżonej daty wyjścia z obozu. „Kartę poszukiwań” możemy przesłać mailem lub tradycyjną pocztą. Taką samą drogą otrzymamy odpowiedź (na stronie nie ma informacji, jak długo będziemy na nią czekać).

Gross-Rosen

Muzeum w obecnej Rogoźnicy ma w swoich zbiorach m.in. niekompletne księgi zgonów (oryginalne, jak też skopiowane na mikrofilmach), listy transportowe więźniów (głównie kopie), listy i kartki pocztowe, które więźniowie KL Gross-Rosen wysyłali bliskim podczas funkcjonowania obozu w latach 1940-45, a także kopie akt procesów członków załogi obozu i jego filii przed polskimi sądami. Na stronie muzeum możemy online sprawdzić Bazę Zmarłych Więźniów obozu (www.gross-rosen.eu/baza-zmarlych-wiezniow/przegladaj-baze). Możemy też, jeśli osoba, której poszukujemy, przeżyła, przesłać elektronicznie „kartę poszukiwań więźnia” (www.gross-rosen.eu/archiwum/karta-poszukiwan-wieznia). Tu także nie ma informacji, jak długo przygotowywana jest odpowiedź.

Straty.pl

„Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką” – program pod taką nazwą ruszył w 2006 r. i był pilotowany

przez Fundację Polsko-Niemieckie Pojednanie. Do ogromnej bazy danych (dostępnej na stronie www.straty.pl) wprowadzono różnego rodzaju informacje na temat ofiar niemieckich prześladowań w latach 1939-45. Zbierano je i przekazano fundacji z inicjatywy Instytutu Pamięci Narodowej, Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, Ośrodka Karta oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Trafiły tam przede wszystkim nazwiska więźniów niemieckich obozów, które udało się ustalić na podstawie zachowanej dokumentacji obozowej i materiałów pozyskanych m.in. z polskich archiwów. Łącznie jest tam ponad 4,5 mln danych dotyczących znanych z nazwiska ofiar II wojny światowej. Można je sprawdzić online.

Izrael

Yad Vashem, czyli Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu, utworzono w Izraelu w 1953 r. Zbiory instytucji są bez wątpienia największymi na świecie, jeśli chodzi o dokumenty związane z Holocaustem. To m.in. – jak można przeczytać na stronie internetowej – 210 mln stron dokumentów i pół miliona zdjęć (możemy je obejrzeć online, korzystając z przeglądarki photo.yadvashem.org) i 131 tys. świadectw-zeznań Ocalałych. Znakomicie działa wyszukiwarka (deportation.yadvashem.org): możemy dzięki niej nie tylko sprawdzić losy konkretnej osoby (dostępne są skany dokumentów) lub gminy żydowskiej z całej Europy, ale też często obejrzeć w formie filmowego zapisu rozmowy z Ocalonymi.

Waszyngton

United States Holocaust Memorial Museum, istniejące w Waszyngtonie od 1993 r., to instytucja rządowa. Posiada w swoich zbiorach 20 mln dokumentów przejętych podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu. Także: kopie materiałów z innych archiwów (w tym z Polski; takie umowy z USHMM ma IPN i archiwa państwowe). Taki szczegół: muzeum kupiło niedawno kolekcję zdjęć i filmów znakomitego fotografa i filmowca Juliana Bryana. Wyszukiwarka (collections.ushmm.org/search) pozwala na odnalezienie online nie tylko konkretnego członka, ale też (przez udostępnione skany dokumentów) prześledzenie losów jego samego i jego najbliższych

podczas wojennej tułaczki, a także po jej zakończeniu.

Arolsen

Międzynarodowe Centrum Prześladowań Nazistowskich (Archiv zur nationalsozialistischen Verfolgung) swoje początki miało jeszcze w drugiej połowie lat 40. XX w. Od 1955 r., na mocy układu z Bonn, o działaniach Arolsen Archives – mieszczących się w Bad Arolsen w Niemczech (kiedyś zachodnich) – decyduje specjalna komisja międzynarodowa, której każdego roku szefuje przedstawiciel innego kraju. W komisji reprezentowanych jest 11 krajów, w tym Polska. To bez wątpienia największe archiwum dokumentujące losy ocalałych i zamordowanych w czasach rządów narodowo-socjalistycznych w Niemczech i okupowanej Europie 1933-45.

Bazy Arolsen Archives zawierają dane blisko 30 mln osób, które zostały zrekonstruowane na podstawie różnego rodzaju dokumentów. Są to, według informacji ze strony archiwum, dane dotyczące „więźniów wszelkich możliwych narodowości, przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych, gettach, obozach pracy i więzieniach Gestapo”. Ponadto w Bad Arolsen możemy szukać informacji na temat losów naszych bliskich również po 1945 r. – wśród nich m.in. „wyzwolonych więźniów obozów koncentracyjnych, uwolnionych robotników i robotnic przymusowych, ocalałych z Holocaustu Żydów z Europy Wschodniej oraz tzw. osób przemieszczonych (dipisów) będących pod opieką organizacji międzynarodowych (np. UNRRA)”.

Archiwum dostępne online (collections.arolsen-archives.org/en/search) jest obsługiwane w języku angielskim i niemieckim. Ponadto w języku polskim precyzyjnie opisane jest poruszanie się po tym rozległym zbiorze. Podczas kwerendy należy pamiętać, że nie wszystkie akta, którymi Arolsen Archives dysponuje, są dostępne w wersji cyfrowej. Dlatego, poza tym szybkim wyszukiwaniem online, warto też zadać pytanie i przesłać je pocztą elektroniczną. Obecnie co roku Arolsen Archives odpowiada na blisko 20 tys. pytań, przesyłanych mailem lub pocztą tradycyjną. Zadają je naukowcy, ale też ludzie szukający informacji o bliskich.

Jak widać, wciąż nie jest to historia zamknięta.

Zdjęcia z wnętrza

PIOTR KOSIEWSKI

Po raz pierwszy udostępniono w całości fotografie z Podziemnego Archiwum Getta Warszawy. To jedyna taka kolekcja, przedstawiająca życie stołecznej społeczności żydowskiej i przez nią samą wykonana.

We wrześniu 1946 r. na terenie dawnego getta, przy ul. Nowolipki, odnaleziono 10 metalowych skrzyń. Przechowywane w nich papiery, choć wilgotne, ocalały. Cztery lata później, w grudniu 1950 r., podczas stawiania nowego budynku na osiedlu Muranów natrafiono na dwie bańki na mleko. Ukryta była w nich kolejna część archiwum getta warszawskiego, tworzono go przez Emanuela Ringelbluma i jego współpracowników z grupy Oneg Szabat. Ten zbiór – ponad 35 tys. stron (w tym 746 relacji, 380 teczek dokumentów, 120 opracowań naukowych i 88 dzieł literackich) – jest przechowywany i udostępniany przez Żydowski Instytut Historyczny.

Wśród materiałów odnalezionych w 1946 r. były też dwa zbiory zdjęć. Jeden był całkowicie zniszczony, w drugim ocalało 76 fotografii. To nie jedyne zdjęcia w Archiwum Ringelbluma, jednak to one mają szczególne znaczenie.

O ile z czasu niemieckiej okupacji ocalała obszerna dokumentacja życia w łódzkim getcie (kilka tysięcy zdjęć), inaczej jest w przypadku getta w Warszawie. Przetrwały głównie zdjęcia robione przez Niemców, w tym zamieszczone w raporcie gen. Jürgena Stroopa o likwidacji getta.

Ale nawet jeśli, jak w przypadku fotografii radiooperatora Willy'ego Georga, nie służyły propagandzie, to były robione z perspektywy kata. Owszem, jak podkreśla francuski badacz Georges Didi-Huberman, potrafią one pokazać „coś zupełnie innego niż to, co widział sam fotograf” – jak zdjęcie z raportu Stroopa, przedstawiające kilkuletniego chłopca z podniesionymi rękami, które stało się ikonycznym świadectwem niemieckich zbrodni.

Jednak fotografie z Archiwum Ringelbluma były robione nie tylko wewnątrz getta, ale też przez same ofiary.

Zarejestrowany świat

„Dążyliśmy do tego, aby w naszych pracach oddać całą prawdę, nieważne, jak gorzką. Nasze fotografie są wierne, bez retuszu” – notował Ringelblum. Archiwum miało być rejestracją życia ludności żydowskiej pod okupacją, w różnych wymiarach: społecznym, ekonomicznym, religijnym, kulturalnym. Nie tylko w Warszawie, także w wielu innych miastach, i także na terenach pod okupacją sowiecką.

Wiadomo, że wśród materiałów zgromadzonych do 1942 r. przez twórców archiwum było ok. 350 zdjęć. Odnaleziono zatem tylko niewielką ich część. Co więcej, tych 76 fotografii było pozbawionych opisów. Zostały opisane w 1946 r. przez Laurę Eichhornową zaraz po odnalezieniu. Nie mieszkała ona jednak wcześniej w warszawskim getcie i pomocą w opisanu zdjęć służyły jej zapewne żyjący członkowie Oneg Szabat: Hersz i Bluma Wasserowie, a może także Rachela Auerbach. Jednak dziś już wiadomo, że informacje te były szczątkowe. Co gorsza, zbiór został potem rozproszony. Część fotografii zaginęła lub nie ocalały oryginalne odbitki.

Historia tych zdjęć może zaskakiwać. Tworząc archiwum, Ringelblum bliski był myśleniu Aby Warburga i jego słynnego atlasu „Mnemosyne”, w którym materiał ikonograficzny odgrywał kluczową rolę. Jednak po wojnie zdjęcia te, inaczej niż słowo pisane, uznano za mniej ważny materiał. Publikując zawartość archiwum, nie poświęcono im oddzielnego tomu. Dopiero wydana właśnie pod redakcją Anny Duńczyk-Szulc książka „Rozproszony kontakt. Fotografie z Ar-

chiwum Ringelbluma na nowo odczytane” przywraca im znaczenie.

Życie mimo wszystko

W książce tej zamieszczono wszystkie odśzukane po latach fotografie (do chwili oddania publikacji do druku z pierwotnego zbioru brakowało sześciu zdjęć). Zostały ponownie opisane. Części zdjęć towarzyszą cytaty z zachowanych świadectw: notatek Ringelbluma, dzienników z archiwum, a także „Dziennika” Adama Czerniakowa, oraz współczesne teksty na temat tego zbioru, m.in. już wspomnianego Georges'a Didiego-Hubermana.

„Rozproszone są sposoby patrzenia lub odmowy patrzenia, możliwości widzenia lub odmowy widzenia. Rozproszona jest wiedza o czasie, której fotografie mogłyby nam dostarczyć” – pisze ten francuski badacz. Cały ten zbiór jest jedynie fragmentem. Wyimkiem, ułomnym i niekompletnym. Jednak znaczącym, bo pokazuje życie w getcie. Bez dystansu.

Zbiór podzielono na trzy części: „Rządy ciemieńców”, „Rządy prześladowanych”, „Życie mimo wszystko”. Każda układa się w odrębną opowieść. Pierwsza pokazuje skutki działań okupantów: zasieki i mury oddzielające getto od reszty miasta, tłum na drewnianej kładce nad ul. Chłodną (nienależącą do getta), nekrologi naklejone na murach, kolejki po żywność, dzieci wyniszczone głodem. W tym materiale jest jeden znaczący nieobecny: Niemcy (tylko na zdjęciu cmentarnej bramy można zauważyć policjanta). Aparat dokumentuje następstwa działań katów, a nie ich samych.

W drugiej części znalazła się dokumentacja funkcjonowania getta pod rządami Judenratu. Są tu zdjęcia żydowskich policjantów, szefa rady Adama Czerniakowa z kobietami zwolnionymi z więzienia, ludzi czekających na przydział chleba czy słuchających komunikatów nadawanych przez „szczekaczki”. To obraz rządzących, chwilami brutalnie skonstrastowany z losem innych osadzonych w getcie. Ostatecznie jednak jedni i drudzy byli przez Niemców skazani.

Trzecia część ukazuje owe życie mimo wszystko: matki spacerują z dziećmi w wózkach po pl. Muranowskim, na boisku „Skry” uprawia się kartofle i kapustę. Są zdjęcia witryn sklepowych czy chłopca żebzącego pod murem. I jest zdjęcie niezwykle, odbiegające swym charakterem od reszty: przedstawia ślub dziennikarki



Z opisu zdjęcia na wystawie w ŻIH:
Niemcy zażądali dostarczenia futer dla armii walczącej na wschodzie. Adam Czerniaków, prezes Judenratu, starał się wymienić zebrane futra i kożuchy na ludzi więzionych za nielegalne opuszczenie getta. 11 marca 1942 roku udało mu się uwolnić pierwszą grupę więźniów. Prezes pojechał do Aresztu Centralnego przy ul. Gęsiej – stoi trzeci od lewej, a jego żona Felicja trzecia od prawej. Pierwszy z prawej stoi Szmuel Winter, pracownik Judenratu, członek grupy Oneg Szabat, towarzyszą im zwolnione więźniarki.

FOT. HENRYK (JECHIEL) BOJM (?),
FOTO-FORBERT // ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

„Warszawer Radio” Haliny Zuckerman. Przez chwilę świat stał się normalny. To było „wesele jak się patrzy” – wspominała po latach Rachela Auerbach, dodając, że fotografia z tej uroczystości to „nieoczekiwane, konkretne pozdrowienie ze świata, który stoczył się w przepaść”.

Archeologia fotografii

Wydanie książki poprzedziła wystawa „Światło negatywu / Obrazy z Archiwum Ringelbluma i archiwum Jerzego Lewczyńskiego / na nowo odczytane”, którą prezentowano w ŻIH-u w 2019 r. Obok fotografii z warszawskiego getta znalazły się na niej inne, znalezione przed laty w Sączu, w domu należącym do rodziców Zdzisława Beksińskiego. Przedstawiają rodzinę tamtejszego aptekarza Henryka Eisenbacha. Ten zbiór negatywów, zapis codziennego życia żydowskiej rodziny sprzed Zagłady, Jerzy Lewczyński wykorzystał w swoich pracach. W 1971 r. powstaje „Tryptyk znaleziony na strychu”, jedno z najważniejszych dzieł w polskiej historii sztuki XX w. Cztery lata później „Negatywy”.

Jednak to znalezisko przede wszystkim pozwoliło Lewczyńskiemu sformułować założenia „archeologii fotografii”, która ma odkrywać, badać i komentować dawne zdarzenia, fakty i sytuacje zapisane w fotograficznej materii. Celem

„archeologii fotografii”, precyzował, jest też „poszukiwanie świadków dawnych wydarzeń! Takim świadkiem jest światło, które było bodźcem technologicznych procesów utrwalania rzeczywistości, i które wyrzeźbiło w negatywie dawną powszechną obecność”. Negatyw jest „autentycznym światłem minionych wydarzeń”.

Praktyka artystyczna Lewczyńskiego została przejęta przez badaczy. Idąc śladem „archeologii fotografii”, rozpoznano bohaterów zdjęć oraz miejsca i kontekst ich powstania. Co więcej, okazuje się, że autorem większości z nich był Henryk Bojm, fotoreporter przedwojennego „Nowego Przeglądu”, współzałożyciel działającego od 1930 r. i modnego w świecie filmowym warszawskiego atelier Foto Forbert. A to zapewne tylko początek procesu odzierania tych zdjęć z anonimowości.

Zwrot ku wizualności

Ubiegłoroczna wystawa i wydana właśnie książka „Rozproszony kontakt...” wpisują się w szerszy nurt: przywracania pamięci o konkretnych ofiarach – nie tylko Zagłady, bo można przywołać też prace nad stworzeniem listy cywilnych ofiar powstania warszawskiego – nazwania ich z imienia. Przez lata anonimowe, odzyskują swą tożsamość.

To także przejaw zwrotu ku obrazowi, uznania znaczenia wizualności – i znowu: nie tylko w kontekście Zagłady (by przypomnieć rekonstrukcję powstańczych zdjęć i filmów z 1944 r.). Badacze z ŻIH-u zwrócili tu uwagę na samą fotografię jako obiekt materialny, kruchy i delikatny. To w tę materię, jej fizyczność, jest wpisana przeszłość. W książce są oryginały zdjęć, ale też kopie do dziś niezachowanych (lub nieodnalezionych). Fotografiami pokazującym wszystkie szczegóły towarzyszą inne, zamazane, nieostre. Są nie tylko świadectwem Holokaustu, ale też pamięci o nim. W tekście zamieszczonym w książce Georges Didi-Huberman pisze, że przyjechał do Warszawy, by zobaczyć zdjęcia z Archiwum Ringelbluma. Jednak po chwili koryguje: „spróbować zobaczyć”. Aby wreszcie zaznaczyć: „tylko spróbować zobaczyć”.

Stopniowość nie jest tu przypadkowa. Podkreśla ułomność spojrzenia nas, współczesnych. Możemy patrzeć na zdjęcia z czasów Holokaustu, ale czy zobaczymy jego rzeczywistość? Zapewne jesteśmy zmuszeni pogodzić się z daremnością naszych starań – co jednak nie znaczy, że mamy je porzucać. Fotografia bowiem, jak podkreślał francuski teoretyk filmu André Bazin, nie tworzy, lecz balsamuje czas, „ratując go przed samozniszczeniem”. ©



STRONA CZYNNNA

Każdy podpira się George'em Orwellem. Jego pasją w dążeniu do prawdy przesłaniamy własną hipokryzję, moralny relatywizm i skarleńie perspektyw.

DARIUSZ ROSIAK

ZMAREŁ 70 LAT TEMU, 21 STYCZNIA 1950 R. Kim naprawdę był George Orwell? Można z niego było zrobić patrona liberalnych wolnorynkowców (cenił Hayeka), socjalistę, wielkiego albo drugorzędnego pisarza, który swoją renomę zawdzięcza kilku udanym metaforom, ale z pewnością nie talentowi literackiemu (gdy umierał w 1950 r., liczba sprzedanych egzemplarzy „Hołdu dla Katalonii” wynosiła 900). Można oburzać się na jego przejawy homofobii, mniej oczywistego antysemityzmu albo całkiem otwartej i irytującej mizoginii.

Można zrobić z niego przedmiot iście orwellowskiego przemysłu, który ze względu na swoją polityczną użyteczność od lat rozwija się w najlepsze. W 1984 r. w USA sprzedawano dziennie 50 tys. egzemplarzy jego „Roku 1984”. W Wielkiej Brytanii sprzedano prawie pół miliona egzemplarzy „Folwarku zwierzęcego”. W krajach komunistycznych, zwłaszcza w Polsce, obie książki były niezbędnym przetrwania zarówno wśród normalnych ludzi, jak i (a może zwłaszcza) komunistycznego establishmentu. Czytali go wszyscy.

Do dziś rekordy popularności biją dywagacje pod hasłem: „Co myślałby Orwell o...?”. Co myślałby Orwell o polowaniu na czarownice z czasów McCarthy'ego, wojnie w Wietnamie, wojnie w Iraku, premierze Tonym Blairze, kryzysie finansowym, brexicie? Każdy ma gotową odpowiedź, bo każdy zna Orwella. Przynajmniej ze słyszenia.

George Orwell, zdjęcie niedatowane

Zapach soli

Zamieszanie powstało po części z jego winy. George Orwell był bowiem mistyfikatorem, który krył swoją tajemnicę, zacierał ślady, często przekonywał świat, że jest kimś innym, niż się wydaje. Ukończył prestiżową szkołę dla bogatej klasy średniej i arystokracji w Eton, by potem twierdzić, że „solą ziemi” są robotnicy i niższa klasa średnia. Stał się piewą tradycji angielskiej, i to w jej najbardziej parafialnym, przasnym wydaniu – tej, której symbolem jest „gwar przy stole w pubach Soho” oraz „stare panny jadące w mglisty niedzielny poranek na rowerze do kościoła”, choć pierwsze teksty pisał po francusku, a z czasem stał się rzecznikiem Hiszpanów, Polaków, Ukraińców i innych narodów, o których przeciętny Anglik nie miał pojęcia.

Pracował przez pięć lat jako imperialny policjant w Birnie, choć imperializm obok komunizmu i faszyzmu był według niego największym zagrożeniem ludzkości w XX wieku. A w ogóle, to nie nazywał się Orwell, tylko Eric Blair; pseudonim przyjął, by rodzina nie musiała wstydić się za jego nieudane książki.

Chciał być traktowany jak pełnowymiarowy pisarz, choć nie godził się na prymat sztuki nad polityką. „Każdą linię poważnego tekstu, którą stworzyłem po 1936 r., napisałem – bezpośrednio lub pośrednio – przeciwko totalitaryzmowi i w imię demokratycznego Socjalizmu” – pisał w 1946 r.

Do końca życia uważał się za „demokratycznego Socjalistę” (należał, by pisać małe „d” i duże „S”), ale dzielił społeczeństwo na klasy. Sam, jak mówił, na-

leżał do „niższej wyższej klasy średniej” (*lower upper middle class*) – tak subtelnego wyróżnienia mógł dokonać tylko Anglik wykształcony i osadzony w kuriozalnym systemie społecznym tego kraju. Biednym współczuł, choć – jak pisał – nie lubił ich zapachu. Nawiasem mówiąc, przesiał smrodem biedoty – żona Orwella Eileen narzekała na „obrzydliwy zapach” męża.

Autentycznie nie interesował go sukces, ani literacki, ani towarzyski. Wolał ludzi zniszczonych i przegranych – wszyscy jego fikcyjni bohaterowie są właśnie tacy. Wszystkie swoje książki uważał za porażki. Nie była to wizja świata, której uczono w Eton.

W przeciwieństwie do wielu sobie współczesnych i późniejszych brytyjskich „szampańskich socjalistów”, którzy warunki życia robotników znali z opisów gazetowych, Orwell naprawdę porzucił uprzywilejowane życie. Spędził wiele miesięcy wśród paryskich kloszardów i londyńskiej biedoty, żyjąc na dnie razem z nimi. Ale przecież doskonale wiedział, że w każdej chwili może wypłynąć na powierzchnię – i zawsze wypływał. Przemierzając slumsy East Endu, szedł niemal dosłownie po śladach Jacka Londona – sam prawdopodobnie nie wiedziałby, gdzie szukać właściwych adresów. Gdy potem opisywał swoje przeżycia, czerpał z Londona, niekiedy przerabiał jego anegdoty na swój styl.

Walczył ryzykując życie w obronie hiszpańskiej republiki, ale był typowym angielskim ekscentrykiem: na kilka miesięcy przed śmiercią protestował przeciwko rolls-royce'om na ulicach Londynu. ➔

→ Sławił zalety brytyjskiej kuchni i bronił jej przed zagranicznymi naleciałościami, sławił piękno wiosny i ropuchy zwyczajnej...

Skrzywienie empiryczne

Czy można być mistyfikatorem, nie będąc kłamcą? Bo przecież jeśli Orwell kłamał, to cała jego legenda jest funta kłamków warta. Oto jeszcze jeden pryszczaty mitoman, niespełniony buntownik, który stawia sobie za cele – jak sam pisał – „wydostanie się z porządnego świata”, wyzwolenie spod władzy rodziców i triumfalne odrzucenie wartości klasy społecznej, w której przyszedł na świat. I jeśli traktować bunt Orwella jako manifest polityczny – a przecież dla jego wielu krytyków ranga dzieła pisarza nie wykracza poza efektowny pamflet – to nie warto się nim zajmować.

Jednak Orwell nie był politykiem, w każdym razie nie miał duszy polityka. Był poszukiwaczem prawdy, a polityka – jak pisał – „to bastion kłamstw, uników, obłędu, nienawiści i schizofrenii”. Nie miał złudzeń co do istoty polityki: „Język polityki – i jest to prawdziwe w odniesieniu do wszystkich partii politycznych, od konserwatystów do anarchistów – został skonstruowany po to, by kłamstwa brzmiały jak prawda, by morderstwo stało się godne szacunku, by powietrzu nadać pozór ciała stałego”.

Polityki jednak nie odrzucał. Etyczna i estetyczna odraza, którą do niej czuł, nie przeszkadzała mu umieścić jej w centrum twórczości. „Najbardziej zależało mi na tym, by zrobić z pisarstwa politycznego sztukę” – pisał w 1946 r. I dodawał: „wszędzie tam, gdzie zabrakło mi politycy z tego celu, efektem były martwe książki, (...) zdania bez znaczenia, dekoracyjne przymiotniki i ogólna blaga”. Był artystą, który precyzję i jasność słowa uznawał za broń niezbędną do obalenia „bastionu”, odkłamania polityki, odkrycia w niej trwałych wartości, które nie ulegają sezonowym zmianom, a weryfikowane są przy pomocy jasnego kryterium: obiektywnej prawdy.

„Orwell uważał język za partnera prawdy – pisał w książce „Orwell's Victory” Christopher Hitchens, brytyjski pisarz, intelektualista i aktywista lewicowy. – Dlatego w jego rozumieniu »poglądy« nie mają wielkiego znaczenia. Ważne jest nie to o co myślisz, ale jak myślisz. Polityka, w sensie walki partyjnej, nie ma

W epoce narcyzmu i triumfu literackiej wsobności

proponowane przez Orwella reguły pisania są wręcz obraźliwe dla zapatrzonego w siebie poszukiwacza indywidualnego stylu.

większego znaczenia, natomiast trwale są zasady, którym należy być wiernym”.

Wielu jego krytyków wyśmiewa taką postawę. Zwłaszcza dzisiaj – nie da się przecież poważnie pisać o wartościach w czasach, w których wszystko podlega prawu dekonstrukcji i pokusie sarkazmu. Orwellofskie „skrzywienie empiryczne” bywa zresztą nieznosne: on naprawdę wierzył, że prawo do pisania o niedoli mają tylko ci, którzy jej doświadczyli, albo poznali z bliska. Czy aby współczuć choremu na raka, trzeba samemu zachorować? Czy chory na raka automatycznie współczuje innemu choremu? Orwell czasem sprawia wrażenie, jakby tak właśnie myślał. Nie znosił zwłaszcza lewicowców, którzy teoretyzowali na temat losu biedoty nie mając pojęcia, w jakich warunkach żyją ludzie, których interesy rzekomo reprezentowali.

W epoce narcyzmu i triumfu literackiej wsobności jego surowy styl wydawać się musi anachroniczny i „antyartystryczny”, a niektóre oceny, również samooceeny, dziś brzmią wyzywająco. „Notatki, takie jak moje, mają tylko tę wartość, że służą przypomnieniu szczegółów” – pisał. Proponowane reguły pisania są wręcz obraźliwe dla zapatrzonego w siebie poszukiwacza indywidualnego stylu, ale cytujemy je:

- nigdy nie używaj metafory, porównania ani innej figury stylistycznej, jeśli kiedykolwiek widziałeś ją w druku;
- nigdy nie używaj długiego słowa, jeśli wystarczy krótkie;
- jeśli możesz jakieś słowo wyrzucić, wyrzuć je;
- nigdy nie używaj strony biernej, jeśli możesz czynnej;
- nigdy nie używaj słowa obcego, pochodzącego z żargonu naukowego albo innego żargonu, jeśli możesz użyć angielskiej mowy potocznej;

– złam każdą z tych reguł, jeśli alternatywą byłoby użycie języka w barbarzyński sposób.

Oto Orwell: konserwatywno-liberalny socjalista w ekscentrycznej, angielskiej wersji. Nie był jednak intelektualistą. Jako Anglik uznałby to określenie za obraźliwe.

Dowody życia

Jak rozumieć jego życiowe i literackie mistyfikacje? Po co odbywał wędrowki do dzielnic biedy w Paryżu i Londynie, kopalni północnej Anglii, do Katalonii w ogniu wojny domowej? Traktował je nie tylko jak zdobywanie materiału do pisania, choć motyw ten musiał być dla niego niezwykle ważny, skoro przy słabym zdrowiu decydował się na wyprawy związane z ryzykiem. Jednej z wizyt w kopalni na północy Anglii o mało nie przypłacił śmiercią, w Hiszpanii został postrzelony przez faszystów w gardło.

Jednak równie istotnym powodem jego życiowych eksperymentów było poczucie wyobcowania, którego doświadczał od najmłodszych lat – od czasu pobytu w szkole w Eton, z dala od domu i rodziców, gdzie musiał znosić tyranie nauczycieli i bezsilną samotność. To ta „heroiczna samotność” pchała go ciągle w ekstremalne sytuacje. Orwell, niczym narkoman, przekraczał dawki i sprawdzał, jak zareaguje jego organizm. „Czułem, że muszę uciekać od każdej formy dominacji jednego człowieka nad drugim – pisał później w relacji z północnej Anglii „Droga na molo w Wigan”. – Chciałem zatopić się, zejść między ludzi wykorzystywanych, być jednym z nich – stać po ich stronie w walce z tyranami. I głównie dlatego, że musiałem to wszystko przemysleć w samotności, wykształciłem w sobie nadzwyczaj silną nienawiść wobec dyskryminacji”.

Być może w tej bezkompromisowości i testowaniu granic wytrzymałości jest szczypta masochizmu, a nawet więcej niż szczypta; może Orwell – polityczny odkrywca z imperialnym i półarystokratycznym garbem na plecach – próbuje przy pomocy fantazji literackiej okiełznać system, w którym żyje. Jednak jakkolwiek traktować jego mistyfikacje, nie są one kłamstwem. Są raczej dowodem życia Orwella w ciągłym intelektualnym i emocjonalnym wirze.

Socjalista spiera się w nim z byłym imperialistą, zubożały arystokrata z „face-



MARY EVANS PICTURE LIBRARY

Edmund O'Brien jako Winston Smith w filmie Michaela Andersona „1984”

tem z ulicy”, polityczny rewolucjonista z kulturowym konserwatystą odrzucającym fetysze nowoczesności: telewizję, sieci księgarskie, kolorowe magazyny, mechaniczną muzykę i wegetarianizm. Tak – wegetarianizm też. Na szczęście lubił jazdę na rowerze.

Od początku kariery literackiej „wiedziałem, że mam łatwość w składaniu słów i potrafię stawiać czoło niemiłym faktom” – pisał. Jaka szkoda, że tak wielu jego czytelników – przedstawicieli już kilku generacji – nie posiada choćby tej drugiej cechy. Bez niej bowiem ciężko zrozumieć, o co mu chodziło.

Przełom

Każdy podpira się Orwellem. Socjaliści, bo był socjalistą, trockiści, bo był trockistą (w rzeczywistości nim nie był – był antystalinistą), zimnowojenne jastrzębie, bo nie lubił sowieckiej Rosji. Nadaje się do straszenia młodzieży, przedstawiany jako ideał prawości i czystości moralnej. Zawłaszczenie Orwella jest szczególnie popularne wśród tych, którzy w przeciwieństwie do niego nie „potrafią stawić czoła niemiłym faktom” i redukują jego rolę do politycznego trybuna.

Do polityki w wydaniu partyjnym stracił złudzenia już w Hiszpanii w 1937 r. A po krótkim epizodzie w Niezależnej Partii Pracy podkreślał, że „pisarz może pozostać uczciwy tylko wtedy, gdy jest wolny od partyjnych etykiet”. Dziś zdania te brzmią jak banał, ale w latach 30. XX wieku banałem nie były. W istocie bowiem opowiadając się za swoją wła-

sną wersją socjalizmu („jakkolwiek ją rozumieć” – dodawał), Orwell wypowiadał wojnę nie tylko Związkowi Radzieckiemu, ale – co w tym wypadku ważniejsze – europejskiej lewicy otumanionej przez komunistów.

Przełomem był pobyt w Hiszpanii, gdzie walczył w oddziale antystalinowskiej milicji POUM, uznawanej przez sowieckich agentów za piątą kolumnę generała Franco. Obok anarchistów POUM staje się głównym celem ataków wysłanników Stalina. Dowódca oddziału Andres Nin ginie, Orwell – jak dziś wiadomo – jest przez komunistów inwigilowany i tylko szybkiej ewakuacji z Barcelony zawdzięcza życie.

Zdradzony, pozbawiony złudzeń co do istoty sowietyzmu, wraca z Hiszpanii do Anglii. Z przerażeniem odkrywa, że cała lewicowa prasa kłamie na temat haniebnej roli komunistów w wojnie.

Widzi, jak ludzie dotychczas bliscy mu ideowo uznają moskiewskie czystki i głód na Ukrainie za cenę, którą warto zapłacić dla dobra socjalizmu. Doświadcza z bliska tego, co w „Roku 1984” nazwie „zmiennością przeszłości”: każde wydarzenie można unieważnić albo nadać mu inne znaczenie, każdy wpis do książek historycznych zlikwidować zgodnie z zaleceniem partii, każdy „niemiły fakt” może trafić do najbliższej „luki pamięci”.

Dziś niełatwo docenić heroizm Orwella z tamtych lat, jego odwagę, bez której nie powstałyby „Hołd dla Katalonii”, „Folwark zwierzęcy” i „Rok 1984”. „Folwark zwierzęcy” zostaje odrzucony przez

dwóch wydawców, zanim w okrojonym nakładzie trafia do druku. W czasach, gdy większość brytyjskich torysów ciągle biła pokłony przed Stalinem i sowieckimi sojusznikami, Orwell-socjalista, jako jeden z nielicznych obok Arthura Koestlera, krzyczał o czystkach, rzeziach, przemocy wpisanych integralnie w system komunistyczny. Pisał prawdę o zbrodni w Katyniu i pakcie Ribbentrop–Mołotow, kiedy w Anglii o nich milczano, bronił Polski i polskich żołnierzy na Wyspach, kiedy po wojnie lądowali bez środków do życia.

Dlatego od lat 30. Orwell stał się dla lewicy ulubionym chłopcem do bicia. Isaac Deutscher, Edward Said, Salman Rushdie i wielu innych nigdy nie przebaczyli mu, że dostarczył amunicję wrogowi.

O tym, jak silna jest nienawiść lewicy do Orwella, można się było przekonać w 1998 r., gdy ujawniono listę kryptokomunistów, sporządzoną i przekazaną przez niego na kilka miesięcy przed śmiercią brytyjskiemu kontrwywiadowi. Dla niektórych współczesnych komentatorów brytyjskich współpraca z własnym wywiadem w celu ochrony państwa przed komunistycznymi agentami (niektórym osobom z listy dowiedziano współpracę z KGB) stanowi podstawę do oskarżeń nawet 50 lat po fakcie. Orwella uznano za „histerycznego antykomunistę”, „ułomnego bohatera”, skrytego antysemitę (na liście pojawiały się odwołania do żydowskiego pochodzenia niektórych osób), homofoba (byli również homoseksualiści), mizogina (były kobiety). Inni twierdzili, że „akt zdrady” Orwella wynikał z jego frustracji i choroby.

A może George Orwell nie potrzebuje tłumaczeń? Był antykomunistycznym socjalistą i poważnie traktował oba człony tego określenia. Obawiał się potęgi komunizmu, poznał osobiście jego niszczącą moc i robił, co mógł, by mu się przeciwstawić. Brytyjski *establishment* był wówczas inwigilowany przez Sowietów. Może to nie Orwell powinien tłumaczyć się ze swoich wyborów?

Nasz ci on

O tym, jak silne jest przyciąganie Orwella, niech świadczy fakt, że nawet jego otwarci polityczni przeciwnicy chcieliby należeć do jego obozu. Na przykład do dziś istnieją ludzie, którzy uważają, że „Rok 1984” nie jest książką o Związku Radzieckim. Ich argumentacja wygląda mniej więcej tak: owszem, „Folwark

→ „zwierzęcy” to satyra na Rosję sowiecką, jednak „Rok 1984” to coś znacznie bardziej poważnego. Powieść ta kreuje obraz świata podzielonego na kilka ośrodków władzy absolutnej, w których Związek Radziecki jest zły, ale Stany Zjednoczone nie są lepsze. W końcu akcja utworu dzieje się w Oceanii. Gdyby chciał pisać o Rosji, umieściłby ją w Eurazji. „Rok 1984” to wizja świata, który powstanie w wyniku realizacji planu Marshalla.

Autor co prawda nigdy podobnej interpretacji dzieła nie przedstawiał, ale różni mądrzy ludzie, np. amerykański pisarz Gore Vidal, wierzyli, że właśnie tak się sprawy mają. Pisarz brytyjski Anthony Burgess zupełnie poważnie przedstawiał argument, że skoro stołówka w Ministerstwie Prawdy przypomina kantinę BBC, w której Orwell jadał pracując dla korporacji, to książka jest w istocie krytyką powojennej Wielkiej Brytanii pod rządami labourystów. Interpretację tę – z zupełnie innych powodów politycznych – podchwycili amerykańscy antykomuniści. Jak pisał Orwell w eseju „Zapiski o nacjonalizmie”: „tylko inteligent może wymyślić coś podobnego; żaden zwykły człowiek nie mógłby być takim głupcem”.

Charakterystyczne, że ze zrozumieniem książki nie mieli problemów mieszkańcy krajów komunistycznych, a szczególnie komunistyczna cenzura, która jasno odczytywała sensy utopii Orwella: od smrodu klatek schodowych przez przejściowe trudności z zaopatrzeniem w żyłki do skomplikowanej struktury „dwójmyślenia” i „nowomowy”. Timothy Garton Ash cytuje rosyjską poetkę Natalię Gorbaniewską, która „czuła, jakby Orwell pochodził z Europy Wschodniej”. Andrzej Bobkowski pisał w liście do Jerzego Giedroycia: „Nie jestem w stanie pojąć, jakim sposobem (Orwell) był w stanie tak dogłębnie zrozumieć istotę komunizmu w tym czasie, w którym tak mało ludzi zdawało sobie sprawę z prawdziwej istoty tej nowej religii. Tę powieść-nie-powieść jestem skłonny traktować jako najlepsze dotychczas ujęcie i wyjaśnienie leninizmo-stalinizmu stosowanego”.

Orwell nie ukrywał, że punktem wyjścia jego książki jest system sowiecki, jednak od publikacji w 1949 r. sprzeciwiał się spłyconym, szczególnie amerykańskim, interpretacjom „Roku 1984”. Podkreślał, że jego książka „nie jest atakiem na Socjalizm”, ani tym bardziej na Partię Pracy („którą popieram”), ale „obrazem



George Orwell i jego pies, zdjęcie niedatowane

perwersji, jakie mogą być skutkiem gospodarki centralnie planowanej, i które zostały po części zrealizowane w komunizmie i faszyzmie. Nie uważam, że społeczeństwo, które opisuję, m u s i powstać. Jednak wierzę, że (...) coś przypominającego ten twór m o ż e powstać”.

Orwell wyraźnie odcinał się zarówno od prób redukcji wymowy jego książki do pamfletu politycznego na komunizm, jak i tłumaczenia jej jako pesymistycznej utopii. Nie należy się jednak dziwić, że z opinią „jedynego sprawiedliwego” wśród intelektualistów zaczadzonego komunizmem wydał się nadzwyczaj łakomym kąskiem dla prawicy. Autor, którego uważa się za twórcę terminu „zimna wojna”, został porwany na wiele lat przez konserwatywnych ideologów, którzy – podobnie jak ich koledzy z drugiej strony barykady – wyjmowali cytaty Orwella z kontekstu i manipulowali jego myślami w iście orwellowski sposób.

Jak pisał w przedmowie do ukraińskiego wydania „Roku 1984”: „nie po to uznawałem potrzebę rozbicia sowieckiego mitu, by wzmocnić kapitalizm, ale by odrodzić ruch socjalistyczny”. W 1941 r. przedstawił swój program społeczny, w którym znalazło się miejsce na

reformę rolną, nacjonalizację kopalń, banków, kolei i wielkich gałęzi przemysłu, ograniczenie zarobków najbogatszych, likwidację Izby Lordów (choć utrzymanie monarchii).

Ale i tak każdy by go chciał. Politycy potrzebują go po to, by jego pasją w dążeniu do prawdy przesłonić własną hipokryzję, moralny relatywizm, skarlenie perspektyw. Christopher Hitchens mówił: „Ludzie chcą mieć to, co – jak im się wydaje – miał Orwell. Chcą Orwellowskiej prawości, autentyczności i uczciwości. Chcą się o niego otrzeć, szukają okazji, by znaleźć się z nim na zdjęciu. Tylko nie zdają sobie sprawy z wymagań, które trzeba spełnić”.

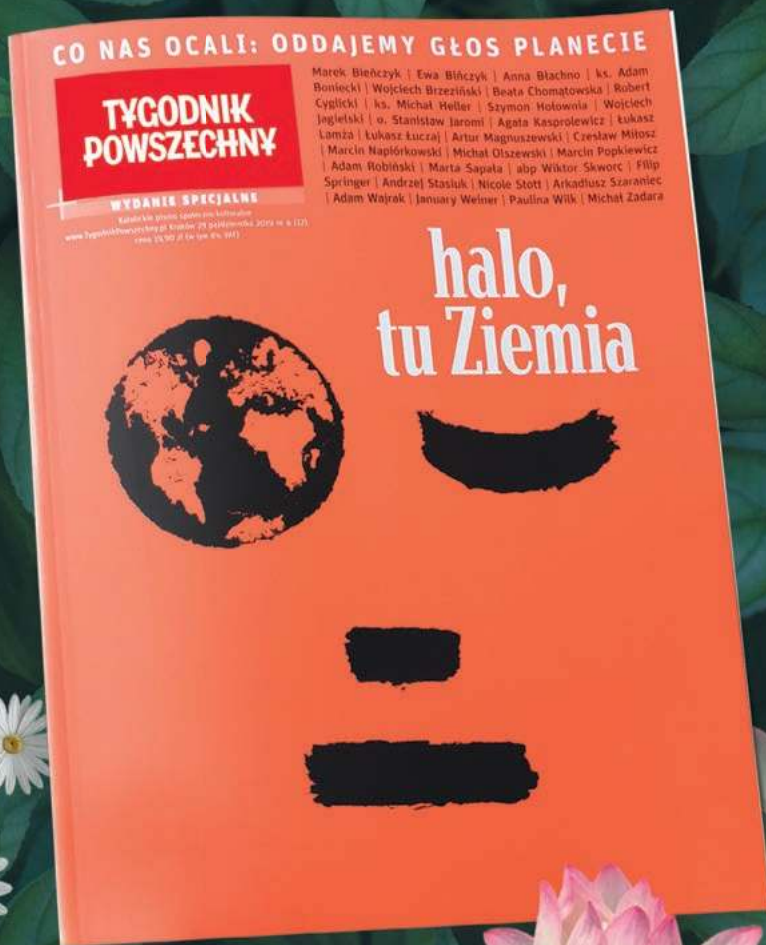
Nie lubił masowej produkcji, nie ufał intelektualistom i idealistom, był podejrzliwy wobec rządów, cenił proste umiejętności, kochał tradycję, zachwycał się angielskimi ekscentryzmami. Publicysta Geoffrey Wheatcroft trafił chyba w sedno, gdy pisał: „Żyjemy w czasach, w których prawica zwyciężyła w polityce, a lewica zwyciężyła w kulturze. Orwell wolałby, żeby było na odwrót”. Ciekawe, jak patrzyłby na dzisiejszy populizm.

W najlepszych tekstach jego język jest prosty i klarowny. Wierzył, że jeśli ktoś nie potrafi pisać prosto o rzeczach zwykłych, nie napisze nic sensownego o rzeczach skomplikowanych. Pisał nie tylko o totalitaryzmie i demokracji, o uczciwości i lojalności, ale również o parzeniu herbaty, sklepach z rupieciami i nostalgii za angielskim morderstwem w klasycznym stylu. Był pionierem tego, co dziś nazywa się „studiami nad kulturą”.

Doceniał wagę szczegółu, rozkoszował się codzienną obserwacją świata. „Jak długo starczy życia, będę (...) kochał fakturę ziemi i odczuwał radość w obcowaniu z twardym przedmiotem i ścinkami nikomu niepotrzebnych informacji” – pisał w 1946 r. Wiedział, że na tych pozornie nieważnych skrawkach rzeczywistości można zbudować literackie piękno. Jeden z moich ulubionych esejów, co tam esejów – zwykły tekst na pięć stron (ten o ropusze zwyczajnej), tak się kończy: „W fabrykach zbrojeniowych piętrzą się stosy bomb atomowych, patroli policyjne krążą po mieście, z megafonów płynie rzeka kłamstw, lecz Ziemia nadal krąży wokół Słońca i ani dyktatorzy, ani biurokraci, choć bardzo im się to nie podoba, nie odwrócą tego”.

© DARIUSZ ROSIAK

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!



Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne w sklepach z dobrą prasą
i na powszech.net/ziemia

TYGODNIK
POWSZECHNY





Sekretarz stanu Angelo Voiello (Silvio Orlando) wśród kardynałów w serialu „Nowy papież”

CUDOWNE ROZMNOŻENIE PAPIEŻY

Franciszek i Benedykt XVI, Pius XIII, Franciszek II i Jan Paweł III
– żeby zobaczyć, co naprawdę reprezentują, potrzebujemy ich coraz więcej i więcej.
Spór o wartości toczy się dziś w Netfliksie i HBO.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

DWA LATA TEMU PISAŁEM DLA „Tygodnika” o rewelacyjnym serialu HBO „Młody papież” w reżyserii Paolo Sorrentino. Za klucz posłużył mi dowcip o dwóch kandydatach na księży obciążonych słabością do nikotyny. Kleryk nieroztropny pytał, czy można palić podczas modlitwy i – oczywiście – otrzymywał odpowiedź odmowną. Kleryk roztropny, chcąc usłyszeć co innego, zapytał zamiast tego, czy można się modlić zawsze, nawet podczas palenia. Teraz ten dowcip stracił swój niszowy urok, przechodząc do głównego nurtu kultury. W dostępnym już na Netflixie filmie Fernando Meirellesa „Dwóch papieży” kardynał Jorge Bergoglio opowiada go Benedyktowi XVI. Ten się nie śmieje.

Kontynuując tę dobrą tradycję, chciałbym teraz za punkt wyjścia obrać inny dowcip. Niestety – on też został właśnie spalony. A jeszcze niedawno to była świetna zagadka, z gatunku tych najprostszych, a zarazem najtrudniejszych: „Jak się witają papieże?”. Koniec zagadki. Oczywiście rozwiązanie brzmiało: „Wcale. Papież jest zawsze tylko jeden”. Abdykacja Benedykta XVI sprawiła, że zagadka z obszaru logiki przesunęła się raczej w kierunku pytania o protokół dyplomatyczny, tracąc swój urok. Ale – jak pokazuje „Dwóch papieży” i będący kontynuacją „Młodego papieża” serial HBO „Nowy papież” (też w reżyserii Sorrentino) – fantazja o witaniu się papieży wciąż pozostaje intrygującym pretekstem do snucia opowieści.

Baśń o wędrowcu i jego cieniu

Baśnie wychowują. Rozumie to doskonale każdy, kto kiedykolwiek opowiadał bajkę na dobranoc albo jej słuchał.

Bohater baśni jest ucieleśnioną wartością – reprezentuje najważniejsze normy pewnej grupy społecznej. W typowych baśniach (nazwijmy je bajkami magicznymi, wbrew temu, czego wymagała w szkole pani polonistka) wartość ujawnia się w pełni, gdy bohater poddawany jest próbie. Musi pokonać smoka, przechrzcić trolle, nie okazać lęku przed niedźwiedziem albo udobruchać gniewnego Dziadka Mroza swym dobrym sercem i uprzejmością.

Choć w bajkach magicznych naszą uwagę zwykle przykuwają fantastyczne potwory i magiczne przedmioty, to właśnie próby są najbardziej różnicującym elementem opowieści. To tutaj wy-

chowawcza funkcja baśni ujawnia się w pełni. Inna próba czeka na bohaterów męskich, inna na kobiecych, bohaterowie plebejscy sprostac muszą innemu zadaniu niż ci o szlachetnym rodowodzie. Trudno o lepszą ilustrację tego, jak za pomocą opowieści przenoszą się i utrwalają stereotypy i związane z nimi role społeczne.

Wśród setek bajek magicznych analizowanych przez Władimira Proppa, ojca założyciela nowoczesnych badań nad tym gatunkiem, znaleźć można ocean fascynujących przykładów. W czasie gdy koledzy walczą, biegają i podnoszą ciężary, bajkowe dziewczynki muszą sprzątać, gotować, pilnować ognia, w najlepszym razie wykazać się odwagą czy zdolnością do utrzymania tajemnicy. Chłopski bohater raczej przechrzty smoka, niż będzie go zabijał w otwartej walce, dla rycerza byłoby to z kolei ujmą na honorze.

W ten sposób baśnie porządkują świat, wskazując każdemu jego miejsce i właściwy sposób wypełniania obowiązków. Są narracyjnym sposobem przeżywania obrzędów przejścia. Zamiast przechodzić trudną próbę, która uczyni z nas wojownika, rzemieślnika, kapłana albo po prostu dorosłego członka plemienia, słuchamy o tym, jak kto inny taką próbę przechodzi. Bohater czy bohaterka są w tym przypadku jak gdyby naczyniem, w które na czas opowieści wlewają swą tożsamość słuchacze, przeżywając fantastyczne przygody *per procura*.

Co mają do tego papieże z Netflixu i HBO? Otóż przeglądając swe przepastne archiwa Władimir Propp zwrócił uwagę na niezwykle szeroko rozpowszechniony motyw podwojenia bohatera. W niezliczonych baśniach na całym świecie protagonista zyskuje złego brata (albo siostrę), którego najważniejszą cechą charakterystyczną jest to, że nie reprezentuje wartości, którą ucieleśnia bohater. Jeżeli Dorołka, wpadłszy do studni, wypełnia wzorowo wszystkie postawione przed nią zadania, wykazując się uprzejmością, taktem i gospodarnością, to możemy być pewni, że jej zła siostra, znalazłszy się w tym samym położeniu, postąpi dokładnie odwrotnie. W ten sposób wiele bajek opowiedziane zostaje tak naprawdę dwa albo i trzy razy. Raz dla bohatera, a następnie dla jego brata lub braci.

Fałszywy bohater, pisze Propp, jest Sobowtórem tego prawdziwego. Do tego stopnia, że często ważnym motywem baśni staje się ich nierozróżnialność. Mo-

tyw złego brata wprowadza więc postać Doppelgängera – Sobowtóra, który jest jak gdyby cieniem protagonisty. Gniew za złe uczynki dublera często spada na herosa i odwrotnie – Sobowtór nierzadko zgłasza roszczenia do nagrody, a bohater udowodnić musi swą tożsamość i potwierdzić przysługujące mu prawo do skarbu. Na koniec jednak – jak to w bajce – sprawiedliwości staje się zadość. Dobro zostaje nagrodzone, zło – ukarane. Następuje pochwała wartości i potępienie antywartości. Można więc powiedzieć, że dzięki Sobowtórowi w bajce może pojawić się Różnica, w ramach której poszczególne dziwaczne nierzadko przygody i wybory bohaterów sprowadzone zostają do jednej, prostej, znaczącej opozycji.

Dlaczego opowieści na całym świecie tak chętnie posługują się tą nieoczywistą techniką, gdy chcą opowiedzieć o kluczowych dla danej wspólnoty wartościach i normach? Otóż dopiero podwojenie bohatera daje nam możliwość odpowiedzi na pytanie „co by było, gdyby?”. Dopiero obecność Sobowtóra pozwala pokazać, jak wyglądałby świat pozbawiony wartości, którą bohater ucieleśnia, albo po prostu oparty na innych wartościach. Wartość nie jest wartością, jeżeli nie ma dla niej alternatywy. Norma nie ma mocy sprawczej, jeżeli równoległe do historii wypełnienia nie przedstawimy opowieści o jej złamaniu.

Do tego właśnie potrzebni nam są wędrowiec i jego cień. Dopiero sugerując alternatywę pokazujemy, że przebyta droga nie była zasługą samej drogi, lecz wędrowca. Że nie tak szedł, jak go ścieżka prowadziła, lecz tak, jak mu dyktowały wartości. W ten oto sposób podwojenie nadaje sens działaniu, przenosząc je z krainy tego, co po prostu jest (ontologia), w domenę tego, co mogłoby być inaczej (aksjologia).

Drugi papież

To właśnie centralny motyw „Dwóch papieży” i „Nowego papieża”. Fantazja o podwojeniu tego, co powinno być jednostkowe, pozwala nam znacznie ostrzej nakreślić aksjologiczne ścieżki. Dopiero w obliczu alternatywy naprawdę wyraźne staje się to, co wyjątkowe dla bohatera – wartość, którą uosabia.

W tym kontekście mniej istotna staje się kluczowa różnica między „Dwoma papieżami” a „Nowym papieżem”. Choć jeden obraz opowiada o postaciach →

→ „rzeczywistych” (Bergoglio/Franciszek i Benedykt XVI), a drugi o „fikcyjnych” (Pius XIII, Franciszek II, Jan Paweł III), to w obydwu przypadkach najważniejsze jest jednak właśnie napięcie budowane przez figurę podwojenia. Trudno jednoznacznie powiedzieć, kim właściwie jest Benedykt XVI, dopóki nie posadzi się go na jednej kanapie z Franciszkiem. Zestawieni w jednym kadrze, we wspólnym dialogu, uwięzieni w którymś z niezwykle malowniczych wnętrzy Watykanu czy Castel Gandolfo, stają się na chwilę wyłącznie przeciwieństwami, zgodnie z maksymą, w myśl której znaczące jest tylko to, co różne. Jeden z nich staje się więc bohaterem trwania, drugi zaś – bohaterem zmiany.

Choć Ratzingera i Bergoglio łączy tak wiele, w „Dwóch papieżach” istotne okazują się tylko różnice między nimi – zręcznie przez reżysera sprowadzone do wyrazistych rysów charakterologicznych. W zestawieniu ze swym Sobowtorem każdy z papieży staje się doskonale spójny. Gusta muzyczne, kulinarne, czy sportowe – wszystko to tylko kolejne kody, za pomocą których na ekranie wyraża się Różnica. To ta sama Różnica, która ożywia spory o teologię czy rolę instytucji Kościoła. Ale ileż trudniej byłoby nakręcić film o tych sprawach bez pomocy wszystkich tych rekwizytów, które stają się funkcjonalne właśnie dzięki podwojeniu!

Jeszcze ciekawiej przedstawia się sprawa z „Nowym papieżem”. Młody papież – grany przez Jude’a Lawa bohater pierwszej odsłony serialu Sorrentino – jest już przecież zbudowany na figurze Różnicy. Jego „młodość” staje się znacząca i zrozumiała w zestawieniu ze „starością” Kościoła, Kontynentu i wiary, które w iście spenglerowskim stylu krytykuje filmowy Pius XIII. Cywilizacja europejska upada, bo przestaliśmy poważnie traktować swoje wartości. Młody papież przynosi więc odrodzenie etyczne i estetyczne poprzez radykalne odcięcie od tego, co było. Kiedy Pius XIII zapada w śpiączkę, na jego miejsce wybrany zostaje najpierw Franciszek II, później zaś papieżem zostaje ekscentryczny brytyjski arystokrata sir John Brannox. W ten sposób na scenę wprowadzona zostaje figura „nowego papieża” (a nawet „nowych papieży”), w zestawieniu z którymi Pius XIII staje się nagle „stary” (choć w innym niż pierwotnie znaczeniu).



Benedykt XVI (Anthony Hopkins)

Konstrukcja nowej serii opiera się więc na dwóch parach opozycji: stary – młody, stary – nowy.

Odcienie fanatyzmu

Pius XIII, bohater „Młodego papieża”, eksplloatował paradoksy radykalnego konserwatyzmu. Jego urzędowanie cechował powrót ceremoniału, całowanie papieskich butów, nimb tajemniczości... Z kolei pontyfikat filmowego Franciszka II to festiwal radykalnego postępu. W mocno naznaczonej komizmem dygresji Paolo Sorrentino pokazuje, co by się stało z dwutysiącletnią instytucją Kościoła, gdyby nowo wybrany papież w pełni poważnie potraktował wezwania do ubóstwa, współczucia, otwartości i służenia bliźnim. W tym sensie, fikcyjny Franciszek II jest nie tylko Sobowtorem swego fikcyjnego poprzednika, lecz – może przede wszystkim – rzeczywistego papieża Franciszka. Nie rezygnuje ze złotego krzyża, lecz odbiera złoto wszystkim kardynałom; nie jedzie na Lampedusę, lecz zaprasza uchodźców do Watykanu; nie porządkuje finansów Stolicy Apostolskiej, lecz pierwszego dnia swego pontyfikatu nakazuje rozdanie całego jej majątku ubogim.

Na szczęście dla przerażonych kardynałów Franciszka II, radykała zmiany, zastępuje Jan Paweł III – radykał „drogi środka”. To być może najciekawszy wątek serialu Sorrentino. Czy można być fanatykiem umiaru? „Papież przeciętności i normalności przeciw wszelkiemu ekscentryzmowi” – prezentuje swą kandydaturę jeden z kardynałów, a jego motto, w pewnym sensie, realizował będzie filmowy Jan Paweł III.



Kard. Bergoglio / Franciszek (Jonathan Pryce)

W ogóle problem fanatyzmu staje się jednym z centralnych zagadnień „Nowego papieża”. Jaka jest granica między wiarą a fanatyzmem? Czy można w coś wierzyć naprawdę, całym sobą, i nie stać się fanatykiem? To pytanie zadawał nam już w pierwszej serii pogrążony teraz w śpiączce Pius XIII. Czy postawa prawdziwie religijna jest możliwa do pogodzenia z liberalizmem przyznającym drugiemu człowiekowi prawo do innej wiary, innego osądu rzeczywistości? Czy wierząc naprawdę, że określone postępowanie prowadzi do wiecznego potępienia, zachowalibyśmy moralne prawo do tolerancji? Czy otwartość, dialog, uznanie wielości prawd w wielu religiach są do pogodzenia z traktowaniem własnej poważnie?

„Nowy papież” każe nam zadać te pytania z pełną mocą. I to nie tylko na linii katolicyzm–reszta świata, lecz także wobec różnych modeli katolicyzmu. Czy będąc w pełni przekonanym tradycjonalistą, możemy zostawić przestrzeń dla liberałów w instytucjonalnej strukturze Kościoła? I – przeciwnie – czy wierząc w zmianę, możemy zasiadać na jednej kanapie z tymi, którzy robią wszystko, by zmiana ta nie doszła do skutku?

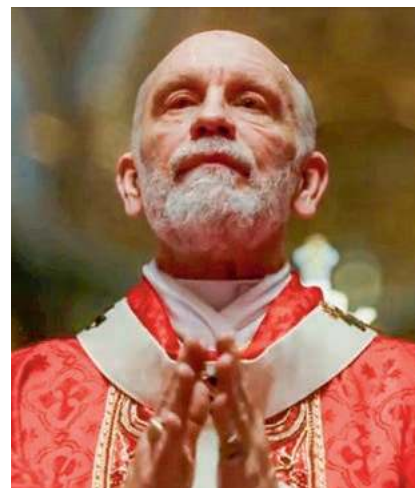
Jeżeli naprawdę wierzymy w wartości, które ożywiają nasze postępowanie, czy nie powinniśmy dążyć za wszelką cenę do uśmiercenia i wchłonięcia naszego Sobowtóra? Patrząc zaś z drugiej strony: czy ceną za pełnię, jaką daje nam dopiero współistnienie z Doppelgängerem, nie jest przypadkiem rezygnacja z całkowitej pewności własnych racji? Używając baśniowego języka: musimy wybrać, czy chcemy mieć rację, czy chcemy mieć brata.



Pius XIII (Jude Law)



Franciszek II (Marcello Romolo)



Jan Paweł III (John Malkovich)

Podglądanie w Watykanie

Dopiero kopie tworzą oryginał – twierdzi francuski filozof Jacques Derrida w książce „Prawda w malarstwie”. Wniosek ten wyprowadza z analizy interesującej instalacji pt. „Wielka kulturowa bananeria”, gdzie prawdziwemu bananowi towarzyszy kilkanaście plastikowych kopii, które wraz z upływem czasu i psuciem się oryginału ujawniają swą syntetyczną naturę. Derrida przekonuje jednak, że dokładnie ta sama zasada obowiązuje we wszystkich przypadkach serii. Im więcej odbić, podwojeń, powieleń, im bardziej wszechobecne stają się kopie, tym bardziej wzrasta wartość oryginału. Więcej nawet! Gdyby nie było kopii, nie można by mówić o oryginale. To, co jednostkowe i naprawdę niepowtarzalne, co niepoddane reprodukcji i powieleniu, nie jest oryginałem, lecz po prostu jest.

Pomyślmy tylko o tłumie kłębiącym się o każdej porze dnia wokół „Mony Lisy”. Tysiące turystów pragną przez chwilę ujrzeć choćby skrawek oryginału, choć przecież nie dostrzegą na nim nic, czego nie znalazłyby z kubków, koszulek, plakatów, z nieskończonych powieleń, powiększeń, a nawet pastiszów ikonicznego tajemniczego uśmiechu. Niepowtarzalna aura oryginalnego dzieła sztuki rodzi się dopiero w dobie reprodukcji technicznej. Podobnie rzecz się ma z podwojeniem papieża. Kopie wskazują jedynie na oryginał, podkreślają jego znaczenie. Im dłuższa seria, im więcej powtórzeń, tym – paradoksalnie – potężniejsza aura Tego Jedyne.

Podwojenie papieża nie jest więc zwykłym podwojeniem. Dwóch papieży to

nie dwóch braci, dwie Dorotki czy dwóch Iwanów. Papież czerpie swą charyzmę z tego, że jest jeden – nieusuwalny, niezastępowalny, niedzielący się władzą z nikim. W „Dwóch papieżach” argumenty te, paradoksalnie, podnosi Bergoglio, zniechęcający Benedykta XVI do ustąpienia. Wiąże się z tym chętnie eksploatowany przez socjologów i historyków problem transmisji charyzmy. Król może wychować i namaścić swego następcę, prezydent ustępując z urzędu oddaje obywatelom prawo wyboru kolejnego, ale ciągłość instytucji papiestwa opiera się na współdziałaniu wielu skomplikowanych mechanizmów.

**Kopie papieża
wskazują na oryginał,
podkreślają jego znaczenie.**

Im więcej powtórzeń,
tym potężniejsza aura
Tego Jedyne.

Konklawe to rozwidlające się ścieżki, dzięki którym możliwe stają się równoległe linie czasu. Wyborowi nowego papieża towarzyszą giełdy kandydatów, przypisywanie „filozofii”, „polityk” i „orientacji”, pełne napięcia wyczekiwanie, a potem fantazjowanie o tym, „co by było, gdyby?”. Nie dziwi więc kluczowa rola konklawe, bezlitośnie eksploatowanego estetycznie w obydwu filmach.

To zresztą dobry punkt wyjścia do refleksji nad estetyzacją katolicyzmu w tych produkcjach. Dla amerykańskiego widza katolicyzm jest tą bardziej tajemniczą wersją chrześcijaństwa, pełną łaciny i niezrozumiałych rytuałów, rozgrywającą się od stuleci w tych samych majestatycznych wnętrzach i przedziwnych kostiumach. Ale wróćmy do konklawe.

W rzeczywistym świecie odpowiednikiem podwojenia papieża staje się następstwo. Dwaj papieży nie powinni się witać, nie powinni współistnieć w tym samym czasie. Nie widzimy ich jednocześnie, równoległe, właśnie po to, by nie tworzyć efektu podwojenia. Choć oczywiście historycy mieliby do powiedzenia kilka ciekawych rzeczy na temat współistnienia więcej niż jednego papieża, a i współczesność przynosi nam w tym zakresie zaskakujące zwroty akcji. Kiedy kończę ten tekst, opinię publiczną rozgrzewa właśnie kontrowersja wokół krytycznej wobec Franciszka książki, której współautorem jest Benedykt XVI. Choć papież emeryt wycofał się publicznie ze współautorstwa, po raz kolejny podkreślając wierność podjętemu zobowiązaniu do milczenia, prasa z lubością pisze o „konflikcie dwóch papieży”. Ot, kolejny interesujący przykład na to, jak wzajem napędzają się rzeczywistość i popkulturowa fikcja. Można podejrzewać, że gdyby nie niedawne premiery omawianych tu tytułów, krytyka zawarta w książce Benedykta XVI i kardynała Roberta Sarah nie zainteresowałaby mediów. Z kolei trwające kontrowersje z pewnością stanowią doskonałą reklamę dla filmowych opowieści o podwojeniu papieża.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



LEONARDO CENDAMO / GETTY IMAGES

Édouard Louis, Turyn 2014 r.

Zamknijcie się!

WOJCIECH ENGELKING

Nie jest pierwszym zachodnim prozaikiem, za sprawą którego myślenie klasowe wróciło do literatury, ale tym, w którego książkach wybrzmiało ono najgłośniej.

NIE BYŁO ŁATWO PRZEKONAĆ GO DO tej rozmowy. Kiedy Édouard Louis usłyszał, że „Tygodnik Powszechny” to pismo katolickie, co dla niego znaczy: prawicowe, nie chciał się zgodzić. Twierdzi, że nie rozmawia z gazetami prawniczymi.

Idę w to: – Właściwie dlaczego? Nie uważasz, że zamykając się w swojej bańce masz nieco mniejsze szanse na przekonanie innych do racji, które uważasz za słuszne?

– To nie ma nic wspólnego z przekonaniem! – odpowiada Louis od razu. – Po prostu: prawicowcy są przeciwko wszystkiemu, co reprezentuję, można powiedzieć: przeciwko takim ludziom jak ja. Nienawidzą gejów i klasy robotniczej, a ja nie zamierzam rozmawiać z kimś, kto nazywa mnie pedałem.

Chcę mu przerwać, ale kiedy Louis mówi, jest to niemożliwe. Ciągnie więc dalej: – Prawicowcy chcą takich jak ja zniszczyć. I jednym ze sposobów, w jaki to robią, jest zmuszanie do odpowiedzi na pytania, w których są od razu zawarte odpowiedzi.

Kto usłyszał tę tyradę, może łatwo go wziąć za liberała w wersji z lat 90., który uważa własne poglądy za uniwersalnie obowiązujące. Nic bardziej mylnego: całe życiowe doświadczenie Louisa każe mu liberałów nie cierpieć równie mocno jak prawicowców. A to całe doświadczenie jest w tym przypadku także całą jego literaturą: nie autofikcją, lecz autobiografią. Tak też jest z jego bestsellerem „Koniem z Eddym”, który właśnie ukazał się w Polsce.

Od Eddy'ego do Édouarda

– Wydaje mi się, że to najważniejsza rzecz we współczesnej awangardzie, w pisarstwie takim jak moje, Karla Ovego Knausgård czy Ta-Nehisi Coatesa – mówi, kiedy na chwilę zarzucamy rozmowę o polityce. – Odkrywamy nowe możliwości, jakie daje autobiografia. Dla nas to nie pisanie wspomnień, jak robią niektórzy uznani pisarze, którzy uważają, że po stworzeniu powieści opowiedzą czytelnikowi o swoim życiu; to pisanie samym sobą i tym, kim się jest.

W przypadku Louisa: także tym, kim był. Urodził się 27 lat temu nie pod tym nazwiskiem. Przez pierwszych kilkanaście lat w jego dokumentach stało: Eddy Bellegueule. Amerykańskie imię wzięło się z tego, że ojciec był fanem hollywoodz-

kich filmów i uznał, iż to właśnie imię pasuje do chłopaka, który kiedyś ma okazać się twardym mężczyzną. Jako Bellegueule wychował się w Hallencourt, niewielkiej robotniczej wiosce na północy Francji, gdzie jako dorastający gej doświadczył wszystkich potworności, jakich mógł doświadczyć. „Koniec z Eddym” obfituje w opisy homofobicznej przemocy, zarówno fizycznej, jak i słownej.

Louis: – Problem w tym, iż oni nie wiedzieli, że to przemoc. Jeżeli ojciec mówił mi, że zachowuję się jak baba, uznawał to po prostu za stwierdzenie. Ja też długo tak myślałem.

Jego wyzwolenie z Hallencourt można podzielić na dwa etapy. Pierwszy opisany jest w „Końcu z Eddym”. Wieńczy go przyjęcie bohatera-autora do liceum w Amiens, do którego dostał się dzięki działalności w kółku teatralnym. O drugim jeszcze w formie literackiej nie opowiedział. To jego wyjazd do Paryża, gdzie podjął studia w elitarnej École Normale Supérieure, pełen wstydu co do własnego pochodzenia.

– Kiedy przybyłem do stolicy, miałem północnofrancuski akcent – mówi. – Wiesz, akcenty są we Francji niesamowicie ważne: oficjalny to, rzecz jasna, ten ze stolicy, którego nawet nie uważa się za rodzaj akcentu, bo przecież jest dominujący. Ludzie pytali mnie: „Dlaczego tak mówisz?”, a potem jeszcze zwracali uwagę na moje zęby. Rodzice nie mieli pieniędzy, żeby iść do dentysty, a kolegów z Paryża interesowało, dlaczego moje uzębienie jest tak zniszczone.

– Zazdrościłeś im? – pytam. Odpowiada natychmiast: – Oczywiście. Dorastając, potomkowie burżuazji wciąż podróżowali, widzieli inne kultury, czytali książki, oglądali filmy. A ja? Nie miałem pojęcia, co to takiego. Czasami ich okłamywałem, mówiąc, że moi rodzice są profesorami. Starałem się być jak oni. Po przyjeździe do Paryża kupiłem sobie tani, trzyczęściowy garnitur, bo byłem przekonany, że tak ubierają się młodzi ludzie...

Dzieje garnituru opisał w „Historii przemocy”; tam dodał także, kto uświadomił mu, że w podobnym stroju nie przypominają jednak dzieci burżuazji, którym zazdrościł. Był to Didier Eribon, francuski socjolog i filozof, na którego wykład w Amiens raz poszedł. Prowadził zajęcia dla doktorantów; Louis był dopiero na drugim roku licencjatu. Z wykładowcą łączyło go podobne pochodzenie – przez

Eribona opisane w wydanym w ubiegłym roku w Polsce „Powrocie do Reims”. Kiedy zamieszkał w Paryżu, zaprzyjaźnił się z nim.

– Michel Foucault stwierdził kiedyś, że przyjaźń to sposób na życie. Wydaje mi się, że wiem, co miał na myśli – mówi Louis dziś. – Z Foucaultem łączy mnie zresztą wiele doświadczeń: on także był gejem, także wyzwolił się ze swojej biologicznej rodziny i dopiero w Paryżu zbudował nową.

– Na czym właściwie polega twoja relacja z Eribonem? – pytam. – Jest twoim mistrzem, ty jego uczniem? On dla ciebie figurą ojca, ty dla niego figurą syna?

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiada Louis. – To raczej, by tak rzec, nieustająca rozmowa. To Didier zresztą nakłonił mnie do tego, żebym pisał. Opowiadałem mu o swoim dzieciństwie, dorastaniu, on pierwszy powiedział, żebym zrobił z tego powieść.

Dwa ciała Francuza

– Kiedy przyjechałem do Paryża i zacząłem czytać książki, oglądać filmy – opowiada Louis – zauważyłem, że nie znajduję w nich takich postaci jak mój ojciec albo matka. Rozgniewało mnie to. „Dlaczego nas nie pokazaliście? – chciałem zapytać. – Halo, przecież tutaj jesteśmy, w zasięgu waszego wzroku!”. „Koniec z Eddym” to była moja zemsta, przede wszystkim na literaturze.

Dopiero później Louis zauważył, iż jego sprostowanie jest właściwie powtórzeniem tego, którym w dzieciństwie często dzielili się z nim rodzice.

– Powtarzali: „Nikt o nas nie mówi. Nikt się o nas nie troszczy. Nikt nas nie reprezentuje”.

– Nie możesz jednak powiedzieć – stwierdzam – że tematyka klasowa i problem biedy były w kulturze twojego kraju ostatnich lat nieobecne.

– Obecna była, ale bardzo rzadko – kontruje Louis. – I często w sposób nieuczciwy. Istniały dwa sposoby portretowania biednych: albo karykaturalny, jako brzydkich, złych, śmierzdzących, albo jako ludzi dobrych i nieskazitelnych, co w sumie było taką samą karykaturą. Dobry dzikus czy zły dzikus, ale zawsze dzikus, prawda?

Louis nie jest pierwszym pisarzem tego stulecia, który zaproponował klasowe myślenie w literaturze (bądź też: klasowe myślenie literaturą). Powiązał

jednak klasowość z cielesnością: – Francuska burżuazja ma dwa ciała. Jedno to takie, którym je, defekuje, całuje się, przytula, uprawia seks; drugie to to, o którym opowiadają książki albo filmy. A mój ojciec, moja matka tego drugiego ciała nie mają. Kiedy otworzą książki, gazety, nie odnajdą w nich siebie ani kogoś, kto by o nich mówił. Zostali pozostawieni z ciałem biologicznym, co do którego nauczono ich, że się go na zewnątrz nie pokazuje.

To ciało biologiczne, uważa Louis, jest we współczesnym świecie poddane nie, jak często się mówi, wykluczeniu, lecz prześladowaniu: – Moja powieść z 2018 r. jest o ojcu, którego ciało zostało zniszczone przez długoletnią pracę w fabryce: dziś ma problemy z chodzeniem i oddychaniem. We Francji, kiedy jesteś biedny, jest o wiele bardziej prawdopodobne, że umrzesz przed sześćdziesiątką.

O ile jednak w roku 2018 wiadomo – po części przynajmniej – czego się po Louisie spodziewać, to w roku 2014 było zupełnie inaczej. Kiedy ukazał się „Koniec z Eddym”, z miejsca został bestsellerem (do dziś tylko w samej Francji sprzedano 300 tys. egzemplarzy); w następnym roku Louis został nominowany do Nagrody Goncourtów. Nie oznacza to jednak, że cała francuska elita kulturalna z miejsca go uznała. – Och, co to, to nie. Elita przez długi czas mnie atakowała. Nie podołało im się, że piszę wprost o seksualności, o sprawach podziału klasowego. Pewien reżyser chciał tę książkę sfilmować, ale w naszym Ministerstwie Kultury powiedziano mu, że nikt nie da na ekranizację publicznych środków. Zarzucano mi, że to żadna autobiografia, że nieprawda, że wszystko wymyśliłem. To była prawdziwa przemoc: jeden z dziennikarzy pojechał zrobić zdjęcia mojej rodziny i sfotografował matkę na tle domu, który nawet nie był moim domem, żeby przekonać wszystkich, iż wcale nie wyrosłem w takiej biedzie, o jakiej napisałem w powieści!

– A właściwie co na to ojciec i matka? – pytam. – Było jak z Knausgårdem, którego rodzina po publikacji „Mojej walki” wykłęła, ba, stryj chciał mu wytoczyć proces?

– Było różnie – odpowiada Louis po chwili milczenia. – Ojciec zauważył w mojej powieści dwie rzeczy. Po pierwsze: że byłem wobec niego uczciwy. Przedstawiłem go jako homofoba i rasistę, →

→ owszem, ale dlatego, że nim był. Ale napisałem też, że gdy w naszej wiosce pobito geja, to ojciec poszedł mu pomóc, a jego najlepszy przyjaciel był Arabem. Po drugie: tata dzięki tej książce zrozumiał, jakie piekło przeżywałem jako nastolatek. Historia naszej relacji wcześniej była historią ciszy, jaką między nami stworzyła homofobia, a dziś otwarcie pyta mnie, z kim jestem, czym zajmuje się mój partner... Z matką jest zupełnie inaczej. Uważa, że zdradziłem naszą rodzinę, że wszystkich okłamałem. Wiesz, jakie pytanie mi zadała, kiedy w końcu z nią o mojej powieści porozmawiałem? „Dlaczego opowiedziałeś całemu światu, że jesteście biedni?”. Prawicowcy nauczyli ludzi, że sami ponoszą winę za to, iż nie mają pieniędzy. A skoro ludzie, którzy cierpią, wstydzą się przyznać do tego cierpienia – jak można uczynić ten świat lepszym?

Po sukcesie

„Koniec z Eddym” wydaje się powieścią, jaką pisze się raz w życiu: nie można mieć w sobie tyle gniewu, by starczyło go na jeszcze jedną książkę. Kiedy to mówię, Louis, który w dwa lata po debiucie wydał „Historię przemocy”, a w zeszłym roku „Kto zabił mojego ojca?”, zupełnie się nie zgadza: – Pytasz o to, czy umarł we mnie gniew? Dla mnie to pytanie powinno brzmieć: jak ty możesz nie być wściekły, kiedy się rozglądasz i widzisz taką klasową przemoc, rasizm i homofobię naokoło?

– To co cię teraz gniewa? – pytam.

– To samo, co gniewało, kiedy pojawiłem się w Paryżu i zrozumiałem, że klasa panująca nie myśli o nas, biednych. Uwielbia być nami poruszona, ale nie obchodzi jej nasze cierpienie. Dlatego piszę książki: żeby ludzie z klasy dominującej poculi się źle z tym, co się naokoło dzieje. Pytam ich: jak możecie nie mieć problemu z tym, że ludzie śpią na ulicach? To dzięki gniewowi – dodaje – możesz stworzyć piękno, bo dzięki niemu zauważasz, ile brzydoty jest wokół ciebie. Czuję

Nie uznaję dialogu za nadrzędną wartość.

Demokracja polega też na tym, że niektórym można od razu zamknąć usta, gdy głoszą poglądy, na które nie może być zgody – potwierdza Louis.

się coraz bardziej wściekły, bo obserwuję wschodzącą technokrację na całym świecie, która coraz mniej martwi się o ludzi. Nigdy nie powinniśmy zapominać, że polityka to sprawa życia i śmierci.

To, co Louis mówi, może się zdawać pozą. W końcu „Koniec z Eddym” i „Historia przemocy” zapewniły mu wstęp do grona luminarzy francuskiego świata artystycznego i całkiem spory majątek.

– Nie czujesz się teraz częścią kulturalnej burżuazji? – pytam.

– Obiektywnie rzecz biorąc – odpowiada – należę do tego świata, masz rację. Mieszkam w Paryżu, mam dyplomy, zarabiam pieniądze, piszę książki i artykuły, jestem częścią klasy dominującej. Dla mnie to jednak tylko sytuacja, która umożliwia pisanie o klasie, z której się wywodzę. Będąc jej częścią, wiele elementów przemocy uznawałem za normalne: na przykład głód. Bo to było przecież normalne, że ludzie chodzą głodni. Dziś, ze względu na swój przywilej, mogę zobać, czym było to naprawdę.

– A pieniądze? – dopytuję. Louis przez chwilę jest zmieszany: – Dzięki nim mogę pomagać rodzicom... albo mojemu partnerowi, gdy był bezrobotny. No i kupuję mi czas na pisanie i inne rzeczy.

Te „inne rzeczy” to np. chodzenie na protesty. Kiedy we Francji wybuchł ruch żółtych kamizelek, Louis specjalnie przyjechał z Nowego Jorku, żeby wziąć udział w manifestacji przeciwko polityce Emmanuela Macrona. Na zdjęciach z tamtego dnia, ubrany w granatową bosmankę, zdecydowanie wyróżnia się z tłumu.

– Uważasz – pytam – że ten ruch i inne rzeczy, które dzieją się w Europie, mogą zniszczyć dominację prawicowców?

– Owszem – odpowiada Louis – ale sądzę, że to zajmie dużo czasu. Sytuacja dziś to rezultat długiej historii instytucjonalnej lewicy zdradzającej biednych ludzi.

Moja babcia urodziła się w latach 30. i nie miała politycznej świadomości, że jest kobietą. Moja matka już to wiedziała. A lewica nie potrafiła tego wyartykułować. To uczyniło prawicę potężną, co jednak przecież zajęło lata. Kiedy Le Pen pierwszy raz we Francji wchodził do parlamentu, szokiem było, że zdobywa 4 procent. Dziś cieszymy się, że radykalna prawica ma tylko 30 procent. Tak samo będzie z lewicą. No i to musi być przede wszystkim ruch światowy. Biedni ludzie wciąż głoszą przeciwko własnemu interesowi klasowemu; wciąż nie czują się częścią dyskursu.

– Ale – przypominam temat, od którego zaczęliśmy nasze spotkanie – przecież ty nie chcesz z nimi rozmawiać, skoro są wyborcami Marine Le Pen!

– Tak, takich chcę uciszyć. Nie uznaję dialogu za nadrzędną wartość. Moim zdaniem demokracja polega też na tym, że niektórym można od razu zamknąć usta, gdy głoszą poglądy, na które nie może być zgody – potwierdza Louis. – Podobnie jednak chcę uciszyć Emmanuela Macrona, bo nigdy go nie przekonam, by stanął po stronie biednych i podniósł podatki bogatym. Mogę zmienić jednostki. Dla przykładu: po spotkaniu w pewnym liceum podeszła do mnie młoda dziewczyna i powiedziała, że przed lekturą „Koniec z Eddym” była homofobką. A po wieczorze promującym „Historię przemocy” [powieści, w której Louis opisuje gwałt, którego w wigilijną noc w Paryżu dokonał na nim młody Berber – WE] – kobieta, która została zgwałcona kilkanaście lat wcześniej, powiedziała, że moja książka dała jej odwagę, aby o tym mówić, odzyskać swoją historię. To dla mnie największa nagroda, o wiele ważniejsza od dobrej recenzji w czasopiśmie. Wiesz, to jest tak, że są dwa rodzaje książek: te, które każą czytelnikowi się zamknąć, i te, które każą mu się otworzyć. Ja chcę pisać takie, które każą się zamknąć klasie panującej i otwierają tych, którzy dotychczas nie mieli głosu.

© WOJCIECH ENGELKING

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

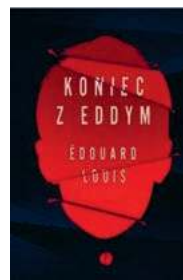
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



Édouard Louis
KONIEC Z EDDYM

przeł. Joanna
Polachowska, Pauza,
Warszawa 2019



JAN KULMA

Wisława Szymborska i Joanna Kulmowa w Zakopanem, 2009 r.

Portret w odbiciu

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Była fascynującą kobietą, damą z szaleństwem w oku. „Ja – ni to liryczka, ni satyryczka. Ni zgorzkniała, ni dziecięca. Zbuntowana, a wbrew sobie promienna” – przedstawiała się na blogu, który zaczęła prowadzić jako 85-latka.

TRWA RYWALIZACJA KRAKOWSKICH WYDAWCÓW w szlachetnej konkurencji „kto wyda więcej listów Wisławy Szymborskiej”. Ostateczny wynik pewnie jeszcze długo nie będzie znany: wszak Szymborska miała wielu przyjaciół, a wysyłanie pocztówek było jej największym

hobby. Z szuflad do księgarni trafiła już korespondencja poetki z Kornelem Filipowiczem („Najlepiej w życiu ma Twój kot”, Znak 2016), Zbigniewem Herbertem („Jacyś złośliwi bogowie zakpili z nas okrutnie”, a5 2018) i Stanisławem Barańczakiem („Inne pozytywne uczu-

cia też wchodzą w grę”, a5 2019). Ledwie kilka tygodni po premierze tej ostatniej Znak wydał listy Szymborskiej i Joanny Kulmowej.

„Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągnij się!” to bardziej album niż książka: z 204 listów i kartek zrobiono 400-stronicowy tom, zamieszczając obok drukowanego tekstu efektowne reprinty prawie wszystkich oryginałów. Aż dziwne, że nie zreprodukowano kopert – rzecz byłaby jeszcze grubsza i lepiej wyglądała na półce z nowościami. Oczywiście jest to korespondencja wizualnie efektowna – Szymborska wyklejała urocze kolaże, a Kulmowa używała kolorowej papeterii, miała ładny charakter pisma i czasem coś narysowała – ale czytelnicy spodziewający się tzw. solidnej lektury mogą być rozczarowani. Zwłaszcza że istotna część książki to życzenia świąteczne o niewielkiej wartości poznawczej i literackiej →

→ (zresztą: kto lubi czytać cudze życzenia?). No ale prawdziwą bohaterką jest tutaj osoba, o której wie się za mało. A warto by wiele.

Wbrew sobie promienna

Szyborska traktowała listy do przyjaciółki raczej jako dowód pamięci niż okazję do autorefleksji i sprawozdań. Główną bohaterką jest tu Kulmowa, która pisała częściej i obszerniej, nie przejmując się brakiem odpowiedzi; główną zaś zaletą tomu – przybliżenie jej postaci i twórczości.

„Przyjaciółka moja i poetka grubo niedoceniana, z którą nie wiem, czybym Cię poznała, może zresztą tak, zależy w jakiej by była formie” – pisała o niej Szyborska w liście do Kornela Filipowicza z 1968 r. Minęło pół wieku, a określenie „poetka grubo niedoceniana” pozostaje aktualne: Kulmowa znana jest przede wszystkim jako autorka książek dla dzieci, z „Wio, Leokadio!” i „Stacją Nigdy w Życiu” na czele. Jej ballady, psalmy, epigramy, powieść, wspomnienia, dramaty i słuchowiska nigdy nie zyskały wielkiej popularności czy uznania. Ostatni tomik – „Jeszcze 37 wierszy” – wydała w 2017 r.

Urodziła się w 1928 r. w Łodzi w dośkonalej mieszczańskiej rodzinie, ocalała z Zagłady i z Rzezi Woli. Studiowała aktorstwo i reżyserię, pracowała w teatrach, pisała do „Szpilek” (za opublikowany tam pamflet „Pozytywni” dostała zakaz druku). W 1961 r. razem z mężem, reżyserem i filozofem Janem Kulmą, przeprowadziła się do Strumian pod Szczecinem, aby – jak wyjaśni w jednym z listów do Szyborskiej – „popracować spokojnie i nie biegać za forszą”. Ze starej chaty na skraju Puszczy Goleniowskiej zrobili salon artystyczny i dom otwarty: otwarty dla zwierząt w potrzebie, przyjaciół z miasta, wiejskiej utalentowanej młodzieży. Żyli skromnie i twórczo – Joanna zarabiała pisanie dla dzieci i tłumaczeniem librett, Jan jeździł do Szczecina i Warszawy reżyserować spektakle i programy telewizyjne. W stanie wojennym przystąpili do bojkotu państwowych teatrów. On zatrudnił się jako organista, ona zaczęła śpiewać w parafialnym chórze.

Pewnie zostaliby w Strumianach do końca życia, gdyby nie transformacja i norki. W 1996 r. zostali wypędzeni

przez cuchnącą hodowlę, która powstała w okolicy. Wrócili do Warszawy, do małego mieszkania, które załatwił im kiedyś Putrament. Zajęli się pisaniem wspomnień. Ona zmarła latem 2018 r., on rok później. „Tak wygląda prawdziwa poetka...” dedykowana jest jego pamięci.

Cieszę się, że jesteś na świecie

Trwająca blisko 60 lat korespondencja Szyborskiej i Kulmowej zaczęła się – naturalnie – od poezji. W 1954 r. Kulmowa posłała swoje wiersze do redagowanego przez Szyborską działu poezji „Życia Literackiego”. I w przeciwieństwie do setek debiutantów dostała pozytywną – choć sztywną – odpowiedź: „Szanowna Koleżanko! Lektura Waszych wierszy sprawiła nam żywą przyjemność. Rzadko zdarza się, aby debiutant w poezji lirycznej tak wytrawnie posługiwał się materiałem poetyckim. (...) Oczekujemy następnej porcji utworów (może mocniej niż poprzednie związanych z dniem dzisiejszym?) i serdecznie życzymy powodzenia w dalszej pracy. Za Zespół – Szyborska”. Przygotowanie „następnej porcji” zajęło Kulmowej trzy lata – kolejny list od Szyborskiej, pisany już zupełnie innym stylem, pochodzi z 1957 r. Jeszcze długo korespondencja ma charakter

zawodowy – jedna poetka wciąż wysyła wiersze, a druga wciąż przeprasza, że nie może ich szybko wydrukować. Z listu na list życzliwość zamienia się w komitęwę, a wreszcie w czułość. „A w ogóle cieszę się, że jesteś na świecie” – wyznaje Szyborska 15 sierpnia 1967 r.

Dziwna to była przyjaźń. Oparta na zachwycie nie tyle osobą, co twórczością (Szyborska do Kulmowej, 12 lutego 1960: „Jest Pani zdumiewającym zjawiskiem w Polsce – wcale nie usiłuje Pani pisać niezrozumiałych wierszy. Uważam, że to w tej chwili jest nowatorstwo”; Kulmowa do Szyborskiej, 20 lipca 1972: „Całuję w pokorze Twoje pięty, bo jesteś cudowną poetką”). Przyjaźń utrzymywana głównie na papierze, na stare lata już tylko od świąt do świąt (18 grudnia 1992 r. Szyborska konstatuje: „Dobrze, że są jakieś Świąta, bo inaczej nie miałybyśmy okazji do wymiany życzeń i NAPRAWDĘ serdecznych myśli”).

Nie wiadomo, ile razy się widziały: kilka, może kilkanaście? Pierwszy raz na pewno we wrześniu 1963 r. Szyborska zaprosiła Kulmową do Wierzyńka, żeby uczcić Nagrodę Państwową, którą dostała za tomik „Sól”. Wypiły bruderszaft i zjadły smażone rydze – tak dobre i sycące, że wspominały ten posiłek do końca życia. Ostatni raz spotkały się chyba jesienią 2009 r., gdy udało im się zgrać terminy urlopów w Zakopanem. Z tego wyjazdu pochodzą ich jedyne wspólne zdjęcia: w ciemnych okularach, twarzami do słońca, siedząc na leżakach na zielonym stoku Gubałówki i popijając czerwone wino.

Ciągle wybieram się do Ciebie

Na ogół było im do siebie za daleko. Szyborska wciąż zapraszała Kulmową do Krakowa, ale starała się nie wywierać presji. W czerwcu 1965 r. napisała na odwrocie pocztówki ze zdjęciem atrium luksusowego włoskiego hotelu (kolumny, stiuki, palmy, pozłacane krzesła): „Przesyłam Ci fotografię mojego przedpokoju, chodzi o to, żebyś się stopniowo do mojego mieszkania przyzwyczajała i przy odwiedzinach (namawiam i proszę!) nie doznała szoku. Tymczasem, nim się wybierzesz, przyslij swoje okropne



wiersze". Szesnaście lat później: „Proszę (...) wytłumaczyć się z górskich wycieczek. Góry, jak wiadomo, znajdują się na południu PRL, do niektórych zaś droga prowadzi przez Kraków. W Krakowie mieszka kol. Szyborska, której się nigdy nie odwiedza. Czy to się godzi?!” (4.12.81).

Kulmowa z kolei przez 30 lat uparcie próbowała ściągnąć Szyborską do Strumian. Pierwszy raz w grudniu 1962 r., gdy były jeszcze na „pani”: „Każdy gość jest istotą błogosławioną na tym pustkowiu. Zaczynamy lubić świat i ludzi. Prosimy bardzo, aby odwiedziła nas Pani w wolnej chwili – tu można naprawdę wypocząć i popracować”. Wymyślała coraz to nowe zachęty: „gwarantowany własny pokój i własny spokój”, wycieczki trabantem, tandem i badminton, pierogi z jagodami, towarzystwo pięciu kotów i dwóch psów. Szyborska zwodziła ją zapewnieniami i pytaniami (listopad 1969: „ciągle, bez najmniejszej przerwy w myślach, wybieram się do Ciebie”, listopad 1978: „Kornel się pyta, czy tam w Strumianach można łowić ryby”), ale nigdy się nie zjawiała.

Najbliżej przyjazdu była chyba po śmierci Filipowicza. 7 marca 1990 r. Kulmowa wysłała jej krótki list: „Kochana Wisławo! Dowiedziałam się, że pan Kornel nie żyje. Właściwie nie umiem znaleźć słów – tak mało wiemy o sobie wzajemnie. Tylko tyle: jeśli Ci ciężko, to przyjeźdź i pobądź u nas w Strumianach. Jesteśmy. Zawiadom – kiedy”. Szyborska odpowiedziała po miesiącu: „To nawet byłoby dobrze znaleźć się wśród przyjaciół w miejscu, które nie kojarzyłoby mi się z żadnym poprzednim pobylem w towarzystwie Kornela. Ale na razie przyjechać nie mogę – mam trochę kłopotów z porządkowaniem spuścizny po Nim (...) do maja jestem więc w Krakowie – może Tobie będzie to gdzieś po drodze? Bardzo bym się cieszyła, o ile w ogóle umiem się cieszyć”.

Równie poruszająca jest ostatnia wymiana listów. W grudniu 2011 r. Kulmowie zaprosili Szyborską do pałacu w Śmiłowicach na „zwariowany jubel dla paru osób” z okazji 87. urodzin Jana i 59. rocznicy ślubu. Kusili: „Wszystko przewidzieliśmy, bo w naszym szaleństwie jest metoda. (...) Będziesz miała w Śmiłowicach komfortowy pokój, żeby się wyspać samotnie lub pospołu. Będą rydze na maśle i grzane wino. Nie będzie zdjęć, telewizji. Pełna anonimowość. I będziesz miała prawo palić swoje cieniut-

kie papierosy!”. „Oj Kulmowie, Kulmowie! – odpisała Szyborska. – Zaproszenie Wasze ponętne, ale ja się w zimie nigdzie nie ruszam, więc obecna na Waszym wariackim świętowaniu nie będę... Ale dołączam wierszyk dla Kulmy z racji Jego nieokragłego Jubileuszu. Wszyscy się w pokłonie skulmy / przed postacią Jasia Kulmy!”. Nie przyznała się, że dopiero co przeszła operację i że jest bardzo słaba. Zmarła niecałe dwa miesiące później.

Ataków się nie boję, poklepywania – bardzo

Powraca w tej korespondencji wątek polityki, od której obie próbowały i obie nie potrafiły uciec. A więc najpierw Marzec 1968. Kulmowa dopiero w lipcu zdobywała się na list: „Jakoś powoli zaczynam ruszać się i mówić, a nawet pisać – ale z początku było to coś w rodzaju psychicznego paraliżu” (3.7.68). W tym i kolejnych listach wspomina o konsekwencjach, jakie ponoszą z mężem za odmowę udziału w partyjnej nagonce na kolegów-literatów: o groźbie „wyrzucenia na goły bruk leśny”, wymazywaniu nazwisk z druku. 3 października 1968 r.: „Moja biedna szkapka Leokadia wyleciała galopem z planu wznowień wydawniczych – ktoś tam pomylił konia dorożkarskiego z trojańskim. Powieść »dorosła«, nad którą siedziałam dwa lata z hakiem, sama ostatnio wycofałam z ISKIER (...) Materia jej zbyt drażliwa, żeby mogła narażać bohaterkę na publiczną obławę – bo to historia trzynastolatki ukrywającej się w czasie okupacji ze względu na bardzo brzydkie pochodzenie. Więc atak albo oklaski – wszystko byłoby dziś niesmaczne. No i przy okazji szpile w autorkę (»Czyżby wspomnienia osobiste?«, napisał przy zapowiedzi tej książki »Głos Szczeciński«). Ataków się nie boję. Poklepywania – bardzo”. Co dziwne i niezrozumiałe, w żadnym przypisie do listów z tego okresu nie wspomniano o istotnym kontekście: Kulmowa była Żydówką, która wojnę przeżyła po aryjskiej stronie.

Przy zupełnie odmiennych temperamentach Szyborska i Kulmowa miały bardzo podobną wrażliwość i postawę życiową. Były sceptycznymi optymistkami, bez złudzeń wobec ludzkości i z nieustannym zachwytem wobec świata, na który starały się patrzeć jak dzieci. Dziękując przyjaciółce za bajkę „Mysz jak nie mysz”, Szyborska za-

pewnia: „choć kłębią się w pobliżu różne znajome dzieci, książeczki Twojej im nie dam, bo chcę ją sama mieć, a zresztą ja też jestem dziecko”. Kilka listów później Kulmowa czyni podobne wyznanie: „nie piszę dla okropnej masy bachorów, tylko dla tych trzech na tysiąc (może milion?), które są w jakiś sposób mną – dzieckiem” (19.9.78). Innym razem określa swoją twórczość jako „opium dla wąskich kręgów elity infantylnej, czyli takich dzieci, co są jak starzy, ewentualnie takich starych, co są jak dzieci” (18.10.86). I stwierdza, że jej emocje „siedzą w przedziale 13–17 lat, a tylko intelekt pierniczeje” (27.10.80).

Ważny w tej korespondencji jest też wątek ekologiczny. Kulmowa o przyrodzie pisze w prawie każdym liście, często zbliżając się do frazy poetyckiej: „Ot, wiosna puka do wrót żurawiami. Zamarzyły przebiśniegi w ogródku, strzyka po kościach. Czas między palcami przecieka. (...) sama krązę po przedwiosennym lesie. Dużo, dużo papierów już wychodzi spod ziemi. Gdzieniedzie śród igliwia czerwone kwiaty butli po oleju” (5.4.78). 27 sierpnia 1977 r. rozpacza: „Zza okna ciągnie spalinami (droga o kilometr stąd) i nawozami sztucznymi. Dla mnie to tragedia, bo żyję zapachami. Tak dawno już nie czułam czystej, leśnej mieszanki żywicy i miodu! Wrzosa kwitną, ale mgła poranna ma stężony smród chemii. 30 km od Szczecina i 23 lata przed wiekiem dwutysiecznym. Późno urodziłam się, ale jeszcze nie za późno – nawąchałam się trochę przyrody”.

W kolejnym liście, z listopada, Kulmowa wyklada swoje *credo*: „jestem za czepianiem się wszystkiego, co żywe, radosne; jestem za chłonięciem świata wszystkimi zmysłami, dopóki te zmysły raczą jeszcze nam służyć; jestem za ucieczką w sztukę, w poezję, we wszystko, co oczyszcza z brudu, smutku (który jest brudem duszy), zniechęcenia”.

© P. KALINA BŁAŻEJOWSKA



**JOANNA KULMOWA,
WISŁAWA
SZYMBORSKA,
TAK WYGLĄDA
PRAWDZIWA POETKA,
PODCIĄNIJ SIĘ!
LISTY, red. Urszula
Chęcińska, Znak,
Kraków 2019**

Na nowo wymyślona

PIOTR KOSIEWSKI

W łódzkim Muzeum Sztuki zobaczymy prace najważniejszych rzeźbiarzy ubiegłego stulecia – Jeana Arpa, Alexandra Caldera, Julia Gonzáleza, Alberta Giacomettiego, Barbary Hepworth czy Władimira Tatlina.

WYSTAWA „KOMPONOWANIE PRZESTRZENI” pokazuje przemiany rzeźby w pierwszych dekadach ubiegłego stulecia, poczynając od rodzaju wykorzystywanych materiałów – obok brązu, drewna, gipsu, marmuru czy alabastru pojawiają się w tym czasie nowe. Alexander Calder do tworzenia swych modeli sięga po blachę, Naum Gabo używa szkła akrylowego, Barbara Hepworth łączy zaś mosiądz ze sznurkiem. Do rzeźby też coraz silniej wkracza kolor. To nie tylko łączenie ze sobą różnych w swej barwie szlachetnych materiałów, co od wieków robiono, lecz także sięganie po farby, którymi pokrywa się całe rzeźby lub ich fragmenty (co także było dawną, potem zarzuconą tradycją).

Zmiana sięga jeszcze głębiej: zostaje odrzucone myślenie o rzeźbie jako bryle. Zastępuje je inne: o rzeźbie jako grze kontrastów, otwierającej się na otoczenie. „Należy stanowczo i bezpowrotnie raz na zawsze uświadomić sobie, że rzeźba nie jest ani literaturą, ani symboliką, ani indywidualną psychologiczną emocją” – podkreślała Katarzyna Kobra w ankiecie opublikowanej na łamach „Europy” w 1929 r. „Rzeźba jest wyłącznie kształtowaniem formy w przestrzeni – dodawała. – Rzeźba zwraca się do wszystkich ludzi i przemawia do nich w sposób jednaki. Jej mową jest forma i przestrzeń”.

Czym jest rzeźba?

Kluczowym problemem wystawy jest rola przestrzeni. „Do tej pory rzeźbiarze

preferowali bryłę i zaniedbywali przestrzeń, lub też poświęcali jej, owemu istotnemu komponentowi bryły, niewiele uwagi. Przestrzeń interesowała ich tylko o tyle, o ile była miejscem, w którym umieścić można bryłę lub ją sobie wyobrazić” – podkreślał Naum Gabo w wydanym w 1937 r. zbiorze „Circle. International Survey of Constructive Art”. „My przestrzeń traktujemy jako element bezwzględnie rzeźbiarski” – dodawał. Ten sposób myślenia o roli przestrzeni dzieliło wielu ówczesnych twórców. „Ekspresja rzeźbiarska ma charakter przestrzenny – jest realizacją idei w trzech wymiarach, za pośrednictwem masy lub przestrzennej konstrukcji” – przekonywała w tym samym zbiorze tekstów Barbara Hepworth.

Odmienność spojrzenia, zerwanie z wielowiekową tradycją rzeźby łączy bardzo różnych twórców, od Henriego Laurensa czy Ossipa Zadkine’a, nadal odwołujących się do figury ludzkiej, po operujących czystymi formami abstrakcyjnymi Antoine’a Pevsnera czy Georges’a Vantongerloo. Pojawiają się też inne elementy na nowo mające definiować rzeźbę, np. wprowadzenie do niej – jak pisali Alfréd Kemény i László Moholy-Nagy – elementu „pierwiastka uniwersalnego życia”. Rzeźba odrywa się od podłoża, zaczyna być umieszczana w nieoczywistych miejscach. Często bardzo radykalne pomysły – w prowadzenie do rzeźby elementu ruchu czy jej zmienności pod wpływem zewnętrznych czynników (jak

warunki naturalne) – silnie odcisnęły się na myśleniu o rzeźbie współczesnej. Bez nich nie byłoby rzeźby kinetycznej, op-artu, sztuki ziemi czy instalacji.

Jednak z redefinicją rzeźby i jej funkcji wiąże się też problem jej autonomii od innych dziedzin sztuki. „Rzeźbiarzy nowoczesnych jest bardzo niewielu” – pisała Katarzyna Kobra w tekście „Rzeźba i bryła” na łamach „Europy” w 1929 r. Być może z powodów materialnych, niewielkiego zainteresowania odbiorców. A może: „rzeźba obecnie zbyt bezpośrednio kształtuje architekturę, tak że każdy



ANNA ZAGRODZKA / MUZEUM SZTUKI W ŁÓDZI



ANNA ZAGRODZKA / MUZEUM SZTUKI W ŁÓDZI



PIOTR KOSIEWSKI



ANNA ZAGRODZKA / MUZEUM SZTUKI W ŁODZI



Na górze od lewej:

Katarzyna Kobra „Akt (3)”, 1925-27 (Ewa Sapka-Pawliczak & Muzeum Sztuki w Łodzi) i „Kompozycja przestrzenna” (6), 1931 (Muzeum Sztuki w Łodzi); widok ekspozycji w łódzkim muzeum, na pierwszym planie Julio Gonzlez „Czeszca si”, ok. 1934 (Moderna Museet, Sztokholm)

Obok: na pierwszym planie: Antoine Pevsner „Projekcja dynamiczna pod ktem 30 stopni”, 1950-51; na drugim planie: Antoine Pevsner „Świat”, 1947 (Centre George Pompidou, Paris)

snej architektury, poczynając od Le Corbusiera po projekty budynków wielkich współczesnych gwiazd, Franka Gehry’ego czy Zahy Hadid (nieprzypadkowo określane jako rzeźbiarskie).

Istotne jest wreszcie pytanie o ciągłość i stosunek do tradycji. „Komponowanie przestrzeni” przypomina, że kluczowe dla rzeźby awangardowej (i dla całej awangardy) było często bardzo radykalne zerwanie z przeszłością. Różnie jednak ta nowość jest definiowana. Dla Katarzyny Kobra rzeźba miała być modelem nowego harmonijnego uporządkowania otoczenia. Wprowadzenia do niego ładu, który miał wpłynąć na racjonalizację zachowań społecznych. Nie było tu miejsca na emocje. Barbara Hepworth z kolei uznawała, że w tworzeniu i odbiorze rzeźby jest miejsce na duchowość, nieświadomość i irracjonalność. Co więcej, wybitna niemiecko-szwajcarska historyczka sztuki Carola Giedion-Welcker w wydanej w 1937 r. książce „Elemente

der Wirklichkeit – Masse und Auflockerung” podkreślała, że w sztuce współczesnej duchowe, ale też zmysłowe treści „są ukryte głębiej i trudno uchwytnie dla kogoś, kto stosuje wobec niej wyłącznie kryteria z przeszłości. Nie stoi za nią świat religijnej dyscypliny czy społecznej statyki. Próbuje ona – po raz pierwszy bez żadnych kostiumów – wychodząc od tego, co elementarne, znaleźć nową formę artystyczną”. Czyli opowiedzieć współczesnym językiem o tym, co duchowe, religijne, ale też zmysłowe, cielesne.

Rzeźbiarka

Ciało w wielu wymiarach – od jednostkowych po społeczne – jest dla awangardy jedną z najważniejszych kwestii. Na wystawie w Łodzi umieszczono obok siebie trzy rzeźby powstałe niemalże w tym samym czasie: „Tors kobiety” (1925) Henrygo Laurensa, „Akt (3)” (1925-27) Katarzyny Kobra oraz „Ich dwoje” (1918-22) Augusta Zamoyskiego. Wszystkie niezwykle oddające ciało, jego zmysłowość, tkwiące w nim emocje, erotyzm. Jednak to praca polskiej rzeźbiarki wydaje się najmniej „przegadana”, pozbawiona ozdobników, tego, co, niepotrzebne.

W ostatnich latach miały miejsce ważne prezentacje zagraniczne Katarzyny Kobra i Władysława Strzemińskiego, na nowo odczytujące ich twórczość i umieszczające ją w międzynarodowym kontekście: w madryckim Museo Reina Sofía, Moderna Museet w Malmö czy paryskim Centre Pompidou. Obecna →

architekt prawdziwie nowoczesny powinien być dobrym rzeźbiarzem nowoczesnym?” – dodawała.

Związki między awangardową rzeźbą a projektowaniem architektonicznym są bardzo silne. Świetnie pokazuje to zestawienie „Projektu dworca kolejowego w Gdyni” Władysława Strzemińskiego (1923/1978) i „Kompozycji przestrzennej (1)” (1925) Katarzyny Kobra. Sposób kształtowania bryły, zastosowanie podziału przestrzennego, gry światła i cienia są tu niemal identyczne. W tamtejszych poszukiwaniach tkwią źródła współcze-

→ wystawa – na której znalazło się aż 17 jej prac z dwudziestolecia międzywojennego, od rzeźb abstrakcyjnych i kompozycji przestrzennych po figuralne akty – stawia pytania o dorobek samej Kobro, na którą przez ostatnie dekady patrzy się często przez pryzmat wspomnień Niki Strzebińskiej. Wymiar biograficzny, dramatyczne relacje, okrucieństwo Strzebińskiej wobec żony, wszystko to sprawiło, że jej twórczość artystyczna znalazła się jakby na marginesie. Wystawa jest próbą korekty postrzegania Katarzyny Kobro.

Nie jest jednak łatwe wpisanie na trwałe dorobku artystki do kanonu sztuki XX wieku, wykraczającego poza nasz kraj czy region. Zachowała się bowiem jego niewielki fragment. Jak przypomniano przy okazji wystawy, znaczną jego część stanowią kartonowe makiety i tylko nieliczne stały się wzorem dla prac z metalu. Inne zaś prace, wykonane w drewnie, posłużyły jako opał w trudnym dla artystki okresie. Wreszcie, większość ocalałej twórczości jest zgromadzona w łódzkim muzeum. Tu jest badana, chroniona i wystawiana. To jednak oznacza, że Katarzyna Kobro – z wyjątkiem „rzeźby przestrzennej” z 1928 r., znajdującej się w zbiorach Centre Pompidou (i od dawna tam pokazywanej) – jest niemalże nieobecna w międzynarodowym obiegu muzealnym (z wyjątkiem wystaw czasowych). Znaczący jest chociażby brak jej nazwiska w opublikowanym niedawno przez prestiżowe wydawnictwo Phaidon tomie „Great Women Artists”, prezentującym szerszej publiczności twórczość ponad 400 artystek od XVI wieku po współczesność, chociaż są w niej obecne współczesne jej artystki, jak Barbara Hepworth (z polskich twórczyń są m.in. Magdalena Abakanowicz, Alicja Kwade, Monika Sosnowska i Alina Szapocznikow). Tym ważniejsza jest łódzka prezentacja. Tymczasem, co udało się pokazać na wystawie, twórczość Kobro koresponduje na równych prawach z dorobkiem najwybitniejszych rzeźbiarzy jej czasów.

© PIOTR KOSIEWSKI

KOMPONOWANIE PRZESTRZENI. RZEŹBY AWANGARDY, Łódź, ms2, wystawa czynna do 2 lutego 2020 r., kuratorki Małgorzata Jędrzejczyk i Katarzyna Słoboda

Heil Hitler

ANITA PIOTROWSKA

Nominowany do sześciu Oscarów film o małym naziście, który zaprzysięga się z wymagowanym Hitlerem, to rodzaj mrocznej baśni, mieszającej beztroosko slapstick i grozę, kulturowe klisze i cikliwe emocje, wiersze Rilkego i zły smak.

CZY COŚ MOGŁOBY BARDZIEJ ZNIEWAŻYĆ Hitlera niż sportretowanie go przez polinezyjskiego Żyda? – retorycznie pyta w wywiadach Taika Waititi, nowozelandzki reżyser, w którego żyłach płynie krew maoryska i żydowska. W swoim filmie „Jojo Rabbit” osobiście wciela się w rolę Führera i ta druga kropla krwi daje mu z pewnością większą swobodę w opowiadaniu o czasach Zagłady za pomocą konwencji prześmiewczej. Gdyby nie był po części Żydem (na początku kariery używał nawet po matce nazwiska Cohen), łatwiej byłoby mu zarzucić szarganie świętości czy trywializację tematu. Nominowany do sześciu Oscarów film o małym naziście, który zaprzysięga się z wymagowanym Hitlerem, to przede wszystkim rodzaj mrocznej baśni, mieszającej beztroosko *slapstick* i grozę, kulturowe klisze i cikliwe emocje, wiersze Rilkego i zły smak. A także, co pewnie najbardziej rozgniewa purystów, gruby historyczny obrys z bardzo umownym wypełnieniem.

Jesteśmy bowiem w mówiącej po angielsku niemieckiej Nibylandii u schyłku II wojny światowej. Ale także w matriksie odciętym od prawdziwych wiadomości o przebiegu działań wojennych. Kiedy dziesięcioletni Jojo (w tej roli świetny Roman Griffin Davis), którego ojciec zaginął na froncie, nie sprawdza się w szeregach Hitlerjugend, z poczucia samotności i wstydu wymyśla sobie kumpla idealnego. Adolf w interpretacji Waititego to Hitler cokolwiek pluszowy: prócz ideologicznych pogadanek urządza chłopcu wystawne kolacje (specjalność: pieczeń z jednoróżca), to znów łóżkowe sceny zazdrości. Powodem owych scen jest Elsa (Thomasin McKenzie) – żydowska dziewczyna ukrywana na strychu przez dzielną matkę Jojo (gra

ją Scarlett Johansson). Odkrycie to wprawia nazistowskiego prymusika, tworzącego właśnie instruktażowy „Atlas Żydów”, w nieład konfuzję. Jak bowiem pogodzić programową nienawiść z osobistą fascynacją? Scenarzysta i reżyser zakłada na nos plastikowe dziecięce okulary i z takiej właśnie mocno naiwnej perspektywy śni wojenne koszmary.

W ahistoryczny klimat filmu wprowadza już na samym początku przebój „I Want to Hold Your Hand” towarzyszący czarno-białym archiwaliom ze skandującymi fanami. Nie są to wielbiciel Beatlesów – fana od fanatyka dzieli czasem cienka granica. Czy tego chcemy, czy nie, charakterystyczny szczątkowy wąsik też stał się na trwałe elementem kultury popularnej. A Waititi nigdy nie ukrywał, że jest jej nieodrodnym dzieckiem. Jeszcze w czasach nowozelandzkich zasłynął jako inteligentny twórca gatunkowych dziwadeł – „Co robimy w ukryciu” (2014) było hybrydą fałszywego dokumentu, wampirycznego horroru i czarnej komedii. Po przyjeździe do Hollywood reżyser dostał do ręki znacznie droższe zabawki, czego efektem „Thor: Ragnarok” (2017) z superbohaterskiej tajni Marvela czy serial „The Mandalorian” (2019) z uniwersum „Gwiezdných wojen”. Na tym tle „Jojo Rabbit”, będący krzyżówką „Kochanków z Księżyca. Moonrise Kingdom” i „Bękartów wojny”, może wydawać się niepotrzebnym ekscessem. Łącząc, podobnie jak Wes Anderson czy Quentin Tarantino, prowokację z poczciwością, stworzył jednak Waititi nową jakość.

Przenosząc na ekran powieść „Caging Skies” Christine Leunens, pozostał bliższy narracji komiksowej – znacznie łatwiej wyobrazić sobie pierwowzór tego filmu w postaci narysowanych obraz-



Kadr z filmu „Jojo Rabbit”

ków i dymków niż jako zwarty tekst. Tym samym odróżnia się „Jojo Rabbit” nie tylko od wielkich narracji martyrologicznych wokół Holocaustu, ale i od filmów w rodzaju „Życie jest piękne” Roberta Benigniego, wyciskających śmiech przez łzy. Różnicę czuje się także w przedstawieniu Hitlera. Kino, by wspomnieć Charliego Chaplina, Aleksandra Sokurowa czy Olivera Hirschbiegela, w ramach zbiorowej terapii najchętniej rozbijało tę postać karykaturą bądź nieśpiesznie smakowało jej upadek. Wcielali się w nią aktorzy giganci, jak Alec Guinness czy Bruno Ganz. W najnowszym filmie Hitler jest postacią drugiego planu i zarazem pociesznym fantazmatem, który zaspokaja chłopięce deficyty (o tęsknocie za nieobecnym ojcem opowiadał Waititi również w filmie „Boy” z 2010 r.). Choć przecież ów komiczny, wiecznie żywy Hitler układa zbiorowe fantazje całego narodu, pogrążonego w ciężkich kompleksach. Ucieleśnia nie tylko dziecięce urojenia, ale także lęki i przesady, które otworzyły niegdyś wrota komór gazowych. O tych ostatnich w filmie nie ma nawet słowa. Za to Żydzi jak najbardziej „mieszkają w słowach” – są wytworem chorej wyobraźni i złego gadania, a owa mała, zabawkowa skala, jaką stosuje „Jojo Rabbit”, wprowadza dysonans z tym, co wiemy już skądinąd. Zakładając oczywiście, że wiemy.

Podobny rozdzwięk wprowadza zastosowany w filmie typ humoru – chwilami błyskotliwy niczym u Monty Pythona (na hitlerowską akcję pacyfikacyjną ktoś zamawia owczarzy zamiast owczarki niemieckiej), chwilami zaś, przynajmniej to, na granicy żenady. Warto tu przypomnieć, że Waititi zaczął jako komik estradowy, a nowozelandzki dowcip ma swoją specyfikę, wynikającą z lokalnych uwarunkowań (izolacja, prowincjonalizm, wielokulturowość, plebejskość). I czasem wyraźnie się to odczuwa. Lecz choć nie wszystkich śmieszyć muszą powtarzane do upadłego hajlowanie tudzież liczne żarty wystrzeliwane z naprawdę grubej rury, to stamtąd przychodzi potencjał ocalający. Zwycięstwo nad faszyzmem dokonuje się w „Jojo Rabbit” na gruncie popkultury. Pod warunkiem jednak, że gra ona wbrew stereotypom i przesadom. W bajce, gdzie przecież wszystko jest możliwe, nawet w zwartych szeregach Hitlerjugend można spotkać wrażliwych odmienneńców. Można też znaleźć młodą Żydówkę, która buntuje się przeciwko antysemickiej demotyzacji, jak i przeciw roli biernej ofiary, a także demonicznego kapitana SS (niezawodny Sam Rockwell), który potrafi okazać ludzką twarz. W ukryciu robimy czasem rzeczy całkiem do nas niepodobne.

Równocześnie historia, która dźwiga wątki godne pisarstwa Hanny Krall i w której bynajmniej nie zapomniano o Gestapo, ruinach i głodzie, wybiera sobie własną stylizację, sztuczną i krzykliwą niczym modne kapelutki Scarlett Johansson. Komiksowa opowieść o prawdziwym bohaterstwie, spuentowana piosenką „Heroes” Dawida Bowiego, opowiadającą o kochankach rozdzielonych murem berlińskim, nie zamyka się dzięki temu w muzealnych gablotach. Dlatego te cokolwiek efekciarskie gesty poczynione w dobrej woli i ku masowej satysfakcji trzeba docenić – nawet jeśli nie czujemy się ich głównymi adresatami, bo zdążyliśmy przerobić te kwestie już dawno temu, w scenografiach dużo bardziej realistycznych i bardziej wyrafinowanych. ©

JOJO RABBIT – reż. Taika Waititi.
Prod. USA/Nowa Zelandia/Czechy 2019.
Dystryb. Imperial Cinepix. W kinach
od 24 stycznia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [25 – 31 I]

1. Inkarno



Teatr TV, reż. Lena Frankiewicz, Polska 2020, TVP1, 27 I, 21.00
Komedia kryminalna
Kazimierza Brandysa,
napisana w 1964 r.,

rozgrywa się w szpitalu psychiatrycznym, gdzie diaboliczny Profesor testuje na pacjentach nową metodę terapii. Ma to być spektakl „o grze, jaką oni sami podejmują z losem, ale także o manipulacjach, jakim podlegają”. Występują m.in. Krzysztof Zarzecki, Jan Englert, Wiktoria Gorodeckaja i Gabriela Muskata.

2. Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy



Komediodramat,
reż. Radu Jude, Rumunia
i inne 2019, vod.pl

W jaki sposób współczesne kino rumuńskie mierzy się ze wstydliwymi kartami rodzimej historii? Kim dziś dla Rumunów jest faszystowski dyktator Ion Antonescu? Twórca „Aferim!” opowiada o reżyserce teatralnej, która przygotowuje patriotyczną rekonstrukcję, a przy okazji ożywia demony 1941 r., kiedy to wojsko rumuńskie dokonało masakry odeskich Żydów.

3. Monument



Horror, reż. Jagoda Szalc, Polska 2018,
Player.pl

Po świetnym debiucie „Wieża. Jasny dzień” reżyserka nakręciła film dyplomowy wydziału aktorskiego łódzkiej szkoły filmowej. W rękach Szalc niskobudżetowy horror o praktykach studenckich w starym hotelu staje się mroczną opowieścią inicjacyjną, studium instytucjonalnej przemocy, a zarazem psychodramą z udziałem początkujących aktorów i aktorek.

4. Nowy papież



Serial, reż. Paolo Sorrentino, Francja/Hiszpania/USA.
Włochy 2020, HBO GO
„Dwóch papieży” Meirelesa ocieplało obraz

dzisiejszego Kościoła, a tymczasem serial Sorrentina znów wkłada kij w mrowisko. Po tym, jak bohater poprzedniego sezonu, czyli „młody papież” (Jude Law), zapadł w śpiączkę, Watykan raz jeszcze zamienia się w surrealistyczną scenę, na której toczy się walka o wizerunek i wpływy. W tytułowej roli John Malkovich.

JAN

Klata: Raport o stanie włodarzy



DARIUSZ ROSIAK WYRZUCONY Z RADIOWEJ Trójki! Czy mnie to dziwi? I tak, i nie. Mam syndrom Tewje Mleczarza: z jednej strony, dlaczego mieliby go wyrzucić, ale jednak z drugiej strony, jak mogą wyrzucić, to dlaczego mieliby w końcu nie wyrzucić? Poszli po rozum do głowy, następnie wrócili, i wyrzucili. Nie on pierwszy i nie ostatni... a nie, chyba jednak ostatni, choć trudno mi powiedzieć, bo w Trójce słuchałem już tylko „Raportu o stanie świata”. No i już sobie nie posłucham.

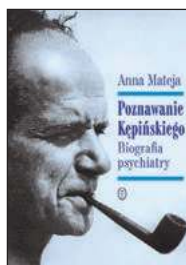
Dlaczego? Na Myśliwieckiej nie ma „dlaczego”. Niedocieczone są meandry myśli i bezmyśli nowych fal kierownictwa radiowej propagandy. Można tylko po cichu wróżyć z mentalnych fusów, szeptać spekulacje, podnieść brew i wykręcać znaczącą minę. Ostatni uczciwi i sprawiedliwi Polskiego Radia wyrzucani niepostrzeżenie, za cichy chód po ulicy, za nie-wiadomo-co, urażenie Naszego Prezydenta Trumpa, co to

go populistą nie wolno nazwać. Przyznam, że byłem fanem mądrej audycji, cichym wielbicielem, słuchałem Dariusza Rosiaka uważnie i regularnie, i za Chiny Ludowe i Tajwan nie wiem, co było powodem wyrzucenia go z Trójki. No, ale przecież nie moje zdanie się liczy, nisowego zapiekłego słuchacza, ale włodarzy negatywna opinia bądź paląca potrzeba zatrudnienia znajomego królika. Tyłu zdolnych, zasłużonych ludzi o słusznych poglądach nie ma roboty... Może szykuje się skok z Fundacji Narodowej na fale eteru – ktoś nabawił się choroby morskiej na jachcie? Może raczej z CBA przyjdzie ktoś z walizką wyparowanych pieniędzy, może jakaś wielka radiowa osobowość przybędzie do Warszawy z Radia Kraków wygłaszać pogawędki? Tak czy owak jestem głęboko przekonany, że zajdzie dobra zmiana, w miarę nieodwołalna, że życie stanie się lepsze, mądrzejsze, bardziej spluralizowane, po prostu – a o to przecież w życiu chodzi.

Co jak co, ale kadry to oni mają!

À propos kadrów: poszła w Polskę dobra nowina, że Greta Thunberg ponoć złożyła wizytę w naszym kraju. Mam nadzieję, że nie przemieszczała się słynną już furgonetką marki Mercedes Sprinter z cofniętym o milion kilometrów licznikiem (tak, tak, jest taki pojazd, wykryty ostatnio w Krakowie podczas randomowej kontroli). Szwedzka turystka zwiedzała największą atrakcję Polski XXI wieku: elektrownię w Bełchatowie. Ponoć nagrywała film. Nietrudno zgadnąć gatunek: mroczny horror. W Polskim Radiu o tym już nie usłyszycie. ©

Lektor: Portret legendy



■ Anna Mateja
POZNANIE KĘPIŃSKIEGO.
BIOGRAFIA PSYCHIATRY
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2019, ss. 414

JEST ZAPEWNE NAJSŁYNNIEJSZYM polskim psychiatrą, ale sławę zawdzięcza książkom wydanym pośmiertnie, pisanym ze świadomością śmiertelnej choroby. W Krakowie pozostała po nim legenda świętego – co pracy nad biografią nie ułatwia. Antoni Kępiński (1918–1972), autor „Rytmu życia”, „Psychopatologii nerwicy”, „Schizofrenii”, „Melancholii”, „Lęku” i „Poznania chorego”, zmarł przedwcześnie, a osiem lat

życia zabrała mu wojenna tułaczka. Jego praca w krakowskiej klinice psychiatrycznej trwała tylko nieco ponad dwie dekady – dzięki niej jednak zasłynął jako znakomity diagnosta i terapeuta, który w pacjencie dostrzega nie tylko jego chorobę, ale przede wszystkim człowieka. Anna Mateja odtwarza rodzinne korzenie Kępińskiego i jego burzliwy życiorys, sięga po dokumenty, wspomnienia bliskich i współpra-

cowników, nieznaną korespondencję. Tworzy portret postaci niezwyklej, a zarazem emblematycznej zarówno dla czasów politycznych katastrof, jak i epokowych zmian, w których Kępiński był pionierem, idąc w ślady swoich mistrzów – Eugeniusza Brzezińskiego i Karola Spetta. Klinika, w której pracował i którą potem kierował, stała się polem doświadczalnym nowego, podmiotowego stosunku do chorych. Miejscem, w którym realizowano ideę społeczności terapeutycznej, współtworzonej przez lekarzy, pielęgniarki, salowe i pacjentów, gdzie dzięki Teresie Regule powstał Klub Pacjentów. I gdzie codzienne zebrania personelu były szkołą praktycznej psychiatrii.

Uwikłany w historię został już w niemowlęctwie, podczas wojny polsko-ukraińskiej 1918–19, kiedy Antosia i jego ukraińską

nianię wymieniono na dwóch ukraińskich oficerów... We wrześniu '39 kochający rodzinę domator wyrusza w długą wędrówkę: internowanie na Węgrzech, frankistowska Hiszpania i obóz koncentracyjny Miranda de Ebro, w którym Kępiński spędził ponad dwa lata (polecam czcicielom generała Franco), studia w Edynburgu. Po powrocie do Krakowa przyszedł orędownik psychiatrii humanistycznej zaczyna karierę naukową od pracy o terapii elektrowstrząsami. Szukając terapii nowych sam eksperymentuje – w 1948 roku! – z LSD. Obozowe doświadczenie pomoże mu w badaniu tak zwanego KZ-syndromu. Większość swoich książek napisze w mieszkanku na poddaszu kliniki nefrologicznej, między kolejnymi zabiegami. A sygnałny egzemplarz „Rytmu życia” przyniesiono w dniu jego śmierci. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Nie do śmiechu



TRZYSTA TRZYDZIEŚCI TYSIĘCY ZŁOTYCH. Od takiej mniej więcej kwoty zaczyna się rozmowa o kupnie samochodu marki Tesla. Dobrze jest mieć o czym marzyć – na razie wygląda na to, że prędzej nauczę się rezygnować z wszelkich wypraw i zadań,

które wymagałyby własnego samochodu, niż stać mnie będzie, by posiadać taki, który wcale nie kopci. Oczywiście można nie być maksymalistą i poprzestać na takim, który kopci o połowę mniej od poprzedniego. Pewnym jednak osobom, które stanowią wzorzec, ustawiają poprzeczkę, generują trendy, po prostu nie wypada pokazać się byle jak i w byle czym. Czy było do pomyślenia, żeby Greta Thunberg wjechała na punkt widokowy w Kleszczowie, skąd roztacza się widok na bełchatowską odkrywkę, na pokładzie czegoś mniej przyszłościowego i czystego niż właśnie tesla? Polecam każdemu pędzącemu „gierkówką” wypad w bok w to miejsce łącznie z wjazdem na sąsiednią monstrualną hałdę. W takich miejscach wydaje się, że polecenie „abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną” zostało wypełnione do cna.

Greta Thunberg przyjechała, jak donoszą media, jednak nie po to, by refleksyjnie zapatrzyć się w wielką dziurę, chciała natomiast nagrać z ekipą zdjęcia do filmu – łatwo domyślić się, na jaki temat i z jakim przesłaniem, skoro był potrzebny widok elektrowni w Bełchatowie będącej największym truciście w Europie. Budzenie sumień, wstrząsanie przyzwyczajeniami, poderwanie mas do czynów szlachetnych wymaga artystycznych środków perswazji tudzież osobistego świadectwa – z tego powodu realizatorom filmu nie wystarczyło kupić jakieś archiwalne zdjęcia elektrowni, tylko musieli przywieźć aktywistkę na miejsce i tam nakręcić tzw. setkę. Z Gdańska, gdzie ją po raz pierwszy widziano na polskiej ziemi (być może dlatego, że przypłynęła, wiadomo, że bojkotuje samoloty), to jest kawał drogi, mam tylko nadzieję, że chociaż do pobliskiego Piotrkowa ekipa dojechała czystym pociągiem, są bardzo wygodne połączenia... a może to jest zły pomysł, jeśli elektrowozy PKP czerpią prąd z bełchatowskiego węgla?

To wszystko piszę nie do śmiechu bynajmniej, jestem pełen sympatii dla niektórych działań tej osoby. Z racji sławy i determinacji jest szczególnie narażona na uważne spojrzenia tłumu – nie tylko wrogów, ale i zbyt naiwnych wyznawców, jakże niechętne temu, żeby wzorce osobowe i modele robiły cokolwiek niejednoznacznego. A śledząc Gretę Thunberg widać znakomicie, do jakiego stopnia tzw. rozwój wplą-

tał naszą kulturę materialną, od której zależą nasze obyczaje, w sieć zależności tak gęstą, że nic nie jest tak po prostu dobre.

Będąc w Gdańsku, o czym również doniosły media, Szwedka z ekipą udała się na posiłek do wegańskiego lokalu – oczywisty wybór, jeśli mamy w pamięci, że przemysłowa hodowla większości jadalnych zwierząt jest jedną z najbardziej szkodliwych dla środowiska działalności, z której łatwo zrezygnować. Bo z mięsa przecież da się zrezygnować. Lokal miał w nazwie słowo „awokado”. Też dość oczywista rzecz, ten owoc z racji swojej faktury, odczucia tłustości, jakie zostawia w ustach, jest jednym z przebojów wegańskiej gastronomii. Potrawa z awokado – sałatka, dajmy na to, czy tost albo bajgiel – obiecuje uczciwą sytość i przyjemnie jedwabiste uczucie na języku, jakby nie przymierzając czełek zjadał lekko tylko ścięte żółtko z jajek w koszulkach.

Tyle że awokado to kiepski symbol troski o środowisko. Uprawa tego owocu wymaga znacznego nawodnienia (cztery razy więcej niż np. pomarańcze i 10 razy więcej niż pomidorów), w dodatku odbywa się często w regionach szczególnie ubogich w wodę, więc tym bardziej sady masakrują bilans wodny przyrody w pobliżu. Zanim w np. Chile fotowoltaika zagości na dobre, to kolosalne masy wód podziemnych wyciąga się na powierzchnię pompami spalinowymi... Transport na drugą półkulę sprawia, że ślad węglowy awokado jest wprawdzie o rząd wielkości mniejszy niż analogicznej porcji wołowiny, ale nadal jest znaczny, wyższy w stosunku do marchewki i kapusty uprawianej w sąsiednim powiecie. Nawet jeśli polski rolnik i dostawca – co notuję regularnie, odwiedzając targi – wozi skrzynki głównie starymi lublinami, których emisje... no cóż, pozostają bardzo dwudziestowieczne. Jak się do tego doda koszty społeczne związane z coraz intensywniejszą monokulturą awokado, nakręconą rosnącym w dwucyfrowym tempie spożyciem u nas – to wychodzi na to, że dałoby się napisać współczesny *remake* „Gron gniewu”.

Nie ma znaczenia, czy w gdańskim lokalu Szwedka jadła awokado, menu tam jest bogate – z pewnością carpaccio z bu-

raka może być lepszą przekąską. Ciekawsze są paradoksy, w jakie wpada jako osoba coraz bardziej publiczna. A my tymczasem zastanówmy się dwa razy przed zakupem, co jest o tyle łatwe, że przeważnie w polskich sklepach awokado jest podłej jakości. ©P



ASIFE / ADOBE STOCK

Skoro już kupiliśmy znośne awokado, to nie zmarnujmy energii, jaką zużyto, by do nas dotarło. Jeśli grozi nam, że

po paru dniach w lodówce odleci na gnijną stronę mocy, zrobmy koniecznie guacamole lub inną podobną pastę – sok z cytryny zadziała trochę jak krótkoterminowy konserwant. Ja swoje domowe guacamole zwykle robię wedle przepisu Paula i Stelli McCartneyów, których książka o poniedziałkach bez mięsa jest całkiem sensowną lekturą dla mięsożerców szukających wytchnienia. Pestkujemy 2 dojrzałe **awokado**, wrzucamy do blendera razem ze 150 g posiekanych **suszonych pomidorów**, ząbkami **czosnku**, pół łyżeczką utartych **ziaren kolendry**. Króciutko miksujemy, dodajemy 2 łyżki **soku z cytryny**, **sól**, **pieprz** i ewentualnie garść posiekanych **liści kolendry**.

FARONAUCI

Dziś wyglądają jak wytwory zapomnianego kultu.
Pobudowane na odludziach, gdzie nie czuć pulsu żadnej cywilizacji
– latarnie morskie trwają w swej pięknej, niepotrzebnej misji.

ADAM ROBIŃSKI

TO BYŁ ŚWIAT OWIEC I PTAKÓW. PIERWSZE PO PROSTU PRZEŻYWAŁY to, na czym stały. Drugie śmigły nad moją głową jak myśliwce spitfire, chwilami umyślnie obniżając lot. Podróż była jednocześnie ekscytująca i cholernie monotonna – od kilku dni nieprzerwanie poruszałem się na północ. Najpierw ze środkowej Anglii, przez całą Szkocję, aż do portu Thurso na ostatnim skrawku lądu. Potem promem na Orkady i autobusem między dwoma portami tego archipelagu. Znow przez morze, tym razem siedem czy osiem godzin, na Szetlandy, kolejny archipelag, który na mapie wygląda jak mocno nadwyrężony latawiec. Jeszcze jeden prom na wyspę Yell, a potem już ostatni, na Unst, gdzie razem ze mną na ląd zjechało tylko osiem samochodów. Dalej 21 kilometrów wąskim asfaltem na niepozorny parking rezerwatu Hermaness, gdzie w drewnianej skrzynce – samoobsługowej informacji turystycznej – znalazłem tę precyzyjną wskazówkę: wydrzyka wielkiego zwanego skuą, który pikuje wprost na twój łeb, przepłosz machając rękami niczym rozbitek na widok helikoptera.

A potem już tylko pieszo między te owce, ich wysuszone bobki oraz wydrzyki, z ramionami w pełnej gotowości. Z deszczem byłem za pan brat, z wiatrem też, więc wiedziałem, że na tych szerokościach geograficznych człowiek wygląda trochę jak skoczek narciarski kłaniający się własnym nartom. Jeśli pojawiało się słońce, to na minutę, jak na obrazku, który widziałem w pubie: ciemność, rzesza ludzi pod chmurami, wyciągają dłonie w stronę wąskiego promienia słońca, który jakimś cudem je przebił. Podpis: „Lato w Szkocji”.

Transmutacja skały

Czyli trawa, owce i wydrzyki, a potem upstrzony plamami klif i nieziemski gwar ptasiej kolonii. Głuptaki, nurzyki i te przedziwne maskonury wyglądające jak miniatutki pingwina. Tak urocze, że chciałoby się je zwinąć pod kurtkę i przemyścić do domu. A potem pokazać bliskim, bo żadna fotografia nie odda tego, co widać tam, gdzie Wielka Brytania ostatecznie znika w morzu. Kropka na końcu Zjednoczonego Królestwa, mówili o tym miejscu lokalni. Tak naprawdę była nią grupa wystających z wody skał kilkadziesiąt metrów od brzegu. Legenda głosiła, że to pozostałość po bratobójczej



walce dwóch gigantów. Jak to w legendach bywa, pokłóciły się o względy i serce kobiety, syreny. Aby się ich pozbyć, powiedziała, że poślubi tego, który pójdzie za nią aż na biegun północny. Ruszyli obaj, ale zaraz pochłonęło ich morze.

Kiedy David Stevenson, wuj Roberta Louisa Stevensona, autora „Wyspy skarbów”, pierwszy raz zobaczył te skały, powiedział, że wyglądają jak miniaturowe Alpy. I wcale go to nie cieszyło. Była połowa XIX wieku, a Brytyjczycy dopiero co zaangażowali się w wojnę krymską. Aby przeciwstawić się ekspansji Rosji, chcieli blokować porty w Archangielsku i Murmańsku. Najpierw musieli jednak dopłynąć do Norwegii. Tymczasem północne wybrzeże Szkocji wciąż pozostawało dla marynarzy śmiertelną pułapką.

Admiralicja domagała się budowy latarni morskiej, im dalej na północ, tym lepiej. Stevenson uważał, że to porywanie się z motyką na słońce. Jego przodkowie – ojciec Robert i dziadek Thomas Smith oraz bracia Alan i Tom, wszyscy znani dziś na Wyspach jako Lighthouse Stevensons – mieli już na koncie

inżynierską ekwilibrystykę. Ich wyczyny w ojczyźnie rozsławiły nazwisko na cały świat, a zlecenia na kolejne latarnie spływały z najbardziej egzotycznych adresów.

A jednak budowa na Muckle Flugga, jednej ze skał widocznych z klifu Hermaness, wydawała się pomysłem z kosmosu. Dość powiedzieć, że zimą fale przewalały się ponad wysokość na 60 metrów skałę. Ale wojskowi byli uparci. Pamiętali katastrofę z 1811 r., kiedy o wybrzeże Unst roztrzaskał się konwój trzech okrętów wojennych. Na dno poszło wówczas dwa tysiące marynarzy i ponad 200 armat. Admiralicja potrzebowała latarni, a Stevenson miał rozkazowi podołać.

Najwidoczniej uznał, że ślepa wiara w rozum to za mało, bo w pierwszym odruchu odwołał się do sił wyższych. Postanowił transmutować skałę. Stała się teraz kamieniołomem, z którego czerpano surowiec budowlany. Latarnia miała się z niej zrodzić, a potem pójść pod chmury. Pozostałe materiały, a więc cement, szkło, węgiel czy żelazne elementy konstrukcji trzeba było ściągać ze Szkocji, a potem za pomocą zaimprovizowanej

→



ARDEA / FORUM

*Latarnia
Muckle Flugga
na Szetlandach,
2007 r.*



Latarnia Bell Rock, w pobliżu Edynburga, także projektu Roberta Stevensona, otwarta w 1811 r.
Tu na rycinie J.M.W. Turnera z 1824 r.

umieszczonym pośród niczego. Latarnie doprawdy morskie, bo na środku morza.

No więc jakim cudem to stoi? „Latarnia ma przypominać sędziwy dąb” – to chyba najważniejsza lekcja, jakiej udzielił kolegom po fachu John Smeaton, budowniczy jednej z paru odsłon wieży na wspomnianej rafie Eddystone niedaleko Plymouth. To miejsce prześladowało marynarzy, a kilka poprzednich konstrukcji zjadły fale. Smeaton puścił więc wodze wyobraźni. Drzewo skutecznie stawia czoła równie brutalnym żywiołom, z jakimi musi mierzyć się morska architektura, przekonywał, a dąb wyrwany z korzeniami to raczej sporadyczny widok. To wymienite ćwiczenie dla wyobraźni: potraktować dowolną latarnię jak gruby pień, a potem w myślach malować mu kolejne konary. I zielone morze, które szeleści. Szkoda, że Turner nie porwał się na taki obrazek.

Wdzięczność żeglarza

Ale żeby rozprawiać o latarniach morskich, trzeba najpierw poszukać palcem na mapie maleńkiej wysepki Faros u wrót portu Aleksandria na północnym wybrzeżu Afryki. Wieża, którą tam zbudowano za czasów króla Ptolemeusza II – jeszcze przed naszą erą – miała 140 metrów wysokości. To imponujący wynik, dziś próżno szukać podobnie wysokich. Tym bardziej że ta przetrwała prawie 15 wieków. Pokonały ją dopiero dwa trzęsienia ziemi z początków XIV wieku.

Jej szczątki odnaleziono w 1964 r. na dnie Morza Śródziemnego niedaleko miejsca, gdzie stała. Dlatego jesteśmy dziś w stanie w miarę dokładnie odtworzyć jej wygląd. Składała się z trzech części: cylinder stał na graniastosłupie ośmiokątnym, pod którym był jeszcze sześcian. Na kamiennych blokach roilo się od ornamentów, płetwonurkowie odnotowali m.in. 30 rzeźb sfinksa i 5 obelisków. Czyli żadne drzewo, raczej sztuka. I jeden z siedmiu cudów starożytności.

Z czasem rzeczownik „faro” stał się synonimem latarnictwa i zadomowił w wielu europejskich językach. Zagadką pozostaje źródło światła, które aleksandryjska latarnia emitowała, choć wiele wskazuje na najprostsze z możliwych. Jeszcze w XVIII wieku, a więc w czasie, gdy latarnie zaczęły się mnożyć na europejskich brzegach, na ich szczytach palono po prostu zasilane węglem lub drewnem ogniska. Na estońskiej wyspie Hiiuma do dziś oglądać można jedną z najstarszych bałtyckich latarni. Kōpu zapłonęła w 1531 r., a jej ogień widać było z odległości 20 kilometrów. Żeby ją obsługiwać, z czasem wylesiono cały półwysep, na którym stoi.

O ile szkieletowane w rogach średniowiecznych map – ta epoka to dla żeglugi autentyczny czas mroku – krakeny i syreny miały odstraszać marynarzy przed zapuszczaniem się na skraje znanego świata, o tyle latarnie mówiły coś zupełnie przeciwnego: że już wolno. Ale niosły ze sobą również owo nieznosne widmo postępu i zmian.

Zanim Wielka Brytania uzbroidła się na dobre w latarnie, u jej wybrzeży rokrocznie rozbijało się ponad 500 okrętów. Wiele nadmorskich społeczności korzystało na plądrowaniu wraków.

→ kolejki linowej przenosić na Muckle Flugga. Razem z wodą pitną było tego 120 ton. Murarze pracowali na kolanach nie dlatego, że byli aż tak bogobojni, ale ze strachu przed falami i podmuchami. W trzy miesiące udało się postawić barak mieszkalny i tymczasowe światło, jednak zaraz potem, w grudniu 1854 r., przyszła seria zimowych sztormów z huraganowymi wiatrami. „Jak okiem sięgnąć, morze przypominało chmurę dymu, a wiatr dudnił o dach naszego domu i o wieżę, jakby ktoś ciskał w nie piorunami” – wspominał inżynier nadzorujący budowę.

Kilka dni później wichura powybijała szyby latarni, prawie ją gasząc. W ostatnią noc roku zniszczyła całe zapasy wody pitnej. Stevenson wiedział, że trzeba zrewidować plany – granit zastąpić sprowadzaną z lądu cegłą. Ściany latarni miały być teraz grube na 90 centymetrów. Trwało to jeszcze ponad dwa lata. Dopiero w 1857 r. Muckle Flugga przestała być czarną plamą na północnym Atlantyku.

Trzech facetów w żarówką

Przetwarzałem ten ciąg informacji półtora wieku później, patrząc na efekt końcowy z perspektywy klifu. Latarnia była jednocześnie na wyciągnięcie ręki i cholernie daleko. Biała plamka pośród fal u progu Arktyki. Opuszczona i skomputeryzowana, jak wszystkie inne. W XXI wieku nie potrzeba już paru facetów do pilnowania jednej żarówki, jak słusznie zauważyła Bella Bathurst, autorka rodzinnej biografii czterech pokoleń Stevensonów.

„Zamiast symbolizować dominację człowieka nad naturą, widok latarni morskiej przywołuje raczej ludzką kruchość i odosobnienie w zetknięciu z pierwotnymi siłami oceanu i wiatru” – pisze historyk R.G. Grant w imponującej pracy „Sentinels of the Sea”. Ilustracją tych słów może być akwarela J.M.W. Turnera z 1819 r.: wieża latarni Bell Rock w objęciach fali, kłęby piany niczym macki ośmiornicy oplatają budowlę, ledwie widoczny żagiel gdzieś tam w dole i jeszcze niesamowite spektrum zimnych jak szkocka noc barw, od szarości po granat, które razem składają się na oblicze kataklizmu. Człowiek się gapi i zastanawia: jakim cudem to jeszcze stoi? Ale można też inaczej, bardziej współcześnie, wklepać w mapach Google parę toponimów: Les Eclaireurs, Eddystone, Skerryvore albo właśnie Bell Rock. Ekran wypełni indygo ze znacznikiem

Niektóre wsie żyły od katastrofy do katastrofy, a wylawiane spomiędzy fal sprzęty, skarby i surowce warunkowały ich byt. Ale i marynarze byli raczej konserwatywną kastą. Wszelkie nowinki techniczne pachniały im wtrącaniem się szczerów ładowych w sprawy morza. Śmierć w falach była czymś naturalnym. Lepiej prosić bogów mórz o łaskę, zamiast ich kantować. Przed budowniczymi stało więc trudne zadanie – wspiąć się na wyżyny sztuki inżynierskiej przy jednoczesnym braku aprobaty dla tego działania. Nagrodą była jedynie wdzięczność anonimowego żeglarza, gdy ten ujrzy w nocy mikre światło od ładunku lub we mgle usłyszy towarzyszącą mu syrenę mgłową.

Trzecia para oczu

Nie dziwilibyśmy się, gdyby rekrutację na latarników ogłaszano w podobny sposób, w jaki zrobił to Ernest Shackleton przed wyprawą na Antarktydę: „Mężczyźni poszukiwani w celu odbycia ryzykownej podróży; małe pieniądze, zimno i długie miesiące nieustającej ciemności”. Czyli z gwiazdką opisaną drobnym maczkiem jako „porzucicie wszelką nadzieję”. „Latarnik nie dorobi się fortuny, ale są duże szanse, że dojdzie do ładunku z samym sobą i ze światem” – przekonywali wódcze Northern Lighthouse Board, zarządcy szkockich latarni. Oczekiwali dyscypliny, cierpliwości i gotowości na nieprzewidywalne. Mile widziane było też morskie doświadczenie, kondycja pozostawiała sprawą drugorzędną. Tony Beddard, który na angielskich latarniach przepracował całe życie, wspomina tylko błyskawiczną rozmowę kwalifikacyjną. Nie miał nawet szansy wrócić po niej do domu po zapas ubrań, ledwie zdążył wyposażyć spizarkę. Następnego dnia o ósmej wieczorem zaczął służbę na Isle of Wight.

To zresztą wcale nie była samotna posługa. Załoga każdej brytyjskiej latarni liczyła cztery osoby. Gdy trzy pracowały w systemie czterogodzinnych dyżurów, jedna miała miesiąc wolnego. Prawdę mówiąc, początkowo próbowano załatwić sprawę dwoma pracownikami. Ale gdy na jednej z placówek obu znaleziono martwych, uznano, że potrzebna jest trzecia para oczu. Choćby po to, by w przypadkach konfliktowych nie skończyło się na słowie przeciw słowu. Emigrant Skawiński z nowelki Sienkiewicza, który na koniec wojennej tułaczki zatrudnił się sam jak palec w latarni w Aspinwall (dziś Colón) w Panamie, dał się chyba jednak wpuścić w maliny.

Trzy osoby – to dokładnie tyle, ile mieściło się na pokładzie statków Apollo. A więc trzech faronautów pod sztuczną gwiazdą, w której orbitę tylko sporadycznie wchodzi jakieś ciało niebieskie. Ściśnięci wewnątrz kamiennego cylindra, gdzie nawet łóżka musiały być dopasowane do kształtu ścian, więc od samego tylko spania można się dorobić skoliozy. I ze zwyrodniałymi stawami kolanowymi od nieustannego wchodzenia po schodach.

Przez osiem godzin na dobę każdy z nich przyspawany był do paru metrów kwadratowych, a do ich nielicznych obowiązków należało czyszczenie soczewki, nadawanie sygnałów mgielnych i prowadzenie dziennika. Żaden kunszt, tylko suche fakty: barometr, termometr, opady, kierunek i siła wiatru i tożsamość paru okrętów, które na chwilę zasłonią horyzont. Do tego cała masa zakazów nad głową, jak czytania w czasie służby, bo monotonia nocnej lektury łatwo prowadzi do snu. I parę absurdalnych zajęć na czas wolny, takich jak łowienie ryb za pomocą latawca, który przenosił spławik za rafę,

czy szorowanie skał podchlorynem wapnia, bo wszędybylskie glony zamieniały je w lodowisko.

„Strażnik kraju, wartownik pokoju, który oddaje wszystko to, co w życiu wspomniał, w zamian za środki do życia” – to też Stevenson, ale ten najsłynniejszy, Robert Louis, poeta.

Ku Andromedzie

„Wrażenie, że znajduję się na terenie przeznaczonym do celów ponaddoczesnych, wzmacniały liczne budowle w kształcie świątyń albo pagód” – pisał W.G. Sebald w „Pierścieniach Saturna” o dawnym poligonie nuklearnym Orford Ness. To samo można by powiedzieć o tych setkach wież, którymi usiłowaliśmy planetę, zupełnie jakby były wyrazem jakiegoś zapomnianego kultu. Pobudowane na odludziach, gdzie nie czuć pulsu żadnej cywilizacji, nie wybuchały wojny, a kataklizmy są równie rzadkie jak obserwacje komet. Opuszczone i zapomniane, jak te wszystkie zamki, barbakany, nieme dzwonnice i pomnikowe opactwa, których wnętrza rzadko oglądają światło słoneczne. Latarnie trwają w swej pięknej, nikomu niepotrzebnej misji. Zastąpione przez 31 blaszanych puszek systemu GPS, które ciachem krążą nad naszymi głowami, a ich sygnał dociera do każdego miejsca na planecie, by wskazać je z dokładnością do dziesięciu metrów. Światło latarni jako czysta forma.

W pokazywanym niedawno w kinach filmie „The Lighthouse” Roberta Eggersa wybudowana gdzieś w stanie Maine wieża (zagrała ją atrapa w hrabstwie Yarmouth w Nowej Szkocji w Kanadzie) to coś więcej niż podpora dla lampy. Latarników jest dwóch i zdaje się, że są jedynymi ludźmi na planecie. Kiedy tender z kolejną zmianą nie przypluwa, a sztorm ucina wszelkie nadzieje, światło faro zaczyna żyć własnym życiem. Jest niczym szkarłatna lampka komputera HAL 9000 z „2001: Odysei kosmicznej”, który buntuje się i wybija prawie całą załogę statku. Faronauci Eggersa też są bez szans. Ludzie jako nic niewarty ładunek na pokładzie prowadzonej przez omamy – a może sztuczną inteligencję? – rakiety, która nieruchomo mknęła przez upływający czas.

Tak mi się to układa w głowie w Bari, nad całkiem innym morzem, którym targają zupełnie inne wiatry. Słońce zachodzi po czwartej, w połowie sjeści, więc dwa razy dziennie budzisz się po ciemku. Wieczory są czarne, a uliczne lampy tylko delikatnie żółcą chodniki. Po kolacji wychodzę przed dom. Plaża jest tu paskiem otoczków przemieszanych z psimi kupami. Są równie suche jak na dalekiej północy, może dlatego nikt nie kłopotuje się ich zbieraniem. Patrę na południe, na światła przylądka San Cataldo. Wieża na bazie ośmioboku ma równo 150 lat i 62 metry wysokości. Z morza musi wyglądać jak przecinek między wodą a niebem, z nieba niczym pinezka, którą kontynent przytwierdzono do ziemskiej skorupy.

Faro di Bari – trzy rozbłyski podzielone czterema sekundami przerwy, a potem dłuższą, dwunastosekundową. Cały cykl życia zamknięty w 20 sekundach, odtwarzany w nieskończoność. Być może tak właśnie w czerni kosmosu mrugają światła Voyagerów, które opuściły już Układ Słoneczny i lecą w stronę gwiazdozbiorów Żyraby i Andromedy. Dotarcie do najbliższych nam gwiazd zajmie im kilkadziesiąt tysięcy lat. A potem, jako zupełnie bezużyteczne cacka z trzeciej planety od Słońca, prawdopodobnie przez całą wieczność przemierzać będą Drogę Mleczną. I nikt już nie będzie pamiętał, komu i czemu służyły.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

O teatrach



WSZYSTYCH PLUS MINUS WIEDZĄ, ŻE TEATR TO przede wszystkim konwencja i jak świat długi, konwencji w teatrze jest mnóstwo. Wszyscy także wiemy, że bez rozumienia konwencji do teatru nie ma po co chodzić – lepiej pójść na grzyby, bowiem grzybo-

branie jest czynnością wolną od zagadek interpretacyjnych; kto na grzybobraniu zanadto interpretuje, umiera. Ostatnia debata w Parlamencie Europejskim miała dla wielu obserwatorów wymiar nieoczekiwany, był to spektakl w konwencji szerzej w świecie nieznaney. Spróbujemy dziś – amatorsko rzecz jasna – wcielić się w widza, który przyszedł do teatru w nadętym poczuciu znajomości konwencji, a ludzi takich wszędzie zwiemy teatromanami.

Teatromana nie ma co pytać o konwencję, są one bowiem podstawą jego teatromaniactwa, ale można go zapytać, czy – dajmy na to – gra aktorska mu się spodobała, czy dekoracje przypadły mu do gustu, czy jedno i drugie tworzą wedle jego opinii artystyczną całość. Teatromana także można przyhaczyć na temat jego oceny adaptacji utworu, interpretacji, można poprosić o reżyserię, o grę światła, o muzykę teatralną, bądź to poprosić o ocenę pracy inspicjenta. Wszystko, co teatralne, teatromanowi nieobce, od zaopatrzenia bufetu po pracę teatralnej szatni. Łatwo tu powiedzieć, że dla teatromana teatr jest drugim domem, a bywa, że pierwszym.

Teraz rzecz wypada, że obrady każdego parlamentu są przedstawieniem teatralnym. Nie sposób nie zgodzić się z tym stwierdzeniem, zważywszy na sztafaj, obrzęd, stroje czy wreszcie mowy tamże wygłaszane. Wszystko w kulturze parlamentarnej mieści się w konwencji. Są parlamenty, których członkowie, w ramach konwencji, noszą niecasualowe

stroje, nakrywają ciekawie swe głowy, ozdabiają osobliwie swe tułowia, wygłaszają trudne do zrozumienia archaiczne formuły, wykonują także konwencjonalne gesty, na przykład stukając dziwnymi przedmiotami. Wszystko to jest ok, gdy się konwencję zna, bowiem gdy się nie zna, człowiek może mieć poczucie, że znajduje się na festiwalu – dajmy na to – ziem górskich. Są oczywiście na świecie różne parlamenty. W niektórych normą są bójki. Te sceny publiczność telewizyjna na świecie ogląda zawsze z przyjemnością. Lanie się po pyskach w obecności godła państwowego i chorągwi jest rzecz jasna na ogół poza konwencją, dlatego jest to ciekawe, co nie znaczy zrozumiałe.

Ostatnie obrady Parlamentu Europejskiego odbywały się – jakże by inaczej – w obcych językach, co tak szalenie zdziwiło tutejszego prezydenta. Słusznie jednak, bowiem na sali znajdowali się cudzoziemcy. Aktorzy, co rzuciło nam się w oczy, zaraz po tym jak kurtyna się podniosła, byli ubrani w stroje zwyczajne, w konwencji spektaklu o nazwie „posiedzenie parlamentu”. To z jednej strony było oczywiste, z drugiej zaś rozróżnienie pomiędzy garsonkami, standardowym zestawem spodnie-marynarka a tym, co brzęczało nam w słuchawce, był dezorientujący. To było zdecydowanie poza konwencją. Nie był to ani teatr Grotowskiego, ani Schillera, nie było to przedstawienie szekspirowskie, a brak makijażu opartego na podkładzie pyłu ryżowego upewnił nas, że nie jest to na pewno teatr kabuki. Nic nie rozumieliśmy z wygłaszanych kwestii, choć zaiste symultaniczni tłumacze robili, co mogli. W słuchawkach było słychać, jak panicznie wertują słowniki różnorakich gwar, w tym tajemnych języków wszelakich subkultur. Nasza umiarkowana orientacja w świecie konwencji była nieprzydatna. Uprzejmy sąsiad widząc, że nie łapiemy w ząb, o co aktorom biega, powiedział nam wreszcie z dobrotliwym uśmiechem, że jest to występ polskiego teatru o nazwie MaBeNa. Grzeczny ów człowiek, czując, że wciąż nic nam to nie mówi, rozwinął skrót: MaBeNa to Maszyna Bezpieczeństwa Narracyjnego Rzeczypospolitej Polskiej, a teatr o tej nazwie występuje stale w Warszawie, na scenie dużej, okrągłej sali przy ul. Wiejskiej, gdzie kiedyś mieścił się miejscowy parlament. „Ciekawa nazwa” – tyleśmy pomyśleli, w obcym języku oczywiście, i złapaliśmy się na wszelki wypadek niemieckiej nogawki.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TERAZ

albo

NIGDY



Książka już
w sprzedaży

**Chcemy lepszej Polski, lepszego Kościoła?
Samo się, proszę państwa, nie robi.**

Szymon Hołownia

znak

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WSPÓLNIE PRZYSPIESZAMY BIEG RZECZY

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

INTERNET SYMETRYCZNY
TRANSMISJA DANYCH
KOŁOKACJA
CLOUD COMPUTING

HOSTING
USŁUGI GŁOSOWE
OUTSOURCING IT
KONSULTING